SENS ZAMIAST SENSACJI | Onuce w polskiej sieci ▪ Życie na Przesmyku
Biblijni płaskoziemcy ▪ USA: nowa wojna domowa ▪ Bruce Willis wszechmogący

Kraków 24 – 30 września 2025 nr 39 (3977) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne TygodnikPowszechny.pl



Nie bój się edukacji zdrowotnej

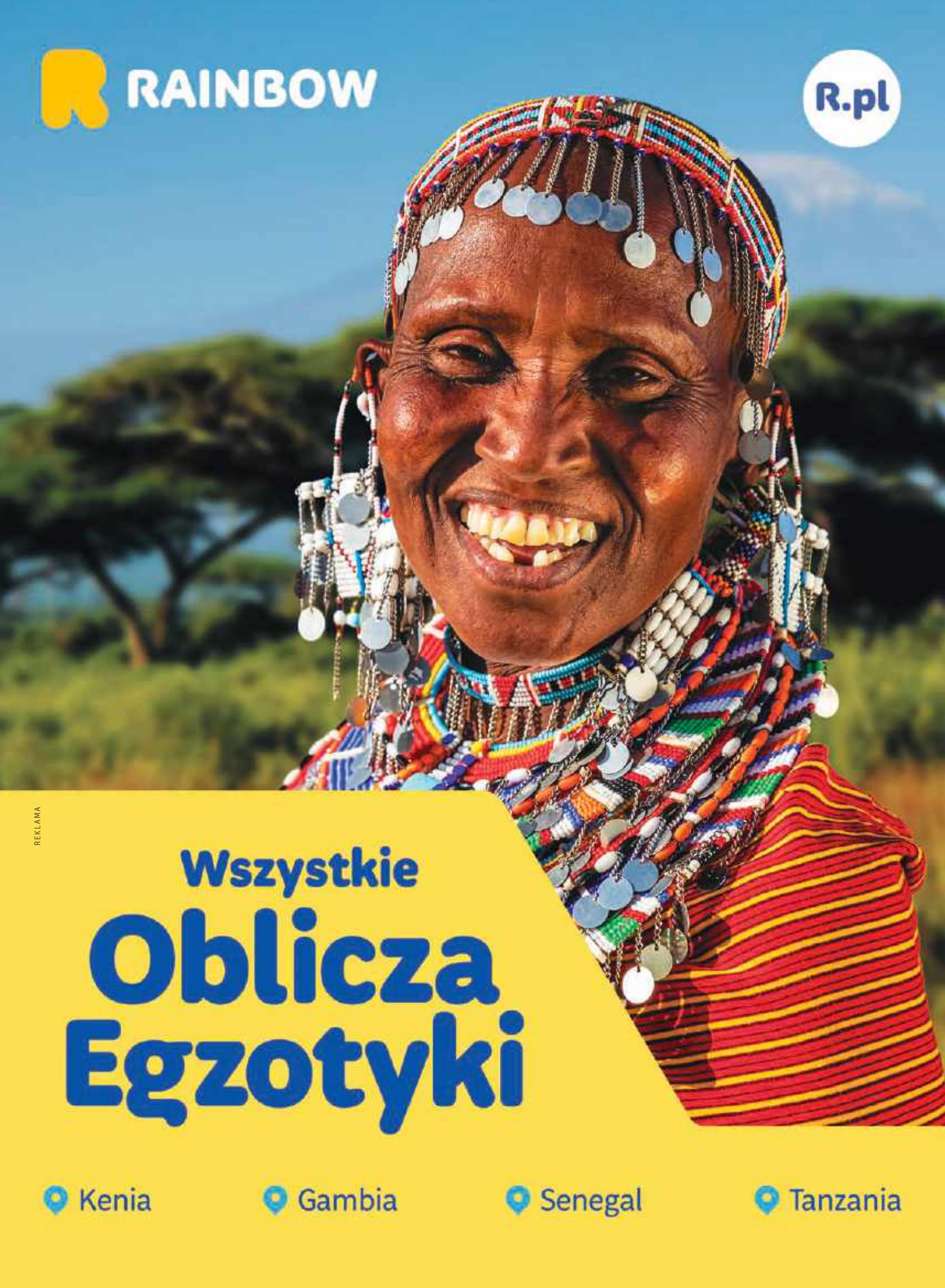
Biskupi nią straszą, MEN zepsuło, ale i tak jest dzieciom potrzebna jak nigdy

EKSTRA 36 STRON
WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

DODATEK HISTORYCZNY O JANIE KARSKIM

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl fde71eb14b


RAINBOW
R.pl
REKLAMA
Wszystkie
Oblicza
Egzotyki
Kenia
Gambia
Senegal
Tanzania

KS. ADAM

Boniecki: *Odnajdywanie wspólnoty*

W Chylicach, gdzie wtedy mieszkaliśmy, była siostra Stanisława. To było bardzo dawno temu, zaraz po wojnie. Zapamiętałem ją jako siostrę, choć nie z katolickiego zakonu. Mogła być protestancką diakonisą, bo na pewno mieszkała w domu żeńskiego diakonatu parafii ewangelicko-augsburskiej „Tabita". Choć nie była w oczywisty sposób urodziwa, w mojej pamięci pozostała jako osoba piękna. Nie przypominam sobie dobrze jej twarzy, ale pamiętam mój podziw, ba, zachwyt. Nie potrafię przywołać ani naszych rozmów, ani jej rozmów z moją mamą, której robiła zastrzyki. Owszem, mówiła coś o ekumenizmie, ale było to słowo obce i rzadko używane. Była, krótko mówiąc, aniołem, co dla mnie stanowiło wtedy niespodziankę, bo nie sądziłem, że w „Tabicie" mogą mieszkać anioły.

Pewnie także dzięki siostrze Stanisławie nigdy nie miałem niechętnego stosunku do innych chrześcijan. Owszem, z przedstawicielami innych wyznań było różnie. Teraz, kiedy już jestem starcem, ze zdziwieniem patrzę na siebie z dawnych lat, ale seminarium w czasach przedsoborowych sprzyjało postawie przynajmniej dystansu. Sam to przeszedłem. Dziś to może zdumiewać, lecz dzieliły nas przecież stulecia. Wiara była dla nas nie tylko zestawem dogmatów, ale całym mnóstwem obyczajów, przepisów i tradycji, może niewynikających wprost z wiary, jednak z tą wiarą bardzo ściśle połączonych. Myślę o tym wszystkim pod wpływem reportażu Artura Sporniaka z tego numeru o parafii w Łękach Dukielskich na Podkarpaciu, która sto lat temu niemal w całości przeszła do Kościoła polskokatolickiego.

Oczywiście, Sobór Watykański II tę postawę Kościoła katolickiego wobec innych wyznań zmienił. Ale czy zmienił ludzi? Zmiany były, jak dziś widzę, często zewnętrzne. Szacunek, uprzejmość, może nawet przekonanie, że Pan Bóg z wielością różnych wyznań i religii jakoś sobie poradzi – to owszem. Ale duch prawdziwie ekumeniczny? Chyba jednak bardzo długo, przez dziesiątki lat, nie było tak, jak Kościół uznał (a częściowo zaledwie przeczuł) na Soborze Watykańskim II. Ja sam, choć nauka Vaticanum II odmieniła moją mentalność, dopiero teraz, pod koniec życia, zaczynam rozumieć, o co w tamtym – niezwykłym, przyznajmy – ekumenicznym zwrocie chodziło i chodzi.



GRAŻYNA MAKARA

Obrona własnych wierzeń porusza człowieka, angażuje jego emocje. Do tego dzielenie wierzących w Chrystusa, ocenianie prawdziwości wierzeń łączyło się przez stulecia z uczuciami i postępkami mało ewangelicznymi. Schizmy wynikały czasem z przyczyn całkiem pozareligijnych. O tym nie zamierzam pisać, bo jest czas odnajdywania wspólnoty, nawet mimo różnic. Ale w wielkiej strefie ekumenizmu wcale nie poruszamy się swobodnie. Różne Kościoły nie tylko mają swoje struktury i tradycje, ale też języki, w których wyrażają wiarę. Gdzie jest odczytanie wskazań wiary, a gdzie ludzka fantazja lub zgoła ludzkie interesy...?

Myślenie ekumeniczne bywa wręcz ryzykowne. Przyjęcie interpretacji innych niż własne, jakże często przecież wypracowane i sprawdzone, nierzadko wydaje się niemożliwe. Czy na tym polega ekumenizm? Na pewno polega na głębszym zrozumieniu od dawna używanych słów i pojęć, lecz się do tego nie sprowadza. Wiem tylko, że dane mi było żyć w czasach wielkiej zmiany sposobu myślenia. Ośmielę się nawet sądzić, że Kościół jako instytucja ludzko-boska coraz bardziej krytycznie patrzy na swoją, także bosko-ludzką, historię.

A kto miał rację względem pełnej prawdy o Bogu? Spokojnie, dowiemy się. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem.

TP W NASTĘPNYCH NUMERACH „TYGODNIKA"

MAGAZYN CONRAD 03
Przedstawiamy kolejnych gości – portrety Colma Tóibína i Yan Ge, wywiad z Hanną Nordenhök oraz krótka lista 5 nominacji do Nagrody Conrada.

JAREMA PIEKUTOWSKI
Mocni w duchu? Jak zmienia się duchowość Polaków: w co wierzymy, czego potrzebujemy, gdzie szukamy.

TOMASZ STAWISZYŃSKI
Porozmawiajmy o mitach, zatęsknijmy za bohaterami, posłuchajmy opowieści – dzieła Josepha Campbella znów objaśniają nam świat.

W przesmyku suwalskim, do którego zjeżdżają dziś media z wielu krajów Europy, życie toczy się normalnie. No, prawie normalnie" – pisze w reportażu w dziale Kraj **ANTONINA PALARCZYK**. Życie „prawie normalne" daje się dziś niestety odnieść do wielu zakątków globu.

Na pewno do Hebronu, który w dziale Świat opisuje **JAN POCHEĆ**. „Sahra, młoda nauczycielka (...) opowiada, że po 7 października 2023 r. jej droga do pracy wydłużyła się o 40 minut z powodu czterech dodatkowych punktów kontrolnych izraelskiej armii".

Z pewnością do USA po zabójstwie aktywisty Charliego Kirka. „Wielu obserwatorów przestrzega, że dzisiejsze nastroje przypominają lata 60. XX w., gdy w dobie gwałtownych przemian społecznych w zamachach zginęli prezydent John F. Kennedy i lider ruchu praw obywatelskich Martin Luther King Junior – pisze **MARTA ZDZIEBORSKA**. – Z tą jednak różnicą, że dziś przemoc polityczna ma o wiele większe podglebie – syci się emocjami i teoriami spiskowymi w social mediach oraz ekstremalną polaryzacją polityczną" (do tematu wraca też w felietonie **TOMASZ STAWISZYŃSKI**).

Wróćmy zresztą do przesmyku suwalskiego. „Żyjemy, rodzimy, prowadzimy inwestycje, uprawiamy ziemię – mówi reporterce wójt Puńska. – Niepewność jest, ale strachu nie ma. Myślę, że to nie nasze przygotowania budzą panikę, ale że odpowiadają za to media. Nieodpowiedzialnie żerują na niepokojach".

Jak żyć w czasach „prawie normalnych", czy to trawionych przez realny strach, czy „tylko" podsycany przez media lęk? Kto zechce, zajrzy do „Tygodnikowego" archiwum, choćby po artykuł **AGATY KAŹMIERSKIEJ** i **WOJCIECHA BRZEZIŃSKIEGO** „Nawet koniec świata to nie koniec świata" – o tym, jak rozmawiać z dziećmi o chwiejącym się świecie. Albo po jeden z odcinków podkastowego cyklu **KATARZYNY KUBISIOWSKIEJ** i prof. **BOGDANA DE BARBARO** – „Spokój w czasach niepokoju".



Dziś proponujemy Państwu refleksję nad edukacją zdrowotną – tematem szerszym niż jeden przedmiot w szkole. Tak, tu stawką jest – cokolwiek powie straszący potępieniem biskup albo wypisujący dziecko z lekcji prezydent – właśnie zdrowie: cyfrowe, społeczne, środowiskowe, psychiczne. I nasza umiejętność, w szkole i poza nią, by się mu przyglądać w „prawie normalnych" czasach. ©℗

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Redaktor i dziennikarz „TP" piszący na tematy edukacyjne i społeczne. Nominowany do Grand Press i MediaTorów, laureat m.in. Nagrody im. Barbary Łopieńskiej za najlepszy wywiad. Biograf ks. Jana Kaczkowskiego, współautor książki „Broad Peak. Niebo i piekło".



26 Podstawówka w strefie H2
JAN POCHEĆ
Ten rok szkolny na Zachodnim Brzegu Jordanu będzie wyjątkowo trudny. Mali Palestyńczycy będą uczyć się tylko trzy dni w tygodniu, czas dotarcia do szkół się wydłuża.



60 Mars: było sobie życie?
ANNA ŁOSIAK
Konferencji prasowych ogłaszających znalezienie silnych poszlak na istnienie życia na innych planetach było już wiele. Jednak tę zorganizowaną w połowie września przez NASA trzeba traktować poważnie.



64 Bruce wszechmogący
MICHAŁ WALKIEWICZ:
Mógł wyrzucać terrorystów przez okna, podróżować w czasie albo błąkać się po zaświatach. Zawsze robił to tak, by każdy facet mógł dostrzec w nim siebie.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // JAN POCHEĆ // NASA / JPL-CALTECH / MSSS // PICTURELUX / THE HOLLYWOOD ARCHIVE / ALAMY / BE&W

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Kościół traci znaczenie. Co w zamian?
JAREMA PIEKUTOWSKI

7-11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

16 I kto tu jest onucą
JACEK K. SOKOŁOWSKI: *Rosyjskie działania dezinformacyjne przeciw Polsce przybrały postać „wojny kognitywnej". Czy może ją wygrać kraj, w którym prawdziwych agentów trudno zneutralizować?*

20 Gminny plan obrony
ANTONINA PALARCZYK: *W przesmyku suwalskim życie toczy się normalnie. No, prawie normalnie*

23 Niedaleko do Królewca
MAREK RABIJ: *A gdyby na przesmyk spojrzeć z perspektywy strachów Rosji?*

■ ■ ŚWIAT

26 Podstawówka w strefie H2
JAN POCHEĆ

28 Gra o wszystko
PIOTR OLEKSY: *Rosja nie ustaje w wysiłkach, by przejąć kontrolę nad rządem w Kiszyniowie*

30 Na beczce prochu
MARTA ZDZIEBORSKA *o podsycanych przez Donalda Trumpa nastrojach po zabójstwie Charliego Kirka*

32 Wilczyca z Glen Loth
PATRYCJA BUKALSKA *o historii szkockich wilków i utraconej przez ten kraj bioróżnorodności*

■ ■ WIARA

38 Dzieje buntu
ARTUR SPORNIAK: *W Łękach Dukielskich da się przywrócić ducha ekumenizmu; wiedzą o tym wszyscy. Poza proboszczem*

TEMAT TYGODNIKA

12

Cała prawda o edukacji zdrowotnej
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

To miał być idealny przedmiot na nasze czasy. Ale ta szansa przepadła przez kampanię biskupów i prawicy oraz niekompetencję MEN. Czy da się to naprawić?

PRZEMEK ŚWIDERSKI / REPORTER



■ EKSTRA STRONY ■

36 LUTHERLAND – ŚLADAMI LUTRA

58 EMPATIA – DLA NAIWNYCH CZY ODWAŻNYCH

■ DODATEK HISTORYCZNY ■

47 JAN KARSKI

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ **25** OLGA DRENDA
63 ELIZA KĄCKA **76** PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

42 Biblijny kosmos i płaskoziemcy
PAWEŁ RAKOWSKI *o tym, jak biblijna kosmologia wpływała na teologię, i czy dziś ta ostatnia potrafi włączać odkrycia naukowe w myślenie o Bogu*

44 Pani Kent
MARTA ZABŁOCKA: *Kim była pierwsza katoliczka w brytyjskiej rodzinie królewskiej od XVII wieku?*

45 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ NAUKA

60 Mars: było sobie życie?
ANNA ŁOSIAK

■ ■ KULTURA

64 Bruce wszechmogący
MICHAŁ WALKIEWICZ

68 Wybrane dla ciebie
ROZMOWA Z SOCJOLOGIEM DAVIDEM BEEREM: *Algorytmy decydujące o tym, czego słuchamy i co oglądamy, będą kształtować nasz apetyt kulturowy*

71 Szwed is bad
JAKUB MAJMUREK: *Już dawno żadna komedia nie przeniknęła tak głęboko w naszą codzienność. Rok 1670 jest nam po prostu współczesny*

73 Polecamy

74 Ucieczka od dyskomfortu
ANITA PIOTROWSKA *o filmie Radu Jude „Kontinental '25"*

75 Światy równoległe
LEKTOR *o książce Piotra Tarczyńskiego „Oślizgłe macki, wiadome siły"*

■ ■ ZMYSŁY

78 Prawo do szczęścia
BARTEK KIEŻUN: *Zdrowa ryba płynie zawsze pod prąd. Przeczytałem to zdanie jako dziecko, ale jako dorosły nadal je pamiętam. I to właśnie z powodu tej buntowniczej sentencji pojechałem do Wilna*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

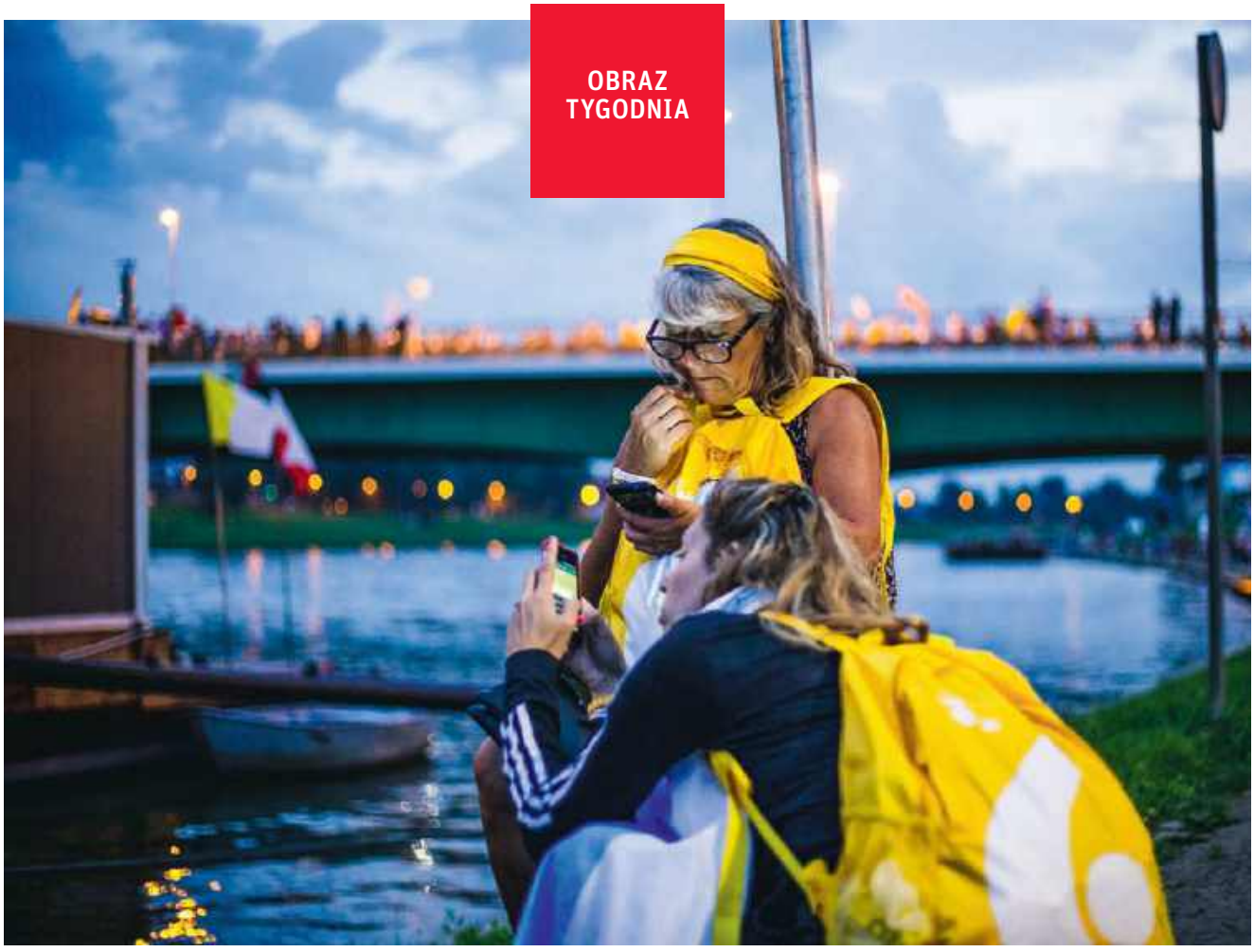
„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ AKTUALNĄ OFERTĘ NA STRONIE 46

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA



JAKUB WŁODEK / REPORTER

KOŚCIÓŁ TRACI ZNACZENIE. CO W ZAMIAN?

Sondaż IBRIS dla PAP z 18 września pokazuje, że Kościołowi katolickiemu ufa dziś 35,1 proc. Polaków. Dziewięć lat temu było ich 58 proc. Spadek jest poważny. Szczególnie szybko rośnie zaś grupa tych, którzy „zdecydowanie" Kościołowi nie ufają.

Jeszcze niedawno nie ulegało wątpliwości, że jesteśmy krajem katolickim. Dziś z pewnością jesteśmy nim formalnie, ale zarówno kolejne sondaże i badania, jak i wskaźniki praktyk religijnych (29 proc. uczęszczających na mszę świętą, 14 proc. przystępujących do komunii w 2023 r. według ISKK), każą wątpić w realny katolicyzm Polaków. Niektórzy ostrzegali od dawna przed „scenariuszem irlandzkim" – i wygląda na to, że w zasadzie się ziścił, tylko w wolniejszym tempie i później, niż przewidywano. Tak czy inaczej, nie jesteśmy dziś krajem katolików zaangażowanych i ufnych wobec instytucji Kościoła. Co się stało i czy jest nadzieja na zmianę?

Jak pokazują najnowsze dane, zaufanie Polaków do Kościoła gwałtownie spada, ale nie wyłącznie z powodu politykujących biskupów. Wśród emocji i chaosu mediów społecznościowych katolicyzm stał się tylko jedną z idei.

JAREMA PIEKUTOWSKI

POWYŻEJ:
Światowe Dni Młodzieży w Krakowie, 29 lipca 2016 r.

BLIŻEJ WŁADZY | Najpierw zastanówmy się, czy naprawdę „tak źle jeszcze nie było". Odsetek ufających Kościołowi faktycznie osiąga dziś najniższy poziom, ale po 1989 r. zdarzył się już spadek mocniejszy. Pisał o tym w 2013 r. Zbigniew Nosowski w tekście „Kościół katolicki w Polsce po 1989 roku. Bliżej społeczeństwa czy bliżej władzy?".

Otóż w 1989 r. według CBOS ufających Kościołowi było aż 90 proc. Polaków. Wzmacniała ich euforia związana z upadkiem systemu komunistycznego, którego większość miała już dość. Kościół był w czasach PRL miejscem schronienia i silnie przyczynił się do przemian. A jednak do 1993 r.

zaufanie do niego spadło dużo mocniej niż w ostatnich dziewięciu – do 38 proc. Nosowski wskazywał kilka przyczyn tego tąpnięcia, w tym bezpośrednie zaangażowanie hierarchów w politykę, chęć wpływu na władzę i na zmiany prawne.

„Kościół jest oceniany bardziej krytycznie, gdy zbliża się do władzy politycznej" – pisał. Co po raz kolejny okazuje się aktualne. Nieprzypadkowo znaczący spadek zaufania przypada na lata rządów PiS, gdy władza podkreślała swoje związki z chrześcijaństwem (w jego specyficznej, konserwatywnej wersji), a część hierarchii ją wspierała. Próba nakłonienia ludzi do chrześcijaństwa metodami państwowymi, czy to w wersji *soft*, czy *hard* jest oczywiście przeciwskuteczna, tyle że od tylu lat nie potrafimy tego zrozumieć.

RÓŻNICE POKOLENIOWE | Zaryzykuję twierdzenie, że tym razem sytuacja jest jednak inna. Dziś to nie polityka jest najważniejszym czynnikiem spadku zaufania. Najbardziej dynamiczny spadek praktyk religijnych miał miejsce między rokiem 2006 a 2016 – gdy rządziły zarówno PiS, jak i PO. Z globalnego punktu widzenia jest to okres rewolucji mediów społecznościowych. Skończyła się era, w której poglądy ludzi kształtowało jedno centrum, ze względnie spójną kulturą i narracją. Bombardowani informacjami ze wszystkich stron, Polacy znaleźli się na targu mniejszych i większych idei. Jak słusznie pisze Marcin Kędzierski, zatarło się chrześcijańskie imaginarium. Kolejne pokolenia, dla których świat online jest środowiskiem rozwojowym, nie widzą już siebie między niebem a piekłem, ich życie nie pulsuje w rytmie roku liturgicznego. Według Pew Research Center w Polsce występuje największa w Europie różnica pokoleniowa w religijności – tylko 16 proc. Polaków poniżej 40. roku życia uważa religię za bardzo ważną w życiu, podczas gdy wśród starszych odsetek ten sięga 40 proc.

Lata 2016-2024 były dla Polaków szczególnie trudne: wtedy rozmontowywane były kolejne bezpieczniki, pozwalające nam czuć się stabilnie w świecie. Rosła polaryzacja polityczna, atmosfera w mediach społecznościowych stale się zaostrzała. Pandemia Covid-19 pokazała, że postęp naukowy nie uratuje nas od śmierci. Kolejnym ciosem był atak Rosji na Ukrainę – we względnie bezpiecznym świecie pojawiło się dawno zapomniane niebezpieczeństwo.

CZAS NA REFLEKSJĘ | Wygląda na to, że w tej trudnej, kryzysowej sytuacji Kościół nie był dla ludzi miejscem schronienia. Nie pomógł wystarczająco odnaleźć się w niestabilnym na nowo świecie, dać światło, ciepło czy wskazówki na drogę. A jednocześnie okazało się, że sam nie zawsze jest miejscem bezpiecznym.

W świecie mediów społecznościowych nie da się ukryć przemocy i skandali. Premiera filmu dokumentalnego „Tylko nie mów nikomu" braci Sekielskich – zawierającego wstrząsające świadectwa ofiar molestowania – stała się punktem zwrotnym. O ile jeszcze w marcu 2019 r. Kościół miał stosunkowo dobre notowania (ok. 57 proc. ocen pozytywnych), to po emisji filmu Sekielskich pozytywne oceny spadły. Terlikowski słusznie wskazuje przy tym, że „sporej części biskupów nie interesuje ewangelizacja czy sprawiedliwość wobec skrzywdzonych, ale ochrona wąsko pojętych własnych interesów i kasy Kościoła".

Mamy do czynienia z pogorzeliskiem. Ale nadzieja zawsze pozostaje. Po wspomnianym tąpnięciu z 1993 r. zaufanie na pewien czas wzrosło, do 60-70 proc. Nosowski zauważył, że Kościół zdobył się wówczas na autorefleksję. Pokazał światu bardziej uśmiechniętą i życzliwą twarz, mówił zrozumiałym językiem (to wtedy np. powołano KAI, w której dziś jednak zachodzą niepokojące zmiany).

Obecny kryzys jest dużo bardziej wielowymiarowy, zatem i recepty są trudniejsze. Ale nie ma innego wyjścia jak powrót autorefleksji. Inaczej kolejne tąpnięcia będą nieuniknione. ©



Ciało obce

EDWARD AUGUSTYN

Ważą się losy Fundacji św. Józefa, która wspiera osoby skrzywdzone w Kościele. W ubiegłym tygodniu jej prezeska, Marta Titaniec, poinformowała, że rezygnuje z ubiegania się o kolejną kadencję. Podobną decyzję miał podjąć także drugi członek zarządu, ks. Janusz Łuczak (trzeci – ks. Grzegorz Strzelczyk – zrezygnował już w 2023 r.).

Z opublikowanego przez Titaniec oświadczenia dowiadujemy się, że powodem jej rezygnacji jest brak zrozumienia dla działań Fundacji, która – choć została powołana przez Konferencję Episkopatu Polski – była przez biskupów traktowana jako „ciało obce". To ostrożne sformułowanie. Bo kryje się za nim sześć lat walki z naciskami i bezpodstawnymi zarzutami.

Powołując Fundację, biskupi liczyli, że będzie działała pod ich dyktando, zaspokoi oczekiwania Watykanu i uspokoi opinię publiczną.

Był październik 2019 r., cztery miesiące po premierze filmu „Tylko nie mów nikomu", obnażającego systemowe ukrywanie przestępstw w polskim Kościele. Decyzja episkopatu miała więc przykryć wychodzące na jaw wstydliwe fakty i coraz mocniejsze oskarżenia, pojawiające się w dyskusji o Kościele w Polsce. Tyle że Fundacja, pod kierownictwem Marty Titaniec, nie zamierzała być listkiem figowym. Od samego początku zaczęła aktywnie i autonomicznie wykorzystywać pozyskiwane środki na budowę systemu pomocy pokrzywdzonym (porady prawne, finansowanie terapii i leków) oraz działania edukacyjne i prewencyjne.

Przez sześć lat biskupi ani razu nie spotkali się z prezeską Fundacji (jej zaproszeniu na posiedzenia KEP miał się sprzeciwiać abp Stanisław Gądecki). Do pierwszego bezpośredniego kontaktu doszło w czerwcu tego roku, po zmianie władz episkopatu. Dla wielu była to okazja do wyrzucenia z siebie uzbieranych pretensji i żalów (że podsyca roszczeniowość pokrzywdzonych wobec Kościoła, buduje klimat podejrzliwości do księży, a nawet – że jest powiązana z wrogą Kościołowi opcją polityczną). Na konferencji doszło też do odsunięcia na boczny tor abp. Wojciecha Polaka, prymasa Polski i delegata KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży, w którym Fundacja miała od początku największe oparcie. Decyzję o rezygnacji Titaniec miała podjąć właśnie wtedy, widząc, że jej współpraca z nowym kierownictwem episkopatu nie jest już możliwa.

O tym, czym będzie Fundacja – prężnie działającą instytucją pomocową czy kościelną wydmuszką – biskupi zadecydują na październikowym posiedzeniu KEP, wybierając nowy zarząd organizacji. ©℗



Rzeka wódki wciąż bez tamy

MAREK KĘSKRAWIEC

Radni KO tak bardzo nie chcieli uchwalenia nocnego zakazu sprzedaży alkoholu w warszawskich sklepach i na stacjach paliw, że z lokalnej sprawy zrobili aferę polityczną na całą Polskę. Przy jej okazji dowiedzieliśmy się, że prezydent Rafał Trzaskowski (na zdjęciu) nie tylko zapuścił w ostatnich dniach wąsy, ale przestał być również głównym decydentem w stolicy. Większą rolę odgrywa w niej lider lokalnych struktur partii, przy okazji jej sekretarz generalny i szef MSW Marcin Kierwiński – bez jego akceptacji nie da się wprowadzić w Warszawie prawa, które w wielu polskich miastach radykalnie zmniejszyło liczbę nocnych burd i związanych z nimi interwencji policji (w Krakowie aż o dwie trzecie w ledwie 3 lata) oraz przyjęć na SOR-ach.



FILIP NAUMIENKO / REPORTER

Do kosza wyrzucono pomysł Trzaskowskiego, za którym opowiedzieli się warszawiacy w społecznych konsultacjach. Zapewne powody tej decyzji sięgają głębiej niż troska o wolność gospodarczą i niechęć do ruchów miejskich, z powodu której lokalni działacze KO postanowili zablokować dużą część miejsc przeznaczonych dla warszawiaków podczas sesji rady miasta. Pełna prawda w końcu wyjdzie na jaw, ale już teraz ujrzeliśmy, jak partyjne struktury (publicznie) zagrały na nosie człowiekowi, którego jeszcze cztery miesiące temu kreowały na głowę państwa.

Koszty polityczne tego żenującego spektaklu nie skończą się zapewne na upokorzeniu Trzaskowskiego i rezygnacji ze stanowiska wiceprezydenta miasta przedstawiciela Polski 2050, który odpowiadał za sprawy społeczne. Zresztą, nie one są najważniejsze. Żyjemy w kraju, w którym alkohol jest dostępny na każdym kroku, z czego państwo czerpie ogromne zyski. O wiele większe są co prawda koszty leczenia alkoholików oraz długofalowe skutki społeczne (dewastowanie życia całych rodzin), ale to jest już zbyt daleka perspektywa dla polityków „uśmiechniętej Polski”. ©℗

NA PUNKTY

ELEGANCJA
Pokaz jedności polskich polityków po ataku rosyjskich dronów nie przetrwał próby czasu. Nasi liderzy spierają się nie tylko o wiceministra Bosackiego, który w ONZ zaprezentował zdjęcia domu zniszczonego akurat przez polską rakietę, ale nawet o miejsce dla szefa dyplomacji w samolocie prezydenta. „Przepraszam za użycie w dyskusji z panem słowa elegancja” – napisał rzecznik MSZ do szefa prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej.

EDUKACJA
„Zanim się wypisze, zawetuje, podpisze lub oburzy, naprawdę, warto czytać dokumenty!” – napisała z kolei min. Barbara Nowacka, reagując na deklarację Karola Nawrockiego o wypisaniu syna z edukacji zdrowotnej.

ELOKWENCJA
Spierają się też politycy obozu prawicy. „Wielokrotnie przestrzegałem Cię przed dramatycznymi skutkami ulegania Brukseli. Zawsze odrzucałeś te apele i w kluczowych chwilach zgadzałeś się na brukselskie szaleństwa” – napisał m.in. na X Zbigniew Ziobro do Mateusza Morawieckiego, wzywając do publicznej debaty. ©℗



Czy Polska jest wypłacalna

MAREK RABIJ

Agencja Moody’s utrzymała rating Polski na wysokim poziomie A2, przy jednoczesnym obniżeniu jego perspektywy ze stabilnej na negatywną. Nie brzmi to alarmistycznie, ale warto jednak podkreślić – na razie. To jednocześnie ostrzeżenie, że jeśli Polska będzie się zadłużać w takim tempie jak obecnie, ocena jej wypłacalności spadnie, doprowadzając do wzrostu kosztów obsługi zadłużenia.

Moodys – obok S&P i Fitcha jedna z trzech najważniejszych agencji ratingowych globu – oceniała dotychczas Polskę najłagodniej. Teraz dołącza do agencji Fitch, która 6 września także zmieniła nam perspektywę ratingową na negatywną. Obie instytucje w uzasadnieniach decyzji podkreśliły, że ryzyko spadku oceny wypłacalności Polski widzą w napiętej sytuacji politycznej, która może uniemożliwić Warszawie redukcję zadłużenia. To także komunikat dla inwestorów, że w tej części Europy znowu wszystko może się zdarzyć. W świecie finansów tego typu sugestie pod adresem Polski nie padały od lat.

Nasze finanse publiczne mają się wciąż nie najgorzej. Owszem, niepokojąco szybko rośnie deficyt budżetowy (w skrócie: tempo, w jakim co roku zwiększamy zadłużenie), ale dług publiczny, czyli suma tego, co pożyczyliśmy, plus odsetki, nie przekracza konstytucyjnego progu 60 proc. PKB – nie mówiąc o średniej długu publicznego państw wysoko rozwiniętych. Większość z nich od lat funkcjonuje z zadłużeniem bliskim lub nawet wyższym niż 100 proc. PKB.

Polska jest więc wypłacalna, a do fiskalnej katastrofy daleko, choć opozycja chętnie podbija taką narrację. Problemem mogą być za to rosnące koszty obsługi polskiego zadłużenia. Obecnie pochłaniają one 11,5 proc. dochodów państwa polskiego, a ewentualna obniżka ratingu jeszcze je podniesie. Tak stało się np. w 2016 r., gdy S&P ścięła rating Polski z A- do BBB+. W ciągu zaledwie kilku dni Polska musiała podnieść oprocentowanie swoich obligacji o 0,2 punktu procentowego.

W obecnej sytuacji dodatkowe miliardy złotych na spłatę długu oznaczać będą zapewne tylko jedno: cięcia innych wydatków państwa. ©℗



Historia Gazy dobiega końca

MACIEJ AUGUSTYN

Izraelska ofensywa na centralną część miasta Gaza się rozpoczęła. Jej celem jest całkowite rozbicie Hamasu, dla którego ostatnią kartą w grze jest szafowanie śmiercią pozostałych przy życiu zakładników. Hamas poinformował o przeniesieniu ich w obszar walk, tak aby mogli zginąć od bratobójczego ognia.

Armia izraelska wydała nakaz ewakuacji na południe setek tysięcy cywilów. Większość ucieka pieszo, dźwigając resztki dobytku. Dla wielu to kolejna ewakuacja. Możliwe jednak, że tym razem nie będą mieli do czego wracać. Całe dzielnice Gazy są zrównane z ziemią – licząca kilka tysięcy lat historia tego miasta dobiega końca.

Dzień po rozpoczęciu nowej ofensywy niezależna komisja śledcza ONZ ds. Palestyny przedstawiła dowody na izraelskie ataki na szpitale, konwoje ewakuacyjne i punkty humanitarne, ostrzał cywilów (w tym kilkuletnich dzieci), a także stosowanie głodu jako broni. Autorzy raportu stwierdzili, że Izrael dopuścił się w Gazie ludobójstwa – to najmocniejsze stanowisko ONZ w tej sprawie (Izrael odrzucił je jako stronnicze).

Raporty ONZ i innych organizacji praw człowieka (także izraelskich) znajdują oddźwięk w polityce międzynarodowej – w ostatnich dniach kolejne kraje, w tym Wielka Brytania, Kanada i Australia, uznały państwowość Palestyny, a Francja zamierza to uczynić na najbliższym Zgromadzeniu Ogólnym ONZ.

Krytycy (albo realiści) uważają jednak, że dopóki protektorem Izraela są Stany Zjednoczone, dysponujące prawem weta w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, suwerenność Palestyny pozostanie iluzją. Los Palestyńczyków pozostaje więc w rękach Izraela, który planuje wysiedlić Gazę i może anektować Zachodni Brzeg. Takie postulaty zgłosili ponownie politycy izraelskiej skrajnej prawicy, reagując na decyzje Londynu, Ottawy i Canberry.

Nad sankcjami dla Izraela dyskutuje z kolei jego największy partner handlowy – Unia Europejska. Część państw UE wprowadziła już embargo na izraelskie towary, ale szersze działania wymagają jednomyślności, której zapewne nie będzie – wystarczy weto choćby jednego z europejskich sojuszników Izraela (np. Węgier).

Jedyną realną „karą" wydaje się bojkot sportowy i kulturalny. Za wykluczeniem Izraela z rozgrywek FIFA lobbuje Katar, a Hiszpania zapowiada bojkot Eurowizji, jeśli Tel Awiw przyśle tam reprezentanta. Podobną opinię wyraziła polska ministra kultury Marta Cienkowska. Takie działania mogą ucieszyć propalestyńskich aktywistów, ale nie zmienią losu Palestyńczyków. Wzmocnią za to przekonanie Izraela i jego obrońców, że cały świat jest antysemicki i sprzyja terrorystom, z którymi – jak wiadomo – się nie negocjuje. ©



EYAD BABA / AFP / EAST NEWS

Palestyńczycy opuszczają Gazę, 18 września 2025 r.



Nowe Delfy

BARTOSZ KABAŁA

W medycynie istotną rolę odgrywa prognozowanie przebiegu choroby. W wielu specjalnościach poszukuje się markerów, które mają przewidywać przyszłość i określać ryzyko zaostrzenia choroby lub zgonu. Np. w kardiologii istnieje skala SCORE, która na podstawie m.in. ciśnienia tętniczego i stężenia cholesterolu określa ryzyko wystąpienia zawału serca i udaru mózgu. Takie skale powstają na bazie licznych badań i wielu lat obserwacji, a dotyczą zaledwie kilku chorób i kilku czynników ryzyka, które udało się zaobserwować człowiekowi.

Rewolucja sztucznej inteligencji pozwoliła uwierzyć, że korelacji jest więcej, a te najbardziej nieoczywiste i dokładne dostrzeże komputer. Przy pomocy uczenia maszynowego powstało do tej pory kilka modeli, które wytrenowane na podstawie danych prawdziwych pacjentów były w stanie przewidywać ryzyko wystąpienia poszczególnych chorób, np. raka trzustki albo udaru mózgu. Dotyczyły wielu czynników, ale tylko jednej choroby.

Badacze z Uniwersytetu w Kopenhadze i Europejskiego Laboratorium Biologii Molekularnej zaprezentowali w ubiegłym tygodniu nowy model AI, który na podstawie dotychczasowej historii choroby oraz czynników ryzyka jest w stanie prognozować wystąpienie ponad 1200 chorób w ciągu kolejnych 20 lat życia pacjenta.

Delphi-2M to wstępnie przeszkolony transformer generatywny, działający podobnie do dużych modeli językowych, takich jak ChatGPT.

Owo „wstępne przeszkolenie" odbyło się z wykorzystaniem danych 400 tys. pacjentów z UK Biobank. Podobnie jak modele językowe nauczone gramatyki na podstawie dużych tekstów, tak Delphi-2M na podstawie medycznej bazy danych tworzy wzorce progresji poszczególnych chorób i wpływu różnych czynników zewnętrznych na nasze zdrowie. Model został przetestowany na duńskich rejestrach medycznych prawie 2 milionów pacjentów – i mimo różnic w systemach opieki zdrowotnej, poradził sobie prawie tak samo dobrze, jak w przypadku brytyjskiej populacji. Jednak autorzy podkreślają, że model wciąż nie jest gotowy do stosowania w warunkach klinicznych.

W odróżnieniu od Pytii, celem nowej wyroczni delfickiej nie jest określanie losu, przed którym nie ma ucieczki, ale umożliwienie nam wpływu na przyszłość przez poprawę leczenia i zmianę stylu życia. ©

Ig Noble: polski psycholog nagrodzony



ROBERT F. BUKATY / AP PHOTO / EAST NEWS

Prof. Marcin Zajenkowski (w środku) i Gilles Gignac podczas podczas ceremonii wręczenia Ig Nobli. Boston, 18 września 2025 r.

NAUKA ▪ Tylko tutaj można zobaczyć, jak noblista w garniturze zbiera z włosów papierowy samolot, a publiczność bije brawo badaczom od much, pizzy i paznokci. Ig Noble od 1991 r. rozdaje Marc Abrahams – redaktor pisma „Annals of Improbable Research". I powtarza: „Najpierw śmiech, potem refleksja".

Tegoroczna gala odbyła się w Boston University, a jej motywem przewodnim było trawienie. Na scenie wystawiono minioperę „Udręka gastroenterologa", a nagrody wręczali prawdziwi nobliści – m.in. Esther Duflo, Svante Pääbo i Eric Maskin. Wśród laureatów znalazł się prof. Marcin Zajenkowski z Uniwersytetu Warszawskiego. Wspólnie z Gilles'em Gignakiem z Australii otrzymał nagrodę w dziedzinie psychologii. Badacze sprawdzali, jak zmienia się chwilowy poziom narcyzmu, gdy powiemy komuś, że jest inteligentny – albo przeciwnie, że jest nieinteligentny.

– Samo słowo „inteligencja" działa jak reflektor skierowany na nasze ego – mówi „Tygodnikowi" prof. Zajenkowski. – Jeśli go zapalimy, ludzie momentalnie czują się bardziej wyjątkowi. Jeśli go zgasimy, to poczucie znika.

Zajenkowski od dekady bada narcyzm – nie jako zaburzenie, ale jako cechę osobowości, którą w różnym stopniu ma każdy z nas. Interesuje go zwłaszcza, jak narcyzm wiąże się z inteligencją. W innych pracach pokazywał, że osoby narcystyczne mają skłonność do zawyżania oceny własnych zdolności intelektualnych i że „bycie inteligentnym" to jeden z centralnych elementów ich autoprezentacji. Jego badania cytowane są na całym świecie – od podręczników psychologii społecznej po popularne artykuły prasowe.

– To nagroda, która pozwala spojrzeć na badania z dystansem, ale i zwraca uwagę opinii publicznej na to, że psychologia nie bada tylko „patologii", lecz także codzienne drobiazgi naszego życia. A one bywają najciekawsze – mówi prof. Zajenkowski.

Lista pozostałych nagrodzonych badań wygląda trochę jak karta dań szalonej kolacji degustacyjnej. Żywienie: nagroda za obserwację jaszczurek w Togo wybierających różne rodzaje pizzy. Literatura: za 35 lat codziennych notatek o tempie wzrostu własnego paznokcia. Pediatria: za badanie, jak czosnek w diecie matki zmienia smak mleka i reakcje niemowląt. Biologia: za malowanie krów w pasy zebry, by odstraszać muchy. Chemia: za testowanie, czy połknięcie odrobiny teflonu zwiększa uczucie sytości bez dodatkowych kalorii. Pokojowa nagroda: za wykazanie, że alkohol czasem poprawia płynność w obcym języku. Lotnictwo: za badania, jak etanol pogarsza zdolności echolokacyjne nietoperzy owocożernych. Fizyka: za opis przejść fazowych w sosie *cacio e pepe* – czyli dlaczego powstają grudki. Inżynieria: za analizę, jak cuchnące buty mogą inspirować nowe projekty stojaków na obuwie.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

BONUS

TYGODNIK POWSZECHNY

Ogłaszamy Nagrodę BONUS!

Nowe wyróżnienie „Tygodnika Powszechnego”
dla tych, którzy tworzą przestrzeń dialogu i pokazują,
że wspólne dobro jest możliwe.
Kandydatów mogą zgłaszać także nasze Czytelniczki i nasi Czytelnicy.

BONUS to nowa nagroda „Tygodnika Powszechnego” – stworzona po to, by wyróżniać ludzi i inicjatywy, którzy i które wnoszą do debaty publicznej więcej sensu niż sensacji.

Słowo „bonus” po łacinie znaczy „**dobry**”. Tak rozumiemy też ideę nagrody – jako wyróżnienie dla tych, którzy w przestrzeni publicznej nie poddają się logice uproszczeń i polaryzacji.

To nagroda dla osób i instytucji, które łączą zamiast dzielić, rozmawiają zamiast krzyczeć, tworzą przestrzeń porozumienia tam, gdzie najłatwiej o podziały.

Przyznajemy ją dziennikarzom, twórcom kultury, liderom, społecznikom i innowatorom – tym, którzy swoją pracą pokazują, że dialog, rzetelne słowo i odpowiedzialne działanie wciąż mają moc.

BONUS jest przypomnieniem, że lepsza wspólnota jest możliwa. Że w świecie zdominowanym przez sensację i algorytmy wartością jest uczciwa rozmowa, odwaga niuansowania i otwartość na drugiego człowieka.

Od 80 lat wierzymy, że słowo i działanie mogą łączyć ludzi. BONUS przyznajemy tym, którzy robią to dziś najskuteczniej.

Więcej informacji na stronie
TygodnikPowszechny.pl/bonus



PRZEMEK ŚWIDERSKI / REPORTER

Protest „Edukacja zdrowotna narzędziem deprawacji dzieci i młodzieży". Gdańsk, 3 września 2025 r.

CAŁA PRAWDA O EDUKACJI ZDROWOTNEJ

To miał być idealny przedmiot na nasze czasy. Ale ta szansa przepadła przez kampanię biskupów i prawicy oraz niekompetencję MEN. Czy da się to naprawić?

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Na początek chciałem sprawdzić, o co chodzi krytykom nowego szkolnego przedmiotu. Czego konkretnie boi się w edukacji zdrowotnej Kościół i prawica?

Zapytałem biuro prasowe Konferencji Episkopatu Polski, które konkretnie fragmenty podstawy programowej przedstawiają rodzinę „w negatywnym kontekście", poddają „od najmłodszych lat [...] erotyzacji", pokazują seksualność jako „wyzwolenie z wszelkich barier" oraz „zachęcają dzieci i młodzież do odrzucenia swej kobiecości lub męskości" (cytaty za listem Prezydium KEP).

Poprosiłem europosłankę Ewę Zajączkowską-Hernik z Konfederacji o wskazanie passusów z dokumentu MEN, które odczytała jako przejaw „seksualizacji dzieci" (tak napisała na X).

A Dorotę Arciszewską-Mielewczyk z PiS, jakie konkretnie treści programowe edukacji zdrowotnej mogą sprawić, że dzieci będą miały – w myśl jej wypowiedzi dla Radia Gdańsk – „awersję do współżycia".

Co wie Episkopat

Z biura prasowego Episkopatu otrzymałem obszerną wypowiedź (jej całość – wraz z odpowiedzią redakcji – publikujemy na tygodnikpowszechny.pl/ez) przygotowaną przez ekspertów współpracujących z Komisją Wychowania Katolickiego KEP. Wedle autorów tej wypowiedzi – utrzymanej w tonacji bardziej merytorycznej i dalece mniej histerycznej niż list prezydium KEP – w podstawach programowych do nowego przedmiotu ranga rodziny jest umniejszana, zaś edukacja seksualna zostaje pozbawiona rodzinnego kontekstu (samo słowo „rodzina", jak obliczyli eksperci KEP, pada tu 14 razy, podczas gdy w podstawie „Wychowania do życia w rodzinie", w którego miejsce weszła EZ, padała 52 razy). W ogóle rodzina i macierzyństwo są – jak przekonują „Tygodnik" eksperci Komisji Wychowania Katolickiego – ukazane głównie w kontekście problemów i „spraw trudnych" (za „sprawy trudne" eksperci KEP uznają m.in. rozwody, separacje, depresję ciążową i poporodową, ale też poruszane w podstawie programowej kwestie adopcji, rodzicielstwa zastępczego czy praw osób LGBT+).

Tezę o „erotyzacji" i „wyzwoleniu z wszelkich barier" autorzy odpowiedzi na pytania „TP" wywodzą z tych fragmentów podstaw programowych, które mówią o świadomej zgodzie na kontakty seksualne (oznacza to, ich zdaniem, że w ujęciu nowego przedmiotu to właśnie zgoda – a nie wartości wyższe – urasta do rangi jedynego kryterium decyzji o podjęciu współżycia). Zaś zachętę do „porzucania męskości i kobiecości" dostrzegli w zdaniu: „Uczeń wyjaśnia pojęcia związane z tożsamością płciową".

Europosłanka Konfederacji nie odpowiedziała na pytania wysłane ponad tydzień temu na jej adres mailowy, wsparte telefonem i prośbą przez SMS. Z kolei parlamentarzystka PiS w około 10-minutowej rozmowie z „Tygodnikiem" mówiła, że według niej nowy przedmiot jest niepotrzebny, bo wszystko, co konieczne, jest na biologii, wuefie i innych już istniejących przedmiotach, a edukacja zdrowotna może rujnować intymność i psychikę dzieci. Poproszona ponownie o konkretne cytaty z podstawy programowej, stwierdziła, że chodzi o „przekazy podprogowe", i że czuje się przeze mnie egzaminowana. A dopytywana, czy w takim razie może przygotować wyimki z dokumentu MEN na krótką rozmowę za kilka dni, wyraziła zgodę. Ale „za kilka dni" już rozmowy nie podjęła.

Rezygnują ukradkiem

Przypomnijmy: edukacja zdrowotna to nieobowiązkowy przedmiot dla klas 4-8 podstawówek i dwóch klas szkół ponadpodstawowych, który ruszył w tym roku szkolnym. Do 25 września rodzice mieli czas na ewentualną rezygnację z uczestnictwa. Ale już przed tą datą było jasne, że skala wypisów przekroczy np. tę z również nieobowiązkowej lekcji religii (na katechezę uczęszcza w skali kraju niecałe 80 proc. uczniów).

– Powody rezygnacji są z grubsza trzy – słyszę w drugim tygodniu roku szkolnego od Danuty Kozakiewicz, dyrektorki SP 103 w Warszawie. – Pierwszy jest ideologiczny, i tu nie ma co nawet dyskutować. Drugi to czas: dziecko jest przemęczone, ma za dużo zajęć dodatkowych, więc rodzic zwalnia je z tego, z czego może. Powód trzeci: rodzice uważają, że sami sobie poradzą w rozmowie z dziećmi na tematy z zakresu edukacji zdrowotnej.

– Znam przypadek, gdzie dyrektor zaplanował EZ dla czwartej klasy w piątek na dziewiątej godzinie lekcyjnej, i to po godzinnym „okienku", którego w ogóle nie powinno być – relacjonuje Urszula Woźniak, wiceprezeska Związku Nauczycielstwa Polskiego. – W ten sposób trudno kogokolwiek do tego przedmiotu zachęcić.

– Stosunek do EZ stał się rodzajem manifestu, ale nie zawsze tak jest – potwierdza dr Justyna Józefowicz, psycholożka, psychoterapeutka uzależnień, była szefowa wydziału w Ośrodku Rozwoju Edukacji, odpowiedzialnym m.in. za materiały do EZ. – Bliska mi osoba o poglądach liberalnych martwi się, bo jej dziecko jako jedyne z klasy jest zapisane na ten przedmiot. Niezależnie od przekonań rodzica, dla dziecka to mało komfortowa sytuacja. Inna osoba, mająca poglądy przeciwstawne, mówi z kolei, że o ile „jej bańka" wypisuje dzieci z zasady, to rodzice będący „za" robią to samo, ale niejako ukradkiem, nie chcąc fundować dziecku dodatkowej lekcji np. w piątek o 16.

W jednej z krakowskich podstawówek EZ najpierw zaplanowano na ósmej godzinie lekcyjnej, tuż po nieobowiązkowej religii, a więc ze świadomością, że przynajmniej część dzieci będzie miała „okienko". Gdy okazało się, że przedmiotu będzie uczyć inny nauczyciel niż pierwotnie do tego przypisany, termin zmieniono na poranek innego dnia. W tym samym czasie odbywają się Zajęcia Dodatkowe Wyrównawcze (ZDW) z polskiego, co z kolei wyklucza z udziału w EZ uczniów borykających się z problemami w tym przedmiocie. Z organizacyjnych problemów – takich czy innych – można by ułożyć całą księgę.

Ale Kościół i prawica i tak protestują nie przeciw bałaganowi, tylko przeciwko rzekomej demoralizacji, jaką ma nieść podstawa programowa. Sygnał dali we wspomnianym już liście członkowie Prezydium KEP, sugerując nawet, że posłanie bądź nieposłanie dziecka na nowy przedmiot może zaważyć na... zbawieniu. Abp Marek Jędraszewski przekonywał niedawno pielgrzymów w Kalwarii Zebrzydowskiej, że EZ to „deprawacja", a data 25 września to czas sprawdzenia, „czy naprawdę kochacie swoje dzieci".

Co naprawdę znajduje się w podstawach programowych do tego przedmiotu?

Cała prawda o EZ

Przedmiot składa się z dziesięciu, a w przypadku szkół ponadpodstawowych jedenastu modułów (tym dodatkowym jest ↦

↦ wiedza o polskim systemie ochrony zdrowia). Pierwszy to „Wartości i postawy", promujący m.in. oddawanie krwi, szczepienia czy badania profilaktyczne (w szkołach ponadpodstawowych dochodzi wątek dawstwa szpiku czy organów po śmierci). Trzy kolejne części – związane ze zdrowiem, aktywnością i odżywianiem – dotyczą dobrostanu fizycznego. Chodzi m.in. o codzienną higienę, zapobieganie otyłości, wzywanie karetki i udzielanie pierwszej pomocy, dbanie o kondycję i znajomość technik relaksacyjnych.

Moduł piąty to zdrowie psychiczne, obejmujący profilaktykę oraz rozpoznawanie kryzysów i zwracanie się po pomoc. Lektura wymagań z części szóstej („Zdrowie społeczne") rzuca światło na rzetelność – a właściwie stopień oderwania od rzeczywistości – członków prezydium KEP. Napisali oni, że tam, gdzie w podstawie programowej EZ mowa o rodzinie, jest ona przedstawiana w negatywnym kontekście. Tymczasem uczeń – wedle litery podstawy programowej – ma poznać „funkcje rodziny; opisuje przejawy jej prawidłowego funkcjonowania; omawia wartość rodziny w życiu osobistym człowieka".

Mowa ma też być na lekcjach o koleżeństwie, przyjaźni, zauroczeniu i miłości, zaś w liceach wytyczne MEN dodają do puli tematów m.in. profilaktykę przemocy: fizycznej, psychicznej i ekonomicznej. Moduł siódmy, czyli „Dojrzewanie", dotyczy tylko podstawówek, a obejmuje nie tylko kolejne fazy rozwojowe człowieka, ale też choroby i nieprawidłowości układu moczowo-płciowego oraz temat menstruacji – także w jego równościowym aspekcie (uczeń „charakteryzuje [...] produkty menstruacyjne, wyjaśnia zjawisko ubóstwa menstruacyjnego oraz sposoby przeciwdziałania temu problemowi").

Co mogło rozsierdzić krytyków nowego przedmiotu, którzy przeczytali założenia do ósmego – najbardziej newralgicznego – modułu, czyli „Zdrowia seksualnego"? Zapewne sam fakt wymienienia – choć w konwencji raczej neutralnej – wątków takich jak stereotypy płciowe, orientacja psychoseksualna, tożsamość płciowa, zaś w odniesieniu do liceów antykoncepcja, *in vitro* i aborcja. A kwestia świadomej zgody na współżycie, która ekspertom KEP skojarzyła się z „seksualizacją" i „erotyzacją", pojawia się w kontekście bezpieczeństwa młodych ludzi.

> Fatalny sposób wdrożenia edukacji zdrowotnej to m.in. efekt „Paradoksu Nowackiej": retorycznemu radykalizmowi szefowej MEN towarzyszy zaskakująca spolegliwość na poziomie decyzji.

„Uczeń omawia kryteria świadomej zgody, identyfikuje elementy seksualizacji oraz presji związanej z podjęciem aktywności seksualnej [...], a także wymienia sposoby przeciwdziałania im [...]. Uczeń omawia elementy dojrzałego, świadomego i odpowiedzialnego przygotowania do inicjacji seksualnej oraz wymienia konsekwencje przedwczesnej inicjacji seksualnej" – czytamy w podstawie, której ostatnie części (9. i 10.) dotyczą zdrowia środowiskowego, a także internetu i profilaktyki uzależnień.

Zdrowie przede wszystkim

– To przedmiot z bardzo dobrze napisaną podstawą programową, który mógłby być game changerem polskiej edukacji – ocenia dr Józefowicz. – Żałuję, że moje dorosłe już dzieci nie miały szansy takiego kursu w szkole przejść. Sama jestem ekspertką ds. uzależnień, ale to nie oznacza, że znam się na wszystkich pozostałych obszarach omawianych na EZ. Nie musiałam kilkanaście lat temu wiedzieć, podobnie jak nie muszą wiedzieć tego dzisiejsi rodzice, jak skutecznie reagować na *bullying*, jak rozpoznać symptomy złego dotyku, czy w jaki sposób dobierać dietę i rozpoznawać symptomy chorób zakaźnych albo wyciągnąć kleszcza.

EZ to przedmiot, dodaje psycholożka, który ma służyć wyposażeniu młodych ludzi w umiejętność samopomocy. – Namawiam dyrektorów, by organizowali lekcje elastycznie, nawet jeśli oznaczać to będzie działanie nie do końca zgodne z wytycznymi MEN – mówi dr Józefowicz. – Jeśli w danej społeczności lokalnej wiadomo, że powszechnym problemem wśród dzieci są kryzysy psychiczne, to niech nauczyciele skupią się na kryzysach. A jeśli bardzo dużo jest uzależnień, to nastawmy się na ich profilaktykę. Niech ten przedmiot odpowie na realne problemy dzieci.

Z wydanego rok temu przez Instytut Badań Edukacyjnych opracowania „Sytuacja zdrowotna młodzieży" nie da się niestety o tych realnych problemach wyczytać wiele optymistycznego. Np. w sporządzonym na potrzeby tego raportu przez Lidię Wiśniewską-Nogaj przeglądzie badań widać znane już alarmistyczne trendy (choćby wzrost liczby prób samobójczych), ale też dane, które chyba nie zdążyły przebić się jeszcze do naszych głów – te dowodzące, iż sytuacja zdrowotna młodego Polaka jest wyraźnie gorsza niż przeciętnego młodego mieszkańca rozwiniętej części globu.

Od 2014 r. w niemal każdym z 44 badanych przez WHO krajów (chodzi o cykliczny raport dotyczący jednenasto-, trzynasto- i piętnastolatków „Health Behaviour in School-aged Children") spada deklarowana przez młodzież jakość życia, a wzrastają ich problemy zdrowotne. Przy czym „odsetek polskich nastolatków oceniających swoje zdrowie jako doskonałe jest jednym z najniższych wśród badanych krajów: w grupie 11-latków Polska zajęła przedostatnie miejsce, w grupie 13-latków – trzecie od końca, w grupie 15-latków – ostatnie".

Ponadto polscy nastolatkowie bardzo nisko na tle innych nacji oceniają swoją satysfakcję z życia, dobrostan psychiczny, a częściej niż rówieśnicy z innych krajów deklarują, że doświadczyli jednego z wymienionych symptomów dyskomfortu (m.in. „bóle pleców, głowy, brzucha, trudności ze snem, poczucie bycia zdenerwowanym"). Jeśli dodać do tego badania mówiące, że w relacjach polskich nastolatków z rodzicami istnieją tematy tabu (jak seksualność czy zdrowie psychiczne) – edukację zdrowotną będzie można uznać za przedmiot skrojony pod swoje miejsce i czas. Polskę AD 2025.

Szkoda, że to samo ministerstwo, które z nowym przedmiotem w ten czas i miejsce trafiło, zepsuło następnie wszystko, co było w tej sprawie do zepsucia.

Czy to się da naprawić

Tę historię znamy niby na pamięć, a jednak za każdym razem nas zaskakuje. Roman Giertych miał swoje mundurki, w które chciał powciskać miliony uczniów, a także walkę z Witoldem Gombrowiczem, od którego zgubnych wpły-

wów chciał tych samych uczniów ratować. Przemysław Czarnek w jednej ręce niósł sztandar z napisem „Historia i Teraźniejszość" – w drugiej z hasłem „Stop seksualizacji dzieci". Inni ministrowie mieli swoje – mniej lub bardziej uzasadnione; zrealizowane bądź poniechane – reformy. Wszystkie te edukacyjne projekty łączyło jedno: ich autorzy i/lub główni wykonawcy chcieli je – pomni chwiejności edukacyjnej władzy – przeprowadzić jak najszybciej; zatknąć sztandar słusznej zmiany, a następnie odejść w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

W ten schemat wpisuje się edukacja zdrowotna. Owszem, MEN szykuje też znacznie poważniejszą szkolną zmianę, w postaci reformy podstaw programowych. Tyle że zmiana ta, mniej spektakularna, gorzej nadaje się na mit założycielski nowej edukacyjnej władzy. A właśnie takiego mitu – po serii mniejszych lub większych wpadek – potrzebowało MEN. I nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie fatalny sposób wdrażania EZ.

Błąd numer jeden to efekt zjawiska, które można by nazwać „paradoksem Nowackiej": retorycznemu radykalizmowi szefowej MEN towarzyszy zaskakująca spolegliwość na poziomie decyzji. Gdy z początkiem roku, w trakcie rozpędzającej się kampanii prezydenckiej Władysław Kosiniak-Kamysz ogłosił znienacka, że nowy szkolny przedmiot będzie nieobowiązkowy, Barbara Nowacka odwinęła się tyleż twardą, co błyskotliwą ripostą: Kosiniak pomylił MEN z MON-em. Ale chwilę później okazało się, że to wariant szefa PSL będzie tym obowiązującym.

W dodatku popełniono drugi, poważniejszy błąd: nowy przedmiot wprowadzono co najmniej o rok za wcześnie. We wrześniu 2025 r. stan liczbowy nauczycieli przygotowanych do nauczania edukacji zdrowotnej wynosi... zero. Tak, właśnie zero, bo choć zgodnie z ogłoszonym *ad hoc* w sierpniu (błąd numer trzy) rozporządzeniem nowego przedmiotu mogą

We wrześniu 2025 roku stan liczbowy nauczycieli edukacji zdrowotnej wynosi... zero. Kształcące ich studia podyplomowe ruszyły wiosną tego roku. Pierwsi pojawią się więc we wrześniu 2026 roku.

nauczać m.in. wuefiści, biolodzy, szkolni psycholodzy czy nauczyciele WdŻ, to półtoraroczne, darmowe studia podyplomowe kształcące specjalistów od edukacji zdrowotnej ruszyły wiosną tego roku. Stąd pierwsi fachowcy z prawdziwego zdarzenia pojawią się we wrześniu 2026 r.

– Owszem, można się też szkolić do nauczania tego przedmiotu w ośrodkach doskonalenia nauczycieli. Ale same ośrodki zostały na tę okoliczność wyszkolone w maju, co zważywszy na intensywny w szkołach czerwiec i wakacje, nie daje komfortu spokojnego przygotowania – komentuje dr Józefowicz.

Psycholożka dodaje, że na szczęście jest sporo entuzjastów nowego przedmiotu, którzy doszkolą się w każdych warunkach, ale inni – poddani presji Kościoła czy otoczenia – mogą mieć problem. – Dlatego propozycja MEN, by EZ mogły uczyć zespoły nauczycielskie, jest rozsądna również z uwagi na tę presję – uważa dr Józefowicz.

– Należało dać sobie czas, by wyszkolić nauczycieli, ale też by przygotować ich do komunikacji z rodzicami – uważa Urszula Woźniak z ZNP. – Ten rok przydałby się również do tego, by przekonać samych nauczycieli, że warto tego przedmiotu uczyć. Bo dzisiaj się do tego nie garną, i trudno się dziwić: po pierwsze nie czują się w pełni przygotowani, po drugie nie wiedzą, ile godzin im przypadnie. Teraz uczą np. dziesięć, a w październiku może się okazać, że w związku ze skalą rezygnacji zostaje tych godzin trzy.

Dr Józefowicz do listy ministerialnych błędów związanych z wprowadzeniem w życie nowego przedmiotu dodaje jeszcze jeden punkt: – MEN twardo zadekretowało, że EZ to jedna godzina zajęć w tygodniu. Tymczasem charakter nowego przedmiotu aż się prosi o podejście projektowe, czyli możliwość elastycznego potraktowania i czasu trwania, i częstotliwości zajęć. Wyjście z uczennicami do gabinetu ginekologicznego na rozmowę z lekarką albo warsztaty z reagowania na przemoc to co najmniej kilka godzin, które można by zorganizować np. raz w miesiącu. Kostyczny wymóg, że widzimy się raz w tygodniu na godzinę, może zniechęcać do aktywnych form, a zachęcać do formatu „wykładu".

Co dalej z EZ? W wariancie pesymistycznym podzieli ona los szkolnych efemeryd, w rodzaju HiT-u czy wycofanych reform – a kształceni nauczyciele zostaną „jak Himilsbach z angielskim". Taki scenariusz jest łatwy do wyobrażenia: przyspieszone wybory, do władzy dochodzi prawica, która EZ żegna z pompą porównywalną do pożegnania przez Barbarę Nowacką małopolskiej kurator Nowak.

Wariant optymistyczny? MEN przeprowadza porządną kampanię informacyjną na temat EZ (porządną, czyli nie taką, jak z początkiem września, gdy na korytarze szkół rzucono ulotki). Następnie namawia współkoalicjantów do zmiany statusu EZ na obowiązkową. A nowy przedmiot – nauczany już przez lepiej przygotowanych nauczycieli – przez pozostający do wyborów czas na tyle się przyjmuje, że nikt nie ma odwagi go wyrzucić.

Odpowiedź na pytanie, który z wariantów wygląda dziś na bardziej prawdopodobny, jest równie przewidywalna co treść kolejnej homilii abp. Jędraszewskiego o edukacji zdrowotnej.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny (pełniący obowiązki): MICHAŁ KUŹMIŃSKI
Zastępczyni red. naczelnego: EWELINA BURDA
Redakcja: www.tygodnikpowszechny.pl/redakcja
Wydawca: Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl

promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.
Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów: www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

KRAJ

I KTO TU JEST ONUCĄ

Rosyjskie działania dezinformacyjne przeciw Polsce przybrały postać „wojny kognitywnej". Czy może ją wygrać kraj, w którym wszyscy wyzywają się od agentów Kremla i w którym prawdziwych agentów trudno zneutralizować?

JACEK K. SOKOŁOWSKI

10 WRZEŚNIA 2025 R. OBUDZILIŚMY SIĘ – podobno – w nowej rzeczywistości. Jeśli jednak przyjrzeć się dokładniej, nie jest ona aż tak nowa.

Komentarze w polskiej infosferze, zarówno te pochodzące od ludzi, jak wytworzone przez farmy botów i trolli, w pierwszej dobie po rosyjskim ataku przypisywały odpowiedzialność za niego: Ukrainie – w 38 proc.; Rosji – w 34 proc.; polskiemu rządowi – w 15 proc.; NATO i Zachodowi – w 5 proc. Na te dane Fundacji Res Futura nie miał wpływu komunikat Sztabu Generalnego, w którym wskazano, że „drony" były rosyjskie, jednoznaczne wystąpienia premiera i prezydenta oraz zaprezentowany przez klasę polityczną pokaz chwilowej jedności. A można się spodziewać, że fakt, iż na dom w Wyrykach spadła rakieta wystrzelona z polskiego samolotu, sytuację jeszcze pogorszy.

Dziki Trener i inni

Sugestie bądź jednoznaczne twierdzenia, że za atakiem stać może Ukraina, publikowali w mediach społecznościowych m.in. Łukasz Warzecha, Janusz Korwin-Mikke, Marek Jakubiak, Marcin Rola (sugerował nawet, że może to być prowokacja... polska), Rafał Otoka-Frąckiewicz, X-owy profil tygodnika „Do Rzeczy", liczni politycy Konfederacji, no i oczywiście Grzegorz Braun. To z figur bardziej znanych, występujących pod nazwiskiem czy marką medialną.

Bo w narrację korzystną dla Rosji (straszenie, że Ukraina chce nas „wciągnąć w wojnę", wyśmiewanie polskiej armii, podsycanie nastrojów antyukraińskich) wpisywało się wiele postaci rozpoznawalnych w polskim internecie. Najbardziej charakterystycznym przykładem jest Dziki Trener, mający 2 mln obserwujących na Facebooku, 800 tys. subskrybentów na YouTube, blisko 700 tys. obserwujących na Instagramie. Zajmuje się, jak nick wskazuje, fitnessem. Ale nie tylko: w opublikowanym przez Res Futura zestawieniu najaktywniejszych kont kwestionujących rosyjski atak był na pierwszym miejscu.



CONTRIBUTOR / GETTY IMAGES

Jak to ujął Piotr Wilkin: „Jeśli zastanawiacie się, dlaczego wasza znajoma, którą do tej pory utożsamialiście raczej z hippisowską beztroską lewicą obyczajową, nagle zaczyna wrzucać spoty Brauna na swój *timeline* – to właśnie dzięki nim. Mrowie rozmaitych »trenerów«, którzy wszyscy dziwnym trafem dochodzą do takich samych wniosków – że warunkiem twojego dobrostanu jest sprawne zarządzanie swoimi finansami, dużo jogi, mindfulness i relaks oraz walka ze światowym żydostwem, które podrzuciło nam covid i wszczęło wojnę na Ukrainie, żeby nas podzielić".

Tylko skąd oni wszyscy się wzięli? Jak to się stało, że mówienie o Ukraińcach per „Ukry" zostało znormalizowane? Albo że hasztag #ukropolin nie robi już na nikim wrażenia?

Zaczęło się od Wołynia

Na początku były niszowe grupki na Facebooku. Zajmowały się głównie instrumentalizacją zbrodni wołyńskiej, wykorzystywanej do atakowania i zohydzania Ukraińców oraz – tak się dziwnie składało – ukraińskich dążeń do niezależności od Rosji.

Było to w pierwszych latach po aneksji Krymu, a grupki te – jak się zdaje – animowane były głównie przez ludzi powiązanych z Partią Zmiana, założoną przez Mateusza Piskorskiego, zatrzymanego w 2016 r. przez ABW pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Rosji. Piszę „jak się zdaje", bo nikt tego nie badał. Nikt, poza Marcinem Ludwikiem Reyem, samotnym pasjonatem, toczącym latami upartą wojnę z ludźmi z tego środowiska, zakończoną w ubiegłym roku skazaniem... Reya (nieprawomocnym jeszcze wyrokiem) za zniesławienie jednej z osób prowadzących fejsbukowy profil „Ukrainiec nie jest moim bratem".

W czasie, kiedy polski wymiar sprawiedliwości trudził się nad rozwiązaniem zagadki, czy człowiek, który w ponad stu mailach ustalał podejmowane działania z rosyjskim politykiem Sargisem Mirzakhanianem, jest szpiegiem, czy też nie, niszowe niegdyś grupki zaczęły rosnąć w siłę. Popularność zaczął zdobywać np. niejaki Marcin Rola i jego założony w 2016 r. youtubowy kanał „wRealu24" (internetowa strona została zablokowana w maju 2022 r. przez ABW za rozpowszechnianie dezinformacji, ale rok później sąd przywrócił jej funkcjonowanie). Dodajmy, że przez długi czas był to częsty gość TVP Jacka Kurskiego i TV Republika; niewiele zabrakło, a otrzymałby wsparcie z Funduszu Patriotycznego.

Dzikie Pola

Przekonanie o kluczowej roli mediów społecznościowych jako areny, na której wygrywa się wybory, stało się wśród polityków powszechne po 2015 r. Zarazem był to dla większości z nich teren obcy. Obcy, ale obiecujący – jak Dzikie Pola, które można zagospodarować, wyłamując się przy okazji spod partyjnej kontroli spójności przekazu. Wielu zapragnęło wyrwać z nich poletko, na którym można hodować prywatny elektorat.

Wśród części prawicowego elektoratu rosło przy tym zapotrzebowanie na nonkonformizm wobec mainstreamu, postrzeganego przez pryzmat polityki tandemu Morawiecki–Kaczyński. Nonkonformizm musiał więc być prawicowy i patriotyczny, ale musiał też być niepisowski. O obsłużenie tego zapotrzebowania rywalizowali politycy zrastającej się z trudem Konfederacji z jednej, a środowisk Solidarnej Polski i wewnątrzpisowskich radykałów z drugiej strony.

Nonkonformizm ten polegał głównie na zadawaniu różnych wariantów pytania: „kto za tym stoi?", z niedbale zawoalowaną sugestią, że są to Żydzi, złowroga Unia lub Niemcy oraz służący im politycy. Cichy polityczny sponsor danego konta czy kanału doraźnie zyskiwał na tym, że jego nazwisko w tych kontekstach nie padało; długoterminowo jednak traciła cała klasa polityczna, a szerzej – państwo. Owszem, zaufanie do niego nigdy nie było wysokie, jednak wspólnym mianownikiem przekazu generowanego przez ↦

Próba przed paradą z okazji Dnia Zwycięstwa. Moskwa, 7 maja 2025 r.



↦ nonkonformistyczne „sosziale" była dalsza jego erozja.

I wtedy przyszła pandemia. Trzeba przyznać, że podejmowane przez rząd Morawieckiego działania uwiarygadniały narrację, że państwo prawie do niczego się nie nadaje (pamiętacie zakaz wchodzenia do lasów?). Jednak rozpętana wówczas histeria dotycząca maseczek i szczepionek była czymś niebywałym – robiącym wrażenie zadziwiająco dobrze zorkiestrowanego.

No i tak się jakoś złożyło, że niektórzy z tych, którzy zaczynali od pisania o Wołyniu w latach 2016-2018, w 2020 r. płynnie przechodzili do zrównywania obowiązku noszenia maseczek z obozami koncentracyjnymi, a następnie zaczynali pisać nader dziwne rzeczy w lutym 2022 r.

Na zapleczu

Nie uważam oczywiście, by którakolwiek z wymienionych przeze mnie na początku osób była rosyjskim agentem w sensie dosłownym. Proces formowania się antyukraińskiej, antyszczepionkowej i w ostatecznym kształcie działającej na rzecz realizacji rosyjskich interesów w Polsce patriotycznej internetowej „sceny" był procesem spontanicznym. Ale umiejętnie inspirowanym.

Inspiracja ta przebiegała dwutorowo: poprzez nasycanie infosfery treściami i określeniami radykalnymi i hejterskimi, co normalizowało agresję i pogardę w dyskursie publicznym; oraz poprzez suflowanie wybranym liderom opinii określonych narracji i punktów widzenia.

Realizacja pierwszego z tych działań wymaga raptem kilkunastu ludzi zakładających setki kont, które powielają agresywny przekaz. Nie muszą mieszkać w Polsce ani nawet – w dobie translatorów – mówić po polsku. Do realizacji punktu drugiego agenci są już potrzebni, ale wystarczy ich kilku – byle dobrze zsieciowanych. Tomasz Szmydt np. należał do zaufanej grupy sędziów lojalnych wobec Zbigniewa Ziobry. Czy mógł mieć udział w tym, że polityka tego ostatniego przybrała postać skrajnie radykalną, doprowadzając do szkodzącego Polsce konfliktu z UE, destabilizacji sądownictwa i wytworzenia nierozwiązywalnego konfliktu wokół statusu neosędziów?

Niewidoczna granica

Pablo Gonzales *vel* Paweł Rubcow był z kolei szczególnie aktywny w środowisku dziennikarzy relacjonujących kryzys migracyjny na granicy polsko-białoruskiej. Kryzys dziś postrzegany przez obie strony politycznego spektrum jako element wojny hybrydowej, polegającej na wykorzystaniu specjalnie w tym celu ściągniętych ludzi z Bliskiego Wschodu, których białoruskie służby używały jako „żywej broni".

W 2021 r. media nazywane „liberalnymi" (czyli, tak naprawdę, wspierające PO) przedstawiały go jednak jako masowe łamanie praw człowieka przez „nieludzki reżim PiS". Wyprodukowano wówczas wiele fałszywych informacji, np. zarzucano Straży Granicznej morderstwa i nadużycia, które nie miały miejsca. Przyczyniało się to do dalszego podrywania zaufania do państwa i wywierało na rząd gigantyczną presję, aby wpuścił wszystkich, a „kim są ci ludzie – ustali się później" (jak stwierdziła Iwona Hartwich). Istnieje bowiem, dodajmy, także „lewicowy nonkonformizm" z licznymi politykami, którzy kolonizowali Dzikie Pola mediów społecznościowych po drugiej stronie ideowej barykady.

Co byłoby efektem niekontrolowanego otwarcia granicy w 2021 r.? Radykalny wzrost nastrojów antyimigracyjnych i dalsza erozja autorytetu władz, nakładająca się na wzburzenie społeczne wywołane obostrzeniami pandemicznymi (kryzys na granicy rozpoczął się akurat po wygaśnięciu największej fali protestów covidowych). Destabilizacja kraju miałaby więc szansę osiągnąć apogeum akurat w przededniu pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę. I nasza reakcja na wybuch wojny za wschodnią granicą mogłaby być inna. Zarówno w wymiarze politycznym, jak społecznym: czy otwarlibyśmy „nasze domy i serca" dla dwóch milionów uchodźców z Ukrainy, mając już u siebie co najmniej kilkadziesiąt tysięcy migrantów z Bliskiego Wschodu?

Nieudana prowokacja

Poszlakę, że chronologia tych kryzysów – i intensyfikacja internetowych narracji – nie była przypadkowa, może stanowić zapomniana dziś sekwencja wydarzeń: 26 lutego 2022 r., kiedy okazało się już, że cała Polska mobilizuje się do pomocy Ukrainie, internet zalały informacje o przybywających do Przemyśla „czarnoskórych uchodźcach", mających jakoby atakować kobiety i dzieci.

1 marca Konfederacja zorganizowała w Sejmie konferencję, wzywając do „filtracji" i „selekcji" uchodźców, który to apel natychmiast nagłośnili Grzegorz Braun i Konrad Berkowicz. Na Facebooku powstawały grupy „samopomocy", kolportujące zmyślone – ale alarmujące – informacje i dbające, by dotarły przede wszystkim do mieszkańców Przemyśla. Na ulicach pojawiły się grupy kibiców, zaczepiające ludzi o „podejrzanym" wyglądzie. Sprawę zakończyła zdecydowana reakcja policji.

Kryzys na granicy białoruskiej pokazuje jednak poważniejszy problem. Partie ówczesnej opozycji (i sprzyjające im media) zlekceważyły interes bezpieczeństwa państwa. To prawda: nie wiedziały tyle, ile wiemy teraz – ale nie próbowały się dowiedzieć. Migrantów przez granicę Białoruś przerzucała od czerwca – najpierw na Litwę, potem na Łotwę. Łotewskie MSZ mówiło o wojnie hybrydowej, a UE wsparła oba kraje bałtyckie w ochronie granicy, wysyłając do pomocy personel Frontexu.

Organy unijne, mimo że pozostające w ostrym sporze z rządem PiS, unikały użycia argumentu o naruszeniach praw człowieka na naszej granicy. Szermowali nim przede wszystkim polscy dziennikarze i reprezentanci ówczesnej opozycji. Ci ostatni, jak się okazało – całkowicie instrumentalnie, bo po zmianie władzy kontynuowali politykę poprzedników.

Wina Tuska (i Kaczyńskiego)

Bezpośrednio po ataku „dronów" Grzegorz Sroczyński przekonywał na portalu Gazeta.pl, że problemem nie są Warzecha i Rola ze swoimi prorosyjskimi narracjami, ale PiS i PO, zachowujące się czasem „jak z podręcznika FSB".

Miał wiele racji. Historia destrukcji zaufania do instytucji, polaryzacji i szermowania zarzutami o agenturalność to historia przede wszystkim rywalizacji Tusk–Kaczyński (oraz gotowych na każde ich skinienie aparatów partyjnych i medialnych). Krytyków budowy muru na granicy napędzała głównie nienawiść do PiS, a politykę Ziobry wobec sędziów napędzał jego własny radykalizm; ani Rubcow-Gonzales, ani Szmydt nie musieli się zbytnio trudzić. Nikt też chyba

nie podsuwał PiS-owi pomysłu powołania komisji, oficjalnie do zbadania wpływów rosyjskich, nieoficjalnie do zablokowania Tuskowi powrotu na fotel premiera. Dość wątpliwa pociecha, że ostatecznie tego narzędzia nie użyto i jedynym efektem pracy prof. Cenckiewicza okazał się pełen półprawd i insynuacji serial „Reset".

Powołana przez Tuska komisja o niemal identycznej nazwie opublikowała ostatnio raport, w którym słusznie stwierdziła, że działania dezinformacyjne przeciw Polsce przybrały postać „wojny kognitywnej". Tylko jaki autorytet ma ta komisja w kraju, w którym od czasu katastrofy smoleńskiej każdy już zdążył nazwać każdego rosyjskim agentem, a jedyną osobą skazaną w związku z takim działaniem pozostaje Marcin L. Rey?

Inna sprawa, że ta z kolei komisja powstała jako narzędzie doraźnego *crisis management* po wybuchu skandalu związanego z ucieczką Szmydta na Białoruś. I że powołanie na jej szefa gen. Jarosława Stróżyka z aprobatą przyjął jego kolega, gen. Piotr Pytel. Ten sam, który latami propagował tezę, że „PiS z efektem mimikry realizuje cele Rosji". Problemu zagrożenia bezpieczeństwa przez kryzys migracyjny i stojących za nim służb białoruskich jakoś nie eksponował – przynajmniej dopóki rządził PiS.

O Giertychu i wykreowanej przez niego fali histerii wokół rzekomo sfałszowanych wyborów prezydenckich – która wcale a wcale nie przyczyniała się do destabilizacji państwa – już nie wspominam. Podobnie jak o tym, że polityczne korzenie tego polityka tkwią w środowiskach, z których dziś rekrutuje się najwięcej zwolenników poglądów Marcina Roli.

Czy można coś z tym zrobić?

Stop, bo za chwilę dojdziemy do wniosku, że albo w wojnie kognitywnej żołnierzami Rosji są wszyscy, albo odwrotnie: że Rosjanie nie muszą nic robić, bo Polacy zdestabilizują się sami.

Jednak, mimo unoszących się nad kwestią rosyjskiej dezinformacji oparów absurdu, istnieje jakaś prawda. I ona, obawiam się, leży pośrodku. Tu przestaję zgadzać się ze Sroczyńskim.

Interes, jaki główne partie widzą w napędzaniu polaryzacji, popycha je do działań zagrażających bezpieczeństwu i osłabiających państwo. Ale to nie znaczy, że



CONTRIBUTOR / GETTY IMAGES

Albo nasi politycy ograniczą mechanizm bezwzględnej polaryzacji i cyfrowej dezinformacji, **albo zakres naszej wolności określać będą na Kremlu.**

Rosja nie dąży do zaostrzenia tych działań i nie buduje tu sieci częściowo wirtualnych, a częściowo realnych powiązań, pomagających popchnąć nasze wojny w korzystną dla siebie stronę.

Być może te wojny wyglądałyby inaczej, gdyby nie konieczność rywalizowania przez PiS z Konfederacją o młodego prawicowego wyborcę, zafascynowanego amerykańskim alt-rightem. Którego w stronę radykalizmu i teorii spiskowych (dziwnym trafem, Rosja nigdy się w nich nie pojawia) popychają różni „dzicy trenerzy".

Albo gdyby niektóre konta przestały jednak działać. Pomimo niemożności zerwania z mechanizmem polaryzacji można by przecież temu choć trochę przeciwdziałać.

Można by, ale nie można. Znacząca część problemu leży bowiem jeszcze gdzie indziej, a mianowicie za oceanem. Polska nie ma elementarnej suwerenności cyfrowej. Nie ona jedna zresztą w dobie globalnej dominacji amerykańskich firm technologicznych. Żaden polski organ nie jest w stanie wyłączyć nawet najbardziej agresywnej i ewidentnej prorosyjskiej propagandy; decyzje spoczywają w rękach ludzi takich jak Zuckerberg i Musk.

A każda sugestia, że światową sieć należałoby jakoś kontrolować w imię bezpieczeństwa, spotyka się z wściekłą reakcją obrońców wolności słowa. Złotej wolności.

Wolność nie jest dana raz na zawsze

Zaryzykuję zużyte nieco porównanie do sytuacji Polski w przededniu rozbiorów. Wtedy obrona wolności, za której podstawowy element szlachta uznała *liberum veto*, uniemożliwiała jakąkolwiek reformę prowadzącą do wzmocnienia państwa. Bo w oczach panów braci każde wzmocnienie władzy królewskiej prowadzić musiało do absolutyzmu i ucisku. W tym czasie władcy państw ościennych krok po kroku rozmontowywali monarchie stanowe, budując absolutyzm. Czyli, w ówczesnych warunkach, sprawny organizm państwowy. I tak się jakoś złożyło, że organizmy sprawne i silne rozszarpały ten szczycący się swoją wolnością, ale bezsilny.

Chiny i Rosja poradziły sobie z mediami społecznościowymi w sposób zgodny ze swoją tradycją: po prostu uzależniły je od władzy i poddały cenzurze (a tym, które nie chciały się zgodzić na ograniczenie niezależności, zamknęły dostęp do swojej infosfery). Ale również ojczyzna wolności nie zamierza tolerować internetu silniejszego niż państwo. Kolacja, na której Donald Trump spotkał się z szefami najważniejszych spółek technologicznych – w tym Meta i X – zapowiada nowy rozdział w relacji mediów cyfrowych z władzą. Sądzę, że będzie nim jakaś forma oligarchii. Czas, w którym Twitter zawieszał konto Trumpa, minął. Teraz będą tracić pracę (lub dostawać zakaz wjazdu do USA) ludzie, którzy wyrazili w internecie radość z powodu zabójstwa Charliego Kirka. Co to dokładnie znaczy, że „wyrazili radość", i kto będzie o tym decydował – nie wiemy.

Wniosek? Albo nasi politycy ograniczą mechanizm bezwzględnej polaryzacji i podejmą próbę przeciwdziałania cyfrowej dezinformacji – także za cenę ograniczenia wolności słowa – albo zakres naszej wolności określać będą rosyjscy politycy i amerykańscy oligarchowie.

Niewykluczone, że wspólnie i w porozumieniu. © JACEK K. SOKOŁOWSKI

Gminny plan obrony

TEKST I ZDJĘCIA ANTONINA PALARCZYK

REPORTAŻ | Powietrze rozdziera skowyt syreny. Ale spokojnie, to tylko test systemu alarmowego. W przesmyku suwalskim, do którego zjeżdżają dziś media z wielu krajów Europy, życie toczy się normalnie. No, prawie normalnie.



Poniedziałek, 15 września. Trwają ćwiczenia „Zapad 2025" – nie tylko na Białorusi, ale też w rosyjskim obwodzie królewieckim. Nagłówki wielu mediów w Europie rozgrzewa temat pasma ziemi między nimi: przesmyku suwalskiego, który łączy kraje bałtyckie z Polską i resztą NATO. W razie konfliktu to on jest wskazywany jako pierwszy cel.

Tymczasem w miejscu, gdzie przesmyk się zaczyna – na trójstyku Polski, Litwy i Rosji – wetknięta jak świeczka w tort, łopocze flaga Związku Sowieckiego. Powiewa za zasiekami z concertiny, parę metrów od poczciwej polskiej już tablicy z informacją o dofinansowaniu z funduszy unijnych. *Znamja Pobiedy*, Sztandar Zwycięstwa, opatrzona podpisem wskazującym na 150. Dywizję Strzelecką, która w 1945 r. zdobywała Reichstag.

Puńsk: w cieniu trójstyku

W Puńsku – niewielkiej, liczącej tysiąc kilkuset mieszkańców wsi na Pojezierzu Suwalskim, cisza po sezonie.

Przygraniczna polska wieś, pół godziny autem od trójstyku i jeszcze mniej od granicy z Litwą, pogrążona jest w drzemce, niezmąconej burzą w mediach. W knajpie z litewskim menu trwa stypa, auta żałobników ciągną się wzdłuż chodnika. Młoda kobieta w mundurze Straży Granicznej czeka przy barze na catering. Pogranicznicy lubią się tu stołować, mówi kelnerka Dominika. Niedługo wraca do Trójmiasta, na studia i do pytań znajomych, czy nie boi się jeździć w rodzinne strony. Wzrusza ramionami.

– Wczoraj widziałam się z kolegą, który jest w armii – opowiada. – Nie wiedziałam, że mamy taki sprzęt i zasoby w polskim wojsku, oni są non stop ćwiczeni. Teraz jest czas, by pokazać gotowość. Myślę, że zaplecze mamy. Ale czy mamy dość ludzi, którzy w razie czego pójdą walczyć?

Dominika twierdzi, że ludzie w tym roku boją się spędzać wakacje na Suwalszczyźnie. – Rozmawiałam z mnóstwem klientów, którzy mieli tu przyjechać całą paczką znajomych, a ostatecznie odważyli się pojedynczy turyści.

Gmina kupuje agregaty

– Mówi się, że przesmyk suwalski to pięta achillesowa NATO – Witold Liszkowski jest wójtem i Litwinem, jak 80 proc. mieszkańców Puńska. – Nie zgadzam się. Piętą achillesową jest brak porozumienia między politykami w Polsce, Unii i NATO. I oczywiście nieprzewidywalność prezydenta Trumpa. Jeśli jako kraje NATO pokażemy jedność, nikt nas nie napadnie. Nikt nie wygra na dwóch frontach. Dlatego trzeba skupiać się na pomocy Ukrainie. Oni tam oddają krew, a my tylko pieniądze. Kto tego nie rozumie, jest podnóżkiem Putina – wójt jest stanowczy.

Pytany o przygotowania w razie, nazwijmy to, niepokojących aktywności wojska w obwodzie królewieckim i na Białorusi, wójt żartuje, że pierwszą myślą jest uciec jak najdalej. Ale zaraz poważnieje: – Jeśli chodzi o obronę cywilną, do końca września musimy przygotować gminny plan, który będzie spójny z planami wojewódzkimi. W maju rząd przyjął Program Ochrony Ludności i Obrony Cywilnej, teraz my się dostosowujemy.

Co przewiduje gminny plan? Wójt: – Na przykład przygotowanie infrastruktury krytycznej. Jeśli padną wodociągi, mamy odpowiadać za zastępcze dostawy wody, zapewnienie mobilnej stacji uzdatniania i zbiorników. Musimy też przygotować magazyny żywności. Niekoniecznie, rzecz jasna, dla wszystkich mieszkańców, ale przynajmniej dla części i dla państwowych pracowników, bo urząd musi pracować. Odpowiadam za to, by pracować i pomagać. Właśnie kupujemy dwa agregaty prądotwórcze.

Czy mieszkańcy się boją? Liszkowski: – Żyjemy, rodzimy, prowadzimy inwestycje, uprawiamy ziemię. Niepewność jest, ale strachu nie ma. Myślę, że to nie nasze przygotowania budzą panikę, ale że odpowiadają za to media. Nieodpowiedzialnie żerują na niepokojach.

Wójt przyznaje, że jest mniej turystów i inwestorów: – Mamy fajne działki przy jeziorach, których nikt nie kupuje. Bywa, że niektórzy turyści, jak już się po-



Po lewej: sowiecka flaga i zasieki na trójstyku granic Polski, Litwy i Rosji.

Po prawej: Witold Liszkowski jest wójtem Puńska i Litwinem. Mówi, że jeśli jako kraje NATO pokażemy jedność, nikt nas nie napadnie. Nikt nie wygra na dwóch frontach. Dlatego trzeba skupiać się na pomocy Ukrainie. 15 września 2025 r.

jawią, to z przygotowanym plecakiem ewakuacyjnym. Niektórzy ludzie, którzy chcą przyjechać z dalszych części Polski, dzwonią i pytają, czy u nas nie ma wojny, czy nie widzieliśmy ruskich.

Sejny: opowieść na ciemne czasy

Przyjeżdżając do Sejn z pytaniem o życie na pograniczu, wyjedzie się pełnym zachwytu wobec multikulturalnego tygla, jaki można tu zastać. Niepewność ulatuje, a pojęcie granicy nabiera jakby ciepłego brzmienia.

Od ponad 30 lat działa tutaj, a także w Dworze Miłosza w Krasnogrudzie, „Ośrodek Pogranicze – sztuk, kultur, narodów". Ma misję: łączenie pracy w społeczności pogranicza z diagnozą współczesnej kultury i refleksją nad problemem tożsamości i pamięci. Tak to opisują na swojej stronie.

– Tu przenikają się religie, zwyczaje, tradycje muzyczne – opowiada Piotr Szroeder, członek zespołu „Pogranicza". – W Sejnach gra nasza klezmerska orkiestra, obok w Żegarach można usłyszeć litewskie pieśni polifoniczne. Naprzeciw synagogi jest cerkiew, a z meczetu tatarskiego niedaleko na cmentarz staroobrzędowców. Wszystko to się przenika i to jest piękne.

Szroeder: – Z drugiej strony pogranicze zawsze było miejscem trudnym, o skłóconej sąsiedzkiej pamięci, której dziś próbujemy nadać artystyczną formę. Nasza praca w dużej mierze oparta jest na młodych. I na sztafecie pokoleń: młodzi ludzie zbierają opowieści dziadków i później je opowiadają.

Czasem ich praca to także zaopiekowanie się pustką. Jak w samych Sejnach, kiedyś miasteczku żydowskim, gdzie Żydów już nie ma – została pusta Biała Synagoga. Odbywają się tu koncerty klezmerskie i inne imprezy organizowane przez ośrodek. – Przywołujemy tamten świat za pomocą muzyki – mówi Piotr Szroeder. – Tworzymy dobre opowieści, które pozwalają żyć w sąsiedztwie. Zwłaszcza w takich czasach jak teraz, ciemnych i niepewnych.

Suwałki: kto obroni Europę

Wróćmy jednak do tu i teraz.

Syn Andrzeja znalazł w swoim polu kukurydzy dwóch czarnoskórych uchodźców – w porę zdołali uciec, bo nie ręczył za siebie. Dwaj synowie Józefa są w wojsku, jeden jako oficer. Andrzej i Józef siedzą w ogródku piwnym na deptaku w Suwałkach, przy czarnej kawie. Żywiołowo odpowiadają na pytania. Wyjaśniają, że przesmyk to dziś najbardziej bezpieczne miejsce na świecie.

– Po pierwsze, jesteśmy w NATO. Po drugie, Matka Boska jest naszą królową, więc nie ma czego się bać. Ona jest oficjalnie królową Polski i nas obroni – mówi Józef, a Andrzej kiwa głową. – Putin z Łukaszenką mają za krótkie rączki dla nas.

– Słyszałam dziś na mieście plotki, że niby jacyś młodzi uciekli na Rumunię, obawiając się mobilizacji do wojska – dopytuję.

– Bzdury! Kobieto, jak to my, Polacy, uciekniem? My tu skurwysynów będziemy...

– Józef, po co takie rzeczy – Andrzej mityguje kolegę.

– Ja po prostu nie jestem dyplomatą. Mówię, jak jest. My na ruskich wychowani. Jak był rok 1920, to daliśmy im popalić. My, Polacy, obroniliśmy całą Europę. Jak Turkami była zagrożona, to co Sobieski zrobił z husarią? Rozwalił ich i obronił Europę.

Wigry: NATO powinno wejść

– Mój dziadek poszedł do Legionów Piłsudskiego, kiedy miał 18 lat. Skoro dziadek nie bał się pójść na wojnę, to wnuk też się nie boi agresji, nawet Rosji. Będę pierwszą osobą, która chwyci za broń i spróbuje najeźdźcę wygnać. Jeśli zajdzie taka potrzeba – Henryk odkłada gazetę i gramoli się ze swojej taksówki, oldskulowego mercedesa.

Ma 67 lat, do tego zgrabnego wąsa, bo wąsy się po prostu kultywuje, przechodzą z ojca na syna, a później na wnuka, jak tłumaczy. Henryk czeka na zakończenie mszy przed klasztorem w Wigrach, ma odwieźć solenizantkę do domu. Wieczór kładzie się na okalającym klasztor jeziorze. Robi się chłodno. ↦



Taksówkarz Henryk uważa, że NATO powinno jak najszybciej wprowadzić swoje wojsko, żeby zakończyć ten dramat, który przeżywa Ukraina.

Józef w ogródku piwnym na deptaku w Suwałkach mówi, że przesmyk suwalski to dziś najbardziej bezpieczne miejsce na świecie. 15 września 2025 r.



↦ – Czyta pan wiadomości?

– Niezbyt, ale my tu się w ogóle nie boimy, proszę mi wierzyć. Myślę, że wojny nie będzie. I myślę, że NATO powinno jak najszybciej wprowadzić swoje wojsko, żeby zakończyć ten dramat, który przeżywa Ukraina. Jestem za tym, żeby pokazać Rosji, nawet zbrojnie, gdzie jest jej miejsce.

Sokółka: strop w piwnicy

– Amelia na komunię dostała drona – zza fotela w cukierni w Sokółce, rzut beretem od zamkniętego na głucho przejścia granicznego z Białorusią, dobiegają strzępki intensywnej dyskusji trzech kobiet. – Może ten dron, co latał nad Belwederem, to sobie dla zabawy ktoś puszczał? Ci chłopacy, co ich zatrzymali, mieli po szesnaście lat. Podobno.

Ich znajomi ze stolika obok dyskutują o Staszku, który od niedawna się buduje. Ktoś uważa, że mógłby zrobić porządny strop w piwnicy – taki, który nadawałby się na bunkier. Ktoś inny przebąkuje, że myślał o przygotowaniu torby ewakuacyjnej. Na wszelki wypadek.

Wraca temat ataku dronowego sprzed sześciu dni. Jedna z pań wspomina rozmowę ze znajomą Ukrainką: – Mówię jej: Luda, przecież to przyleciało z Ukrainy. I wiecie co? Ona mi wytłumaczyła, że przecież Ukraińcy nie dali rady wszystkiego zestrzelić.

Kuźnica: znajomi zamilkli

Do końca ćwiczeń „Zapad 2025" zostało kilka godzin. Nad zamkniętym przejściem w Kuźnicy zapada noc. Nie widać już nawet skrawka Białorusi zza szlabanów, płotu i zasieków.

Starszawa barmanka nie jest w humorze. Zza okna widać jak na dłoni przejście, na barowych ścianach wisi gitara pokryta podpisami i oprawione w ramki dwa podziękowania od brygad Wojsk Obrony Terytorialnej, stacjonujących tu w 2021 r. Za czułość i za ciepło okazane żołnierzom podczas wykonywania ich obowiązku obrony polskich granic.

Wspomnienia tamtego przedziwnego czasu mieszają się ze zdawkowymi opowieściami o przemycie papierosów, które snuje wielki jak stodoła gość stojący na zewnątrz.

– Mam dużo znajomych na Białorusi, dużo rozmawiamy, ale ostatnio coś zamilkli. Osiem paszportów zajechałem, zapełniłem pieczątkami – olbrzym ma na imię Mirosław. Od pięciu lat nie był na Białorusi, odkąd po raz pierwszy zamknięto przejście, pozbawiając zajęcia większość mieszkańców Kuźnicy, jak twierdzą Mirosław i Dorota, barmanka.

Od paru dni klientów ma tyle, co kot napłakał, nie ma żadnych kierowców. – Bo wie pani, tym Białorusinom to łatwiej przychodziło rozmawiać z nami niż między sobą. Bo tam u nich człowiek się boi człowieka, że ten doniesie. Nam mogą się wygadać bez strachu – mówi Dorota.

Test w rocznicę

Pytana o przygraniczną rzeczywistość, Dorota wzrusza ramionami. Ciężko jest i będzie, co tu dużo mówić: – NATO? A czemu NATO miałoby się przejmować Kuźnicą? Ale nie boję się, bo jakby na Polskę napadli, to przez Kuźnicę rosyjskie wojska będą przecież tylko przejazdem. Nic nam się nie stanie.

Środa, 17 września. Poranek przychodzi jak gdyby nigdy nic. Tylko na chwilę powietrze w miejscowościach pogranicza rozdziera przeciągły skowyt syreny. Nie, nic się nie dzieje, to tylko test sprawności systemu alarmowego. Tak przy okazji rocznicy sowieckiej inwazji na Polskę.

© ANTONINA PALARCZYK

Niedaleko do Królewca

MAREK RABIJ

NATO | W krajowej publicystyce przesmyk suwalski urósł do symbolu strategicznej słabości Polski i NATO. A gdyby tak na ten sam skrawek mapy spojrzeć z perspektywy strachów Rosji?

Gdyby wnioski z zakończonych właśnie manewrów „Zapad 2025" wyciągać tylko na podstawie relacji rosyjskich mediów, można dojść do wniosku, że największym sukcesem ćwiczeń był udział 65 żołnierzy z Indii. Rosji i Białorusi udało się zebrać z tej okazji przy granicy z Polską i Litwą zaledwie kilkanaście tysięcy wojska. Trudno o bardziej czytelny sygnał, że Moskwy, która każdego dnia traci na wojnie w Ukrainie ponad tysiąc żołnierzy, nie stać aktualnie na otwarcie równoległego drugiego frontu. Na przykład w okolicy Suwałk.

70 km strachu

Ćwiczenia „Zapad" przykuwają uwagę opinii publicznej w Polsce i w krajach bałtyckich co najmniej od roku 2015. Wówczas, podczas konferencji bezpieczeństwa CEPA Forum ówczesny głównodowodzący sił amerykańskich w Europie generał Frederick Hodges zdradził, że odcinek polsko-litewskiego pogranicza w rejonie Suwałk, liczący w najwęższym miejscu ok. 70 kilometrów, stanowi dla NATO zagrożenie z uwagi na możliwość odcięcia państw bałtyckich poprzez szybki atak z Białorusi lub obwodu królewieckiego.

Rosja uważa basen Morza Bałtyckiego za swoją strefę wpływów od końca II wojny światowej. Jeszcze w 1989 r. dyktowała tu *status quo* od Wysocka w Zatoce Fińskiej aż po niemiecką Lubekę. Główną bazą radzieckiej Floty Bałtyckiej był Tallin, okręty pod czerwoną banderą stacjonowały też w Rydze i Kłajpedzie, a turystów na plaży w Kołobrzegu płoszyły przelatujące tuż nad wodą MiG-i z czerwonymi gwiazdami na skrzydłach, startujące z sowieckiej bazy w pobliskim Bagiczu.

Polityczna i militarna neutralność Finlandii i Szwecji czyniła z Bałtyku niemal akwen wewnętrzny ZSRR. Rozpad radzieckiego państwa, a potem wejście obu skandynawskich krajów do NATO diametralnie zmieniło jednak ten układ sił. Dziś Bałtyk jest *de facto* morzem wewnętrznym Sojuszu. Na znaczeniu stracił także polityczny straszak, jakim była do tej pory wizja ataku na przesmyk suwalski. Rosja wciąż może w ten sposób odciąć na lądzie trzy kraje NATO od reszty Europy, ale gdyby do tego doszło, Litwa, Łotwa i Estonia nadal miałyby za plecami sojuszników. W rosyjskich analizach często pojawiają się sformułowane wprost obawy o przyszłość obwodu królewieckiego.

Ahoj, Kralovec

Od fińskiej granicy, która od dwóch lat jest też granicą z Sojuszem, do Petersburga jest niespełna 30 kilometrów. Stacjonująca w Bałtyjsku flota bałtycka, licząca niespełna 30 okrętów wojennych, może zostać łatwo uwięziona poprzez blokadę Cieśniny Pilawskiej przez siły Sojuszu. W reakcji na tę nagłą zmianę układu sił w regionie, w ub. roku Putin podpisał dekret o odtworzeniu moskiewskiego i leningradzkiego okręgu wojskowego. W skład tego ostatniego wchodzi także obwód królewiecki, w którym tamtejszy 11. Korpus ma zostać rozwinięty do poziomu armii. Może się to wydawać jedynie semantyczną drobnostką, ale w rosyjskiej doktrynie wojennej oznacza nabycie nowych kompetencji, także w zakresie użycia innych rodzajów broni. W Bałtyjsku trwa rozbudowa ośrodka wywiadu elektronicznego, który – czego Kreml nawet nie ukrywa – ma przechwytywać sygnały emitowane przez siły NATO. Również z obwodu królewieckiego Rosja zakłóca sygnał GPS, utrudniając żeglugę i loty nad Bałtykiem.

Wszystkie ruchy na zachodniej flance Rosji trzeba oczywiście uważnie śledzić, ale nie warto wyciągać z nich pochopnych wniosków. Część tych decyzji jest reakcją na rozszerzenie NATO, czego Kreml zwyczajnie nie wziął pod uwagę, kalkulując atak na Ukrainę. Po drugie, wiele jednostek formalnie osłaniających północno-zachodnią flankę Rosji od dawna walczy w Ukrainie.

Wedle wyliczeń estońskiego wywiadu, pod koniec roku 2021 w obwodzie królewieckim stacjonować miało około 12 tysięcy żołnierzy. Rok później miesięcznik „Foreign Affairs", analizując sytuację w Królewcu w oparciu o amerykańskie źródła wywiadowcze, pisał o najwyżej sześciotysięcznym korpusie. Latem ub. roku litewski minister spraw zagranicznych oficjalnie przyznał z kolei, że dane litewskiego wywiadu mówią o skierowaniu części wojsk z Królewca do obrony obwodu kurskiego zaatakowanego wówczas przez Ukrainę. Po wyparciu Ukraińców siły te miano następnie przesunąć na front na wysokości Chersonia.

■■■

Przesmyk suwalski jest więc nadal miejscem, w którym NATO może przejść próbę ognia. Histeryczne reakcje Moskwy na żarty internautów, które kilka lat temu sugerowały, by Kaliningrad przemianować na Kralovec i zmienić w czeską eksklawę nad Bałtykiem, pokazują jednak, że także Rosja nie czuje się tutaj pewnie. ©℗

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

debata POWSZECHNA

KRAKÓW wspólnota kultury

25 WRZEŚNIA
w siedzibie Radia Kraków
(al. Juliusza Słowackiego 22)
odbędzie się debata
„Kraków – wspólnota kultury”.

Porozmawiamy o dziedzictwie i tożsamości kulturowej miasta, dostępności kultury dla mieszkańców, nowych wyzwaniach twórców i przemysłów kreatywnych oraz o polityce kulturalnej Krakowa.
Szczegóły w serwisie
www.tygodnikpowszechny.pl

BĄDŹ Z NAMI, JEŚLI CHCESZ WSPÓŁTWORZYĆ KRAKOWSKĄ KULTURĘ!

PROGRAM KONFERENCJI

W ramach wydarzenia odbędą się cztery panele dyskusyjne z udziałem krakowskich instytucji kultury, muzeów, galerii, bibliotek, teatrów, wydawnictw, organizacji pozarządowych i uczelni.

9.00–9.15
Powitanie
Daniel Wiśniowski – dyrektor Departamentu Marki Kraków
Michał Kuźmiński – p.o. redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego”

9.20–10.30
Panel I: Dziedzictwo i tożsamość kulturowa Krakowa
Panel poświęcony znaczeniu dziedzictwa materialnego i niematerialnego w kształtowaniu tożsamości miasta. Reprezentanci muzeów, instytucji zajmujących się ochroną zabytków oraz badacze z uczelni dokonają bilansu dotychczasowych działań na polu zachowania i popularyzacji krakowskiego dziedzictwa.

Moderator: **Michał Sowiński** („Tygodnik Powszechny”)
Paneliści: prof. **Andrzej Betlej** (Zamek Królewski na Wawelu), **Dorota Ignatjew** (Teatr Stary), **Joanna Szulborska-Łukaszewicz** (ekspertka w dziedzinie kultury), **Natalia Zarzecka** (Cricoteka)

10.35–11.45
Panel II: Kultura dla mieszkańców: dostępność, uczestnictwo i dialog
Panel skupiony na odbiorcach kultury i zaangażowaniu społeczności lokalnej. Przedstawiciele bibliotek publicznych, organizacji pozarządowych oraz miejskich domów kultury podzielą się doświadczeniami w upowszechnianiu uczestnictwa kulturalnego.

Moderator: **Anna Goc** („Tygodnik Powszechny”)
Paneliści: **Zbigniew Grzyb** (Nowohuckie Centrum Kultury), **Ada Kopeć-Pawlikowska** (Żydowskie Muzeum Galicja), **Agnieszka Staniszewska-Mól** (Biblioteka Kraków)

12.15–13.30
Panel III: Twórcy i przemysły kreatywne: nowe wyzwania
Panel koncentrujący się na współczesnej twórczości artystycznej i sektorach kreatywnych w Krakowie. Wezmą w nim udział reprezentanci galerii sztuki współczesnej, teatrów, wydawnictw oraz inicjatyw z pogranicza kultury i nowych mediów.

Moderator: **Georgina Gryboś** (Radio Kraków)
Paneliści: prof. **Andrzej Bednarczyk** (Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie), dr **Michał Koza** (Katedra Krytyki Współczesnej UJ), **Małgorzata Płysa** (Unsound)

13.30–14.45
Panel IV: Polityka kulturalna Krakowa: partnerstwa i rozwój
Panel poświęcony zarządzaniu kulturą w mieście oraz planowaniu jej przyszłości. Do dyskusji zaproszeni zostali przedstawiciele samorządu, dyrektorzy instytucji kultury oraz eksperci zajmujący się strategią rozwoju miasta.

Moderator: **Justyna Nowicka** (Radio Kraków)
Paneliści: **Katarzyna Nowak** (Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha), **Katarzyna Olesiak** (Agencja Rozwoju Miasta Krakowa), **Paweł Szczepanik** (pełnomocnik prezydenta miasta Krakowa ds. kultury), prof. **Andrzej Szczerski** (Muzeum Narodowe w Krakowie)

14.45–15.00
Podsumowanie konferencji
Łukasz Sęk – II zastępca prezydenta miasta Krakowa
Michał Sowiński – „Tygodnik Powszechny”

15.00–16.00
Lunch i rozmowy

Wydarzenie jest otwarte dla publiczności – wystarczy pobrać darmową wejściówkę



ORGANIZATOR TYGODNIK POWSZECHNY
PARTNER GŁÓWNY Kraków
PARTNER Radio Kraków

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

OLGA

Drenda: *Wmuszanie*



Jakieś dziesięć lat temu użytkownicy popularnego serwisu mikroblogowego Tumblr, służącego zazwyczaj do gromadzenia zdjęć czy obrazów w ulubionej estetyce, mogli się mocno zdziwić patrząc na stronę główną. Znaleźli tam obrazy, których z dużym prawdopodobieństwem oglądać nie zamierzali. Zamiast stopklatek ze stylowych starych filmów, sesji mody i lekko kiczowatych aktów, dostali sceny godne niesławnego czasopisma „Zły", zdjęcia z kostnicy, makabryczne „pamiątki" z egzekucji w wojnach gangów, ciała zmasakrowane w wypadkach. Była to jedna z odsłon wzajemnych „najazdów" z użytkownikami innej platformy, słynących z zamiłowania do trollowania bywalców serwisu 4chan; obie strony odpowiadały sobie nawzajem atakami hakerskimi i rozmaitymi aktami sabotażu. Przy okazji oberwali zupełnie zwyczajni użytkownicy, którzy znaleźli to, czego wcale nie szukali i szukać nie chcieli.

To „wmuszanie" komuś drastycznych scen przypomina mi się czasami dzisiaj, bo niepostrzeżenie zmienił się sposób, mówiąc brzydko, konsumpcji obrazów przemocy. Niby obowiązuje konsensus, zgodnie z którym „na powierzchni" nie tylko nie należy epatować śmiercią, ale wręcz można ponieść konsekwencje za publikowanie treści zbyt wrażliwych. Jednocześnie i tak pozostaje jasne, że dla chcącego nic trudnego i obrazy te są dostępne, choć nie od ręki. Nie tak trudno je znaleźć, ale wymaga to pewnego wysiłku i przede wszystkim aktywnej zgody użytkownika.

Takich poszukujących jest oczywiście niemało, bo pokusa ciekawości wiodącej do naruszenia tabu, nawet przy świadomości ryzyka szkody dla własnej psychiki, jest duża. Oczywiście w kontrolowanych, bezpiecznych warunkach, kiedy sami jesteśmy cali i zdrowi, z daleka. Poszkodowany w wypadku niekoniecznie chce patrzeć na własne obrażenia, co innego gapie, którzy trochę odwracają oczy, a trochę jednak nie.

Co do nas dopływa?



OLGA DRENDA

We wczesnych latach istnienia internetu wiedza o pewnej stronie zaczynającej się na „r", zawierającej makabryczne zdjęcia, była w jakimś sensie oznaką wtajemniczenia, świadectwem, że oto przeszedłem próbę ognia i wiem, na czym internet polega. O ile jednak nie dochodziło do takich przypadków jak wspomniany atak na Tumblr, pozostawało jasne, że nie podstawia się drastycznych obrazów znienacka i prosto pod oczy. Chcesz zobaczyć śmierć – robisz to na własną odpowiedzialność, adres strony musisz wpisać sam.

Oczywiście dopóki nie wchodzisz na pewien serwis społecznościowy, a pewnie i nie tylko. Tam stosowana jest polityka powielania jak najczęściej kadrów z głośnych zbrodni i serwowania czyichś ostatnich chwil widzom bez pytania o zgodę. Wchodząc po wiadomości, po to, by się pokłócić czy kogoś poobrażać – otrzymują niezamawiany cios prosto w oczy. Przy tym strategia nie jest tu radośnie sadystyczna, jak w przypadku użytkowników 4chan, którzy czerpali frajdę z zaskoczenia i obrzydzenia swoich przeciwników. Przypomina raczej metodę tabloidu, czyli udawane oburzenie: „to skandaliczne, odrażające, bulwersujące, jak tak można – dlatego zobaczmy to jeszcze raz, na powiększeniu i w zwolnionym tempie".

Stare dobre tabloidy wiedziały, że okrutnym treściom musi towarzyszyć notka pozornie rozgrzeszająca i nadawcę, i czytelnika, by mogli usprawiedliwić się sami przed sobą. Tu mamy do czynienia ze zjawiskiem nieco podobnym, lecz nie takim samym. W latach 60. medioznawca George Gerbner zidentyfikował złudzenie poznawcze zwane „syndromem podłego świata", występujące wśród ludzi konsumujących zbyt wiele treści z telewizji. Ich percepcja okazywała się znacznie bardziej pesymistyczna niż wynikałoby to z jakichkolwiek danych, ale także z ich własnego doświadczenia. Żyli spokojnym i przewidywalnym życiem, co nie kłóciło się z przekonaniem, że za każdym rogiem czyha nieuchronne zagrożenie. Przejawiali o wiele więcej strachu, nieufności, a koniec końców – cynizmu. Ten negatywny interfejs był kształtowany przez dobór informacji, które do nich docierały, jak przez wąską rurkę.

Epatowanie bez ostrzeżenia i umiaru scenami przemocy to współczesna maszyna do produkowania syndromu podłego świata na skalę przemysłową. Rurka z danymi jest tak wąska, że nie widać już żadnego światła, a jako produkt końcowy powstaje człowiek tak naładowany strachem i oburzeniem, że przestaje wierzyć nawet w rzeczywistość dookoła siebie. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".



PODSTAWÓWKA W STREFIE H2

Ten rok szkolny na Zachodnim Brzegu Jordanu będzie wyjątkowo trudny. Mali Palestyńczycy będą uczyć się tylko trzy dni w tygodniu, czas dotarcia do szkół się wydłuża.

JAN POCHEĆ Z HEBRONU

W Hebronie na Zachodnim Brzegu Jordanu funkcjonuje 165 publicznych szkół. Miasto, w którym żyje ok. 215 tys. Palestyńczyków i kilkuset żydowskich osadników, podzielone jest na strefy: H1 (kontrolowaną przez Autonomię Palestyńską) oraz H2, która jest pod kontrolą armii izraelskiej. Są oddzielone punktami kontrolnymi, co powoduje problemy z dotarciem dzieci do szkoły.

Sahra, młoda nauczycielka ze wsi Beit Umnar, opowiada, że po 7 października 2023 r. jej droga do pracy wydłużyła się o 40 minut z powodu czterech dodatkowych punktów kontrolnych, Dzień ataku Hamasu to data przełomowa dla palestyńskiej ludności. Od tej pory Izrael zwiększył na Zachodnim Brzegu liczbę checkpointów, a jakakolwiek propaństwowa działalność (bynajmniej nie zbrojna) kończy się aresztowaniem.



MAMOUN WAZWAZ / XINHUA / ABACA / PAP



JAN POCHEĆ

W szkole dla niewidomych i słabowidzących dzieci w Hebronie.
Palestyna, 10 września 2025 r.

Po lewej:
Palestyńscy uczniowie rozpoczynają nowy rok szkolny na Zachodnim Brzegu Jordanu, kontrolowanym przez izraelską armię.
Hebron, 8 września 2025 r.

TRZY DNI | To nie jedyny problem Sahry. Od 2021 r. nie otrzymuje pełnej wypłaty za swoją pracę w publicznej szkole i ma problem z utrzymaniem się. W poprzednich latach szkoły pracowały przez cztery dni w tygodniu. W tym roku sytuacja jest jeszcze gorsza – wszystkie państwowe szkoły działają tylko trzy dni w tygodniu.

Brak wypłat wynika ze wstrzymania przez izraelski rząd transferów pieniędzy do budżetu Autonomii Palestyńskiej, mimo że mieszkańcy Zachodniego Brzegu odprowadzają podatki także do Izraela.

W dalszej perspektywie mniejsza liczba zajęć to dla młodych Palestyńczyków malejąca możliwość wyjazdu na studia; uczelnie coraz częściej wymagają dodatkowego roku nauki, by nadrobić zaległości. Brak finansowania edukacji można interpretować jako element systemowego ograniczania szans Palestyńczyków.

CHECKPOINTY | Linia rozgraniczająca Hebron – drugie największe palestyńskie miasto (największym do niedawna była Gaza) – na strefy H1 i H2 to nie tylko administracyjny zapis w porozumieniach. To granica, która dzieli społeczności, ogranicza kontakt rówieśników i szanse na edukację dla tych, którzy żyją pod kontrolą armii.

W strefie H2 dzieci codziennie muszą przekraczać kilka punktów kontrolnych, by dotrzeć do szkoły. W ekstremalnym przypadku, jak w Ziad Jaber Primary School, punkt kontrolny znajduje się naprzeciw podstawówki.

Były nauczyciel angielskiego, który pracował tu wiele lat, twierdzi, że to jedno z najtrudniejszych miejsc dla pedagogów. Do tej szkoły chodzą głównie chłopcy z biednych domów, którzy wobec braku perspektyw łatwo się radykalizują. Żołnierze stacjonujący blisko szkoły nie deeskalują napięć, co często prowadzi do pobić i szarpanin. Dodatkowo zamknięto główne wejście, zmuszając uczniów i nauczycieli do obierania okrężnej drogi.

OPÓR CYWILNY | Ministerstwo edukacji z Ramallah, gdzie ma siedzibę Autonomia Palestyńska, kieruje do tej szkoły niedoświadczoną kadrę, gdyż nikt inny nie chce podjąć pracy w tak trudnych warunkach. Ich obawy są uzasadnione, co pokazał incydent z 2019 r., gdy żołnierze izraelscy wkroczyli do szkoły i aresztowali 10-letniego chłopca (został później zwolniony bez postawienia zarzutów).

Przykład ten obrazuje szerszy problem szkół w strefie H2: izolowane wśród dziesiątków punktów kontrolnych, próbują zapewnić dzieciom edukację, choć jej jakość pozostawia wiele do życzenia.

Były nauczyciel, dziś koordynator oświaty w palestyńskim ministerstwie edukacji, mówi: – Nauka jest najlepszą formą oporu, gdyż codzienna ciężka praca wymaga więcej odwagi i może przynieść więcej dobra dla naszej sprawy niż rzucanie kamieniami w izraelskich żołnierzy.

TROCHĘ NADZIEI | Towarzystwo Charytatywne dla Niewidomych w Hebronie (Blind Charitable Society) prowadzi szkołę, która wpisuje się w codzienność okupowanego miasta. Jej uczniowie uczą się czytać alfabetem Braille'a ↦

↦ i obsługiwać komputery, a jednocześnie muszą mierzyć się z przeszkodami, których nie widzą.

Sale są tu dostosowane do potrzeb dzieci. Internat zapewnia im poczucie bezpieczeństwa, którego brakuje w wielu domach Hebronu. Kadra jest wykwalifikowana, a także, jak widać, pełna empatii (wśród nauczycieli są osoby niewidome, nierzadko absolwenci). W tej szkole, prócz Braille'a i matematyki, nacisk kładzie się też na umiejętności praktyczne: jak poradzić sobie samodzielnie, jak odnaleźć się w świecie pełnym barier. To przygotowanie do dorosłego życia.

Absolwenci pójdą potem do zwykłych szkół średnich, podejmą naukę na równych prawach z widzącymi rówieśnikami. Szkołę wspiera Unia Europejska i inni zachodni darczyńcy – bez ich pomocy jej istnienie byłoby niemożliwe.

TROCHĘ MARZEŃ | Poczucie bezpieczeństwa jest ważne dla rozwoju dziecka. W Palestynie szkoła zwykle go nie zapewnia. Wiele placówek padło ofiarą nalotów żołnierzy, które kończyły się konfiskatą podręczników czy fotografowaniem prac uczniów przedstawiających palestyńskich więźniów. Niedawno, 28 sierpnia, żołnierze wtargnęli do szkoły Al Rashide, przeprowadzili rewizję i skonfiskowali materiały edukacyjne.

W efekcie szkoła staje się tu miejscem lęku i niepewności. Jednak nie tylko to jest źródłem strachu. O swojej drodze do szkoły opowiada 16-letnia Aya, która codziennie musi przekraczać trzy punkty kontrolne. Mówi, że często spotykają ją szykany żołnierzy, w tym celowe przetrzymywanie, tak że spóźnia się na lekcje.

Gdy zapytałem ją, za czym w szkole tęskni najbardziej, odpowiedź była zaskakująca: to wycieczki szkolne. Nie odbywają się od 2019 r. ze względów bezpieczeństwa.

Aya i jej rówieśnicy nie proszą o nowe podręczniki czy nowoczesne sale lekcyjne. Najbardziej brakuje im poczucia, że szkoła może być przestrzenią wolną od strachu. © JAN POCHEĆ

Autor (ur. 2006) zaczyna studia na MISH UW. Finalista Olimpiady Historycznej, w Palestynie pracował w lokalnym centrum edukacyjnym, ucząc dzieci angielskiego.

Gra o wszystko

PIOTR OLEKSY

MOŁDAWIA | Rosja nie ustaje w wysiłkach, by przejąć kontrolę nad rządem w Kiszyniowie i zablokować jego prozachodni kurs. Czy wkrótce to się jej uda?

Aż czterech na dziesięciu Mołdawian nie wie, na kogo zagłosuje – ten sondaż, opublikowany na trzy tygodnie przed wyborami parlamentarnymi, rozpisanymi na ostatnią niedzielę września, zelektryzował tutejszą scenę polityczną. Tak duża skala niezdecydowania budzi obawy jednych i nadzieje innych.

Pewne jest jedno: stabilność proeuropejskiego kursu Kiszyniowa odchodzi w przeszłość. Prozachodnia Partia Działania i Aktywności (PAS), która rządzi samodzielnie od 2021 r., ma powody do niepokoju: sondaż dał jej drugie miejsce, tuż za prorosyjskim Blokiem Patriotycznym. Partię rządzącą poparło prawie 35 proc., a 36 proc. tę największą koalicję opozycyjną.

Sondaże nie dają szans żadnemu z głównych bloków na samodzielną większość. Przyszłość kraju może zależeć więc od siły i postawy dwóch partii centrowych, mających poparcie na poziomie 6-9 proc. To Nasza Partia kontrowersyjnego trybuna ludowego Renato Usatiego, a także blok Alternatywa, zbudowany wokół burmistrza Kiszyniowa Iona Cebana i byłego kandydata na prezydenta Alexandra Stoianoglo. Jedni i drudzy deklarują dziś proeuropejskość, ale wcześniej znani byli z kontaktów z Moskwą.

SYSTEM PRZEKUPSTW | Gdy rok temu Mołdawianie wybierali prezydenta (reelekcję uzyskała Maia Sandu, liderka obozu proeuropejskiego) i głosowali w referendum w sprawie integracji z UE, Rosja przypuściła szturm na system wyborczy.

Ilan Șor – mołdawski oligarcha żyjący w Moskwie, a poszukiwany przez mołdawską prokuraturę i objęty sankcjami UE oraz USA – stworzył mechanizm masowych przekupstw. Ofertę pieniędzy za odpowiedni głos w referendum i poparcie opozycji otrzymało 150 tys. osób. Trudno powiedzieć, ilu skorzystało i głosowało zgodnie z poleceniem. W ciągu ostatniego roku mołdawska policja ukarała wysokimi mandatami ponad 6 tys. osób zaangażowanych w ten proceder.

Służby twierdzą, że wciąż walczą z „siatką Șora", aby uniemożliwić mu dziś podobne działanie. Bo wydaje się, że Șor się rozpędza. Na początku września wziął udział w wideokonferencji z Putinem i raportował mu o postępach w tworzeniu Dalekowschodniego Międzynarodowego Centrum Rozliczeniowo-Finansowego.

Instytucja ta, która ma ułatwiać rosyjskim firmom rozliczenia z partnerami z Azji, powstała w oparciu o kierowaną przez Șora spółkę A7 i Promsvyazbank. Spółka ta jest oskarżana o stworzenie kryptowaluty, która ułatwia obchodzenie zachodnich sankcji – w tym tych, którymi objęty jest wspomniany bank.

Dla władz Mołdawii to zła wiadomość. Oskarżany o kradzież miliarda dolarów z mołdawskiego systemu bankowego, Șor najpierw ukrywał się w Izraelu, a potem trafił do Moskwy, gdzie otrzymał zadanie destabilizowania mołdawskiej polityki. Jak widać, stał się istotnym narzędziem Kremla.

ALBO MY, ALBO PUTIN | Jednak to nie tylko Șor i przekupstwa sprawiły, że rok temu referendum europejskie przeszło o włos, a reelekcję Mai Sandu zagwarantowały głosy mołdawskiej diaspory.

Sondaże pokazują, że wielu Mołdawian jest zniechęconych do partii rządzącej. To przede wszystkim efekt zderzenia wysokich oczekiwań względem modernizacji państwa i ożywienia go-



DUMITRU DORU / EPA / PAP

Inauguracja kampanii wyborczej rządzącej partii PAS. Kiszyniów, 29 sierpnia 2025 r.

spodarki z trudną rzeczywistością rządzenia w czasie wojny na Ukrainie i przy skromnych zasobach kadrowych.

Politycy PAS popełnili też w ostatnich czterech latach wiele błędów. Wypomina się im brak postępów w reformie wymiaru sprawiedliwości, nieskuteczność w rozliczaniu winnych afer z poprzednich lat i fatalną komunikację ze społeczeństwem. Za tym ostatnim stoi często poczucie, że „lud" nie rozumie, jak ważną misję realizuje partia rządząca. Wyraz tej postawie dał ostatnio minister pracy: stwierdził, że wybory „pokażą, kim jesteśmy – narodem czy bydłem" (za te słowa przyszło mu szybko przepraszać).

W czasie obecnej kampanii politycy PAS postawili wszystko na europejską kartę. Nieustannie podkreślają sukcesy na drodze do Unii i bliskość relacji z Zachodem, a z drugiej strony straszą opozycją. Przedstawiają ją – niebezzasadnie – jako aferzystów i przestępców na pasku Moskwy.

Ich przesłanie brzmi: nie wszystko było idealne, ale jeśli nie my, to Putin i korupcja. Liczą, że wśród niezdecydowanych jest wielu takich wyborców, którzy ostatecznie zagłosują w obronie demokracji i europejskiego kierunku. Niezmiennie liczą też na wysoką mobilizację wśród Mołdawian żyjących za granicą (tych nie obejmują sondaże).

OBÓZ PROROSYJSKI | Kim są politycy opozycji? Ich największa koalicja, wspomniany Blok Patriotyczny, to „stara gwardia" mołdawskiej polityki. Tworzą go cztery ugrupowania, a wśród liderów znajdziemy dwóch byłych prezydentów Igora Dodona i Vladimira Voronina, byłą szefową Autonomii Gagauskiej Irinę Vlah, a także byłego premiera Vasilego Tarleva.

Wszyscy oni budowali swoją pozycję polityczną na prorosyjskości, w praktyce często realizując politykę geopolitycznego balansu – między Kremlem a Zachodem. Teraz znów postawili na sympatię do Kremla oraz na antyzachodnie i antyelitarne resentymenty.

Łączą to z narracjami konserwatywnymi. Oskarżają polityków PAS o rzekomą zdradę narodowych interesów oraz podporządkowanie się Unii i Ukrainie. Prorosyjskość starają się przekuć w narrację ludzi, którzy czują się pogardzani i wykluczeni.

Ponadto Vlah i Tarlev są regularnie oskarżani przez media o współpracę z Șorem. W siedzibie partii Iriny Vlah policja prowadziła w ostatnim czasie przeszukania, a ona sama została objęta sankcjami przez Kanadę.

RYZYKOWNE ALTERNATYWY | Z kolei ci, którzy mogą okazać się języczkiem u wagi – wspomniane Nasza Partia i blok Alternatywa – próbują wejść pomiędzy te dwa bieguny, robiąc to na różne sposoby.

Lider pierwszego ugrupowania, Renato Usaty, od ponad dekady funkcjonuje w polityce jako krytyk elit i promotor prostych rozwiązań dla problemów społeczno-gospodarczych. Jego atutem są charyzma i autentyczność, którą wzmacnia fakt, że do tej pory nigdy nie był częścią żadnego obozu władzy.

Usaty unika deklaracji geopolitycznych, jednak jego naturalną bazą są wyborcy rosyjskojęzyczni. W przeszłości sam robił duże interesy w Rosji, a dziś jest tam poszukiwany przez rosyjską prokuraturę. Jedni traktują to jako dowód, że jedyna droga dla Usatego wiedzie na Zachód. Inni ostrzegają, że to element tworzenia legendy o trybunie ludowym nawróconym na prozachodni kurs.

W przeszłości Usaty dwukrotnie wsparł Maię Sandu przed drugą turą wyborów prezydenckich, dlatego wydaje się najbardziej naturalnym partnerem dla PAS. Współpraca z nim obciążona jest jednak ogromnym ryzykiem – zarówno ze względu na jego niejasne relacje biznesowe, jak i powiązania z Rosją.

Natomiast blok Alternatywa chce skorzystać na rozczarowaniu centrowych wyborców rządami PAS. Przedstawia się jako formacja proeuropejska, lecz bardziej pragmatyczna, bliższa ludziom i mniej zideologizowana niż partia rządząca. Jeden z liderów, Ion Ceban, już drugą kadencję rządzi mołdawską stolicą. W tym czasie zdołał ruszyć wiele projektów modernizacyjnych, co doceniają mieszkańcy Kiszyniowa.

Jednak szczerość jego deklarowanej proeuropejskości jest nieustannie podawana w wątpliwość, m.in. dlatego, że przez lata był prominentnym działaczem Partii Socjalistów, bliskiej Moskwie. Cios dla jego wiarygodności zadała w czerwcu Rumunia – Ceban otrzymał zakaz wjazdu na jej terytorium. Bukareszt motywował tę decyzję względami bezpieczeństwa.

O WSZYSTKO, JAK ZAWSZE | Przejęcie władzy w Mołdawii przez obóz prorosyjski mogłoby postawić w bardzo trudnej sytuacji Ukrainę, sąsiadkę Mołdawii, a także zmienić układ sił w całym regionie. Wybory te mają więc ogromne znaczenie.

Kłopot w tym, że taka fraza jest jednak powtarzana przy każdym głosowaniu w tym kraju. Już rok temu w Mołdawii popularne było powiedzenie, że są to „kolejne wybory o wszystko, po których nie zmieni się nic".

Również ta refleksja powoduje, że liczba niezdecydowanych jest tak duża. ©

Na beczce prochu

MARTA ZDZIEBORSKA

USA | Po zabójstwie konserwatysty Charliego Kirka prezydent Trump podsyca nastroje, aby poszerzyć granice swojej władzy. To tylko pogłębi problem przemocy politycznej.



JOE RAEDLE / GETTY IMAGES

Miejsce pamięci Charliego Kirka przed siedzibą organizacji Turning Point USA. Założona przez Kirka, mobilizuje ona konserwatywnych studentów i publicznie piętnuje wykładowców oskarżanych o „lewicową propagandę". Phoenix w Arizonie, 16 września 2025 r.

Amerykanie muszą przyzwyczaić się już nie tylko do strzelanin w szkołach, ale też do ataków na osoby publiczne z użyciem broni palnej. Zamach na Charliego Kirka – aktywistę ruchu MAGA, zastrzelonego na kampusie w Utah – to jedna z wielu takich tragedii.

Spójrzmy na kalendarz. W 2024 r. doszło do dwóch prób zamachu na Trumpa. Za pierwszym razem niewiele brakowało, by zginął. W grudniu na Manhattanie zastrzelono Briana Thompsona, prezesa znienawidzonej przez wielu Amerykanów firmy ubezpieczeniowej UnitedHealthcare. Thompson, tak jak Kirk, osierocił dwoje dzieci.

Z kolei w czerwcu 2025 r. zginęła prominentna polityczka Partii Demokratycznej z Minnesoty, Melissa Hortman. Kobietę i jej męża zastrzelono w domu. Godzinę wcześniej zamachowiec wtargnął do domu innego polityka, tym razem skończyło się na ranach postrzałowych.

„Partia śmierci"

Zabójstwo w Minnesocie umknęło w zalewie bieżących newsów. Zabójstwo 31-letniego Kirka, sojusznika Trumpa, jest jak polityczny dynamit, który rozsadza Amerykę.

Tuż po zamachu, gdy tożsamość i motywy sprawcy nie były jeszcze znane, winą za to zabójstwo Trump obciążył radykalną lewicę i obiecał, że weźmie się za organizacje rzekomo „finansujące" przemoc polityczną. To wzbudziło obawy, że chce wykorzystać sytuację, by dobrać się do fundacji i darczyńców wspierających Partię Demokratyczną.

Trzy dni po zamachu Trump mówił w wywiadzie dla NBC News, że należy wsadzić za kraty George'a Sorosa, czołowego darczyńcę Demokratów i założyciela organizacji Open Society Foundations.

Do „przyjrzenia się" progresywnym organizacjom, np. czy słusznie korzystają ze zwolnień podatkowych, nawołują też wiceprezydent J.D. Vance i republikańscy kongresmeni. W pierwszych godzinach po zamachu emocje podkręcał Elon Musk, pisząc na platformie X, że „lewica jest partią śmierci".

Amerykańska prawica na celownik wzięła też tych, którzy w social mediach krytykowali Kirka, znanego z kontrowersyjnych wypowiedzi, lub wręcz cieszyli się z jego śmierci. Reuters donosi, że pod dyktando sekretarza obrony Pete'a Hegseth działania dyscyplinarne podjęto wobec żołnierzy. Za posty krytykujące Kirka konsekwencje miały dotknąć też agenta Secret Service, służby chroniącej najważniejsze osoby w państwie.

Z kolei sekretarz stanu Marco Rubio zapowiedział, że władze będą anulować wizy i deportować obcokrajowców, którzy pisali w sieci, że Kirk zasłużył na swój los. To przypomina działania administracji wiosną, gdy na celownik wzięto propalestyńskich aktywistów studiujących na uczelniach w USA.

O jeden wpis za daleko

Polowanie rozlało się na cały kraj. Już w pierwszych godzinach po zamachu ktoś uruchomił stronę internetową o nazwie Charlie Kirk Data Foundation, za pośrednictwem której można przekazywać informacje o osobach publikujących w sieci niepochlebne treści.

Za krytyczne posty pracę tracić zaczęli nauczyciele, wykładowcy uniwersyteccy, lekarze, a nawet analityk giełdowy oraz marketingowiec zespołu futbolu amerykańskiego Carolina Panthers. Ten ostatni napisał na Instagramie: „Dlaczego jesteście wszyscy smutni? Wasz człowiek mówił, że to jest tego warte...".

Komentarz ten odnosił się do słów samego Kirka, który w kwietniu 2023 r. stwierdził, że prawo do posiadania broni palnej warto przypłacić śmiercią ofiar strzelanin.

Ofiarą nagonki padł też prezenter i komik Jimmy Kimmel. Jego program w stacji ABC zawieszono po tym, jak powiedział na antenie, że ludzie z ruchu MAGA zbijają polityczny kapitał na zabójstwie Kirka. Władze ABC odsunęły go, gdy kierownictwo regulatora rynku mediów za-

groziło, iż odbierze koncesje lokalnym stacjom, jeśli nie przestaną emitować jego programu. To nie pierwszy raz, gdy administracja Trumpa w ten sposób zastrasza media i podważa wolność słowa.

W międzyczasie wśród Demokratów pojawiła się interpretacja, że Kimmel stracił pracę z innego powodu, a jego obecna wypowiedź to pretekst. Być może chodziło o to, że ostatnio często podejmował na antenie temat powiązań Trumpa z Jeffreyem Epsteinem, skazanym za przestępstwa seksualne. Prezydent już w lipcu sugerował, że Kimmel powinien stracić pracę.

Ikona prawicy

Charlie Kirk był gwiazdą prawicy. Jako podkaster i założyciel Turning Point USA (organizacji mającej mobilizować młodych wyborców na uczelniach) słynął z ataków na imigrantów i osoby transpłciowe. Sugerował, że Afroamerykanie sieją ferment w miastach, a „islam to miecz, którym lewica podrzyna Ameryce gardło".

Aktywność Kirka to kwintesencja stylu działania ludzi z ruchu MAGA, gdzie populizm i teorie spiskowe zbiegają się z ogromnymi zasięgami w social mediach. Był on przy tym mistrzem podsycania wojen kulturowych na kampusach. Powtarzał, że uczelnie są zbyt liberalne i niesłusznie wyrównują szanse mniejszości etnicznych przy rekrutacji.

W lipcu 2023 r. zasugerował, że znane czarnoskóre Amerykanki – m.in. była pierwsza dama Michelle Obama i Ketanji Brown Jackson, liberalna sędzia z Sądu Najwyższego – nie są zbyt lotne i nie zaszłyby tak daleko, gdyby nie uczelniana polityka afirmatywna.

Kirk stosował podobne *modus operandi* co dziś ci, którzy piętnują publicznie jego krytyków. W 2016 r. organizacja Turning Point USA założyła stronę Professor Watchlist, gdzie konserwatywni studenci mogli zgłaszać nazwiska wykładowców oskarżanych o szerzenie „lewicowej propagandy".

Już wtedy wspierał Trumpa w jego pierwszej walce o Biały Dom. Osiem lat później odegrał kluczową rolę w pozyskaniu dla niego młodych wyborców. To on miał lobbować, by kandydatem Trumpa na wiceprezydenta został Vance. Przemawiał na styczniowej inauguracji i często gościł w Białym Domu.

„To problem lewicy"

Zasłużony dla obozu Trumpa, po śmierci doczekał się hołdu na antenie własnego podkastu „The Charlie Kirk Show". Kilka dni po zamachu dwugodzinny program poprowadził osobiście wiceprezydent Vance w towarzystwie ludzi z otoczenia Trumpa. Ci powtarzali, że winni śmierci Kirka są lewicowi radykałowie.

Vance przekonywał, że przemoc polityczna to głównie problem amerykańskich liberałów. Zignorował fakt, że trzy miesiące wcześniej w Minnesocie zginęli wspomniana polityczka Demokratów i jej mąż.

Wcześniej, w kwietniu, podpalono dom gubernatora Pensylwanii Josha Shapiro, również z Partii Demokratycznej. Aresztowany mężczyzna, mający problemy psychiczne, stwierdził, iż nie chciał dopuścić, by Shapiro, który od wybuchu wojny w Gazie wypowiadał się po stronie Izraela, przyczynił się do śmierci kolejnych Palestyńczyków.

Jeszcze wcześniej, w 2022 r., wyznawca prawicowych teorii spiskowych wtargnął do domu byłej już spikerki Izby Reprezentantów Nancy Pelosi i uderzył jej męża młotkiem w głowę. Vance „zapomniał" też o szturmie na Kapitol, gdy 6 stycznia 2021 r. sympatycy Trumpa zakłócili procedurę zatwierdzania wyborczego zwycięstwa Joego Bidena.

„Nasz kraj jest jak beczka prochu" – tak wydarzenia po śmierci Kirka komentuje w rozmowie z „New York Timesem" politolog Robert Pape. Ten autor badań nad przemocą polityczną w USA już w czerwcu przestrzegał, że po dojściu Trumpa do władzy problem ten zaczął narastać w alarmującym tempie.

Gotowi na przemoc

Przy czym problem dotyczy obu stron politycznej barykady. Pape'a zaniepokoiły zwłaszcza wyniki badania, według którego ok. 40 proc. Demokratów popiera użycie siły w celu obalenia Trumpa. Z kolei ok. 25 proc. Republikanów popiera użycie wojska do tłumienia protestów przeciw jego polityce.

„Te liczby wzrosły ponad dwukrotnie od jesieni 2024 r., gdy prowadziliśmy podobne badanie" – pisał Pape w czerwcu na łamach „NYT".

Obawy Pape'a znajdują dziś potwierdzenie także w osobie Tylera Robinsona – 22-latka z Utah, oskarżonego o zabójstwo Kirka. Obrazują klimat w USA. W esemesach ujawnionych przez prokuraturę Robinson pisał do transpłciowego partnera, że ma dość nienawiści podsycanej przez Kirka, i że „pewnej nienawiści nie da się wyeliminować negocjacjami".

Jego matka miała zeznać, że Tyler – wychowany w rodzinie zdeklarowanych Republikanów – w ostatnim roku zaczął „skręcać" na lewo z naciskiem na sprawy osób LGBT.

Kirk dostał kulę w szyję w chwili, gdy podczas spotkania ze studentami na kampusie w Utah odpowiadał na pytanie, ilu było transpłciowych sprawców masowych strzelanin w ciągu ostatniej dekady.

Po zamachu niektórzy internauci pisali, że Kirk dostał to, na co zasłużył. Porównywano go do Hitlera i Goebbelsa, twórcy propagandy III Rzeszy. „O jednego nazistę mniej" – miał napisać nauczyciel z Iowa. Został wysłany na przymusowy urlop.

Strategia na wybory

Wielu obserwatorów przestrzega, że nastroje przypominają lata 60. XX w., gdy w dobie gwałtownych przemian społecznych w zamachach zginęli prezydent John F. Kennedy i lider ruchu praw obywatelskich Martin Luther King Junior. Z tą jednak różnicą, że dziś przemoc polityczna ma większe podglebie – syci się emocjami i teoriami spiskowymi w social mediach oraz ekstremalną polaryzacją polityczną.

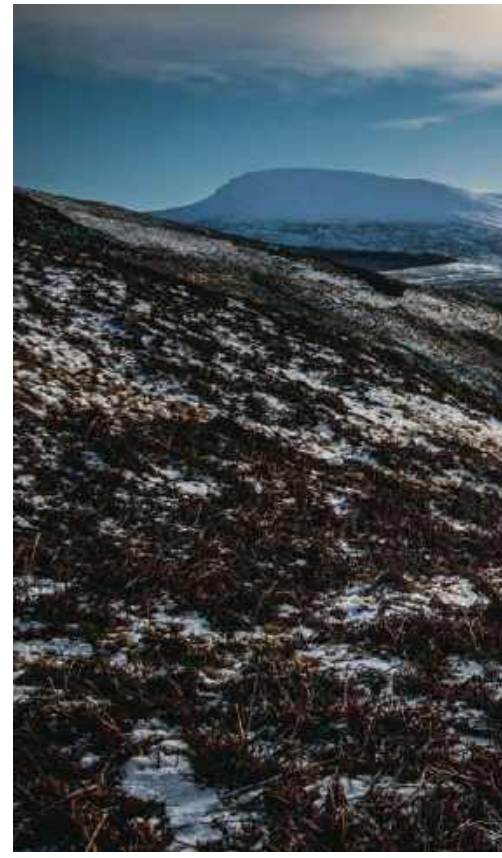
Pokazują to także sceny z Kapitolu 10 września. Tuż po minucie ciszy, upamiętniającej Kirka, politycy zaczęli się nawzajem przekrzykiwać. Poszło o propozycję republikańskiej kongresmenki Lauren Boebert, aby odmówić za Kirka modlitwę, co storpedowali niektórzy Demokraci. Po czym od innej kongresmenki usłyszeli, że to oni są winni śmierci Kirka.

Problem w tym, że jedni i drudzy podsycają lęki i podziały. Podczas ostatniej kampanii prezydenckiej Demokraci straszyli, że Trump to faszysta. Z kolei on zbijał kapitał na wizerunku zaszczutego męczennika. Dziś takim męczennikiem, który ma pomóc Republikanom wygrać wybory do Kongresu w 2026 r., staje się Kirk.

Gdzieś po drodze politykom umknęli zwykli Amerykanie, którzy na to patrzą i łapią się za głowę. ©

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „TP".

Wilczyca z Glen Loth



PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI

PRZYRODA | Szkocja ma dziś jeden z najniższych wskaźników bioróżnorodności w Europie: nieco ponad 50 procent. Oznacza to, że utracono już prawie połowę istniejących tu kiedyś gatunków. W tym wilki. Oto ich historia.

Na Wilczy kamień trudno trafić. Umieszczono go w jednej z zatoczek samochodowych na drodze z Brory do Helmsdale. Trochę bliżej Brory. Podczas poszukiwań zatrzymujemy się najpierw w jednym miejscu, potem w kolejnym. Gdy nie mogę niczego znaleźć, jedziemy dalej, by po chwili zawrócić. „To musi być tutaj", myślę, ale podświadomie szukam jednak czegoś, co będzie rzucać się w oczy. A okazuje się, że to tylko szary, płaski kamień wśród krzaków i traw, wokół trochę śmieci, jak to na przydrożnym parkingu.

Głaz pokrywają żółtawobrązowe porosty. Litery są nieco zatarte, ale można przeczytać: „Aby upamiętnić miejsce, w pobliżu którego (według „The Art of Deerstalking" Scrope'a) ostatni wilk w Sutherland został zabity przez myśliwego Polsona w lub około roku 1700". I jeszcze, że kamień został ustawiony z inicjatywy księcia Portland w 1924 r. To wszystko.

Moda na Szkocję

Wspomniana książka Williama Scrope'a „The Art of Deerstalking" (Sztuka polowania na jelenie) została opublikowana po raz pierwszy w 1838 r. Był to czas rozkwitu romantycznej wizji Szkocji, spopularyzowanej przez książki sir Waltera Scotta. Swoista moda na Szkocję, a szczególnie Highlands [górzysty region w północno-zachodniej Szkocji – red.], rozpoczęła się jednak już wcześniej, po tym, jak od 1761 r. James Macpherson zaczął wydawać „Pieśni Osjana" – jak twierdził, był to odnaleziony przez niego zbiór prastarej gaelickiej poezji.

Autentyczność wierszy wzbudzała kontrowersje, ale na północ zaczęli pielgrzymować zamożni turyści szukający inspiracji, magii i dzikiej przyrody. Późniejsza rozbudowa sieci kolejowej, dzięki której wiele miejsc nawet w odległych Highlands stało się łatwo dostępnych, zintensyfikowała ten proces i rozszerzyła bazę turystyczną.

Do Szkocji przyjeżdżano, by obejrzeć miejsca opiewane przez Osjana czy opisane przez Scotta, ale także, by zapolować na jelenie lub cietrzewie, a polowania stały się wtedy jednym z głównych źródeł dochodu szkockich właścicieli ziemskich.

Tworzenie olbrzymich terenów łowieckich było kolejnym etapem wyjaławiania i pustoszenia szkockiego krajobrazu.

„Wściekła rasa"

Scrope był typowym przedstawicielem swojej klasy i epoki: pochodzący z zamożnej arystokratycznej rodziny wielbiciel polowań oraz połowów łososia w szkockich rzekach. O obydwu tych „sportach" napisał książki: wspominaną już „The Art...", a nieco później „Days and Nights of Salmon Fishing in the Tweed". Za ilustracje do publikacji odpowiedzialny był m.in. Edwin Landseer, ten sam, który namalował „Władcę górskiej doliny" („Monarch of the Glen"), słynny obraz przedstawiający potężnego jelenia z rozłożystym porożem na tle lekko fioletowego, wrzosowego wzgórza.

W „The Art of Deerstalking" Scrope opisuje najlepsze miejsca polowań, zwyczaje jeleni, rasy psów i tym podobne, ale zamieszcza też trochę lokalnych opowieści i legend. Taki to swego rodzaju przewodnik ówczesnego turysty-myśliwego. Jako jedną z anegdot autor dorzucił ludową opowieść o wilku z okolic Helmsdale. Jeśli uznać Scrope'a za rzetelne źródło, wilk był w istocie wilczycą. Zabito nie tylko ją, lecz także wszystkie jej szczenięta.

Pod koniec XVII w. wilki były już w Szkocji rzadkością. W Sutherland żyły jeszcze pojedyncze osobniki i, jak pisze Scrope, „niektóre z tych znienawidzonych włóczęgów nadal niszczyły północne Highlands, dopóki zniknięcie sosnowych lasów nie pozbawiło ich zacisza i schronienia".

Ostatnie wilki: cztery dorosłe i kilka szczeniąt zabito w trzech różnych lokalizacjach w latach 1690-1700. Aż tak późno, zaznacza Scrope nieco zdziwiony, bo wydawało się, że z tą „wściekłą rasą" rozprawiono się już wcześniej.

Gniazdo wilczycy

W okolicy, w której znajduje się dziś wilczy kamień, najpierw znaleziono martwe owce. W nocy rozlegało się wycie. To wystarczyło, by poderwać na nogi całą społeczność. Pierwsza obława zorganizowana na zasadzie pospolitego ruszenia nie przyniosła jednak rezultatów. Wtedy na poszukiwania ruszył Polson, doświadczony – jak podkreśla Scrope – myśliwy z osady Wester Helmsdale. Towarzyszyło mu dwóch chłopców: jego syn i znajomy pastuszek.

Polson na swój obszar poszukiwań wyznaczył Glen Loth, wąską dolinę



WICEK SOSNA

Okolice Kildonan, niedaleko Glen Loth, gdzie zabito ostatniego wilka w Sutherland.

o stromych zboczach. Wtedy było to pustkowie. Teraz nadal rzadko można spotkać tam człowieka. Tamtejsze wzgórza porośnięte są wrzosowiskami, czasem włóczą się po nich owce. Brzegi strumienia biegnącego wzdłuż drogi gęsto pokryte są sięgającymi pasa paprociami.

Trochę głębiej dolina zazielenia się, pojawiają się drzewa – kiedyś, w czasach Polsona, takich lasów było więcej. To tam Polson zauważył skaliste rozpadlisko, a w nim szczelinę prowadzącą w dół. Za wąską dla niego, w sam raz dla wilka. Lub dla dziecka. To właśnie dwaj towarzyszący mu chłopcy dostają zadanie przeciśnięcia się na drugą stronę.

To, co nastąpiło potem, Scrope opisuje ze szczegółami ubarwionymi przez upływ czasu i kolejne wersje opowieści przekazywane w okolicach Helmsdale. Relacjonuje więc, jak chłopcy znaleźli gniazdo wilczycy, a w nim pięć lub sześć wilczków. Wspomina, że wokół leżały kości zwierząt, pióra ptaków i skorupki jaj. Skrupulatnie odnotowuje, że wilczki skowyczały, gdy chłopcy je zabijali. I że ich piski ściągnęły matkę.

Wilczyca, omijając stojącego przed szczeliną Polsona, próbowała wskoczyć prosto do gniazda. Prawie jej się to udało, ale – jak pisze Scrope – myśliwy złapał ją za ogon. Było zbyt wąsko, by mogła obrócić się w jego stronę, a on trzymał ją za mocno, by mogła się wyrwać. Scrope nie szczędzi opisu zmagań Polsona z wijącym się zwierzęciem i tego, jak myśliwy dźga nożem myśliwskim uwięzioną w szczelinie i desperacko walczącą wilczycę.

„To były ostatnie wilki zabite w Sutherland" – kończy Scrope i gładko przechodzi do opisu innych atrakcji turystycznych.

Ostatni z gatunku

Jest jeszcze jedna wersja śmierci wilczycy z okolic Helmsdale, w tej Polson się jednak nie pojawia. W 1848 r., zatem 10 lat później, niż ukazała się książka Scrope'a, historię po gaelicku opowiedział szef leśników księcia Sutherland, a zapisał John Francis Campbell, szkocki pisarz i naukowiec, zbierający ludowe historie i mity.

Ta wersja zaczyna się inaczej, bo od kilkudniowych poszukiwań zaginionego dziecka, ale kończy tak samo – śmiercią wilka. W jego kryjówce podobno odnaleziono dziecko, całe i zdrowe, razem z dwoma wilczymi szczeniętami.

W obu wersjach widać wpływ legend narosłych wokół wilków. Motyw łapania wilka za ogon jest znany także np. w krajach skandynawskich, podobnie popularne były opowieści o tym, że wilki mogą przygarnąć i wykarmić ludzkie dziecko (kilkadziesiąt lat później Rudyard Kipling napisał swoją „Księgę dżungli").

Jednakże nawet jeśli obie wersje zostaną odarte z folklorystycznych elementów (wliczając w to stwierdzenie Scrope'a, że wilczyca walczyła w ciszy – bo tak ponoć umierają wilki, a nie skomląc jak psy), to faktem pozostaje, że na początku wieku XVIII w Sutherland rzeczywiście nie było już ani jednego wilka.

Ostatni przedstawiciel tego gatunku w całej Szkocji miał zostać zabity niewiele później – w 1743 r. niedaleko Findhorn w Moray przez myśliwego o nazwisku MacQueen. Również ta historia zawiera elementy bliższe legendom niż faktom – wilk wcześniej miał zabić dwoje dzieci idących przez las ze swoją matką, a MacQueen obciął mu głowę „z obawy, że mógłby powrócić do życia, bo to niebezpieczne stworzenia".

Tym samym w Szkocji nie pozostał już ani jeden wilk.

Gdy znikały lasy

Jego stopniowa eksterminacja trwała na Wyspach od XIII w. Podobnie jak w innych krajach, także i tu wilki od zawsze budziły lęk: były przedmiotem wielu przesądów. Za Normanów osądzony przestępca mógł się ocalić od kary śmierci przez dostarczanie co roku odpowiedniej liczby wilczych języków. W XV w. król Jakub I nakazał wytępienie wilków, a w 1577 r. Jakub VI zapisał polowania jako obowiązek umocowany w prawie. Za zabicie wilka wypłacano nagrodę.

W Szkocji przedstawiciele tego gatunku przetrwali znacznie dłużej niż na południu Wielkiej Brytanii. W Anglii rozprawiono się z nimi ostatecznie za rządów Henryka VII, na przełomie wieków XV i XVI, w Walii zniknęły jeszcze wcześniej. Do ich wyginięcia przyczyniły się nie tylko polowania, ale także – a może przede ↦



WICEK SOSNA

Jesienne popołudnie nad Loch Fyne w zachodniej Szkocji.

↦ wszystkim – wycinanie lasów, czyli likwidowanie ich naturalnych siedlisk.

W Szkocji wilki przetrwały właśnie dlatego, że chroniły się w mało dostępnych i gęsto zalesionych północnych Highlands, m.in. właśnie w Sutherland. Stopniowe zagarnianie tych terenów przez człowieka bardziej przyczyniło się do zmniejszenia populacji wilka niż bezlitosne polowania.

W XVII w. i tam zaczęto wycinać lasy na wielką skalę. Na przełomie XIX i XX w. pokrywały już tylko 5 proc. powierzchni Szkocji (obecnie to ok. 18 proc.). Gdy znikały lasy, wilki nie miały się już gdzie schronić, nie miały gdzie polować. Czasem nawet wypalano zalesione obszary, by odebrać tym drapieżnikom szansę na przetrwanie.

W końcu została ich na północy garstka – aż do tego ostatniego w Sutherland czy też Findhorn. W 1775 r. badacz historii naturalnej Thomas Pennant napisał w swojej książce „A Tour of Scotland", że wilki w Szkocji oficjalnie można uznać za wymarłe.

Kwestia równowagi

Wilk nigdy nie przynosił nikomu zysków tak jak owce, drewno czy polowania, więc nikt go nie potrzebował. Dopóki mógł, walczył o przetrwanie na obrzeżach ludzkiego świata. Gdy w końcu odszedł, razem z nim zniknęło coś bardzo ważnego – równowaga.

The Bone Caves (Jaskinie Kości) znajdują się w północno-zachodniej części Highlands, niemal dokładnie po przekątnej od leżącego na wschodzie Helmsdale. Leżą w górskim paśmie Creag nan Uamh (gael. „Grań Jaskini"). Nazwa nie jest przypadkowa. W latach 20. XX w. znaleziono w kilku tamtejszych jaskiniach kości niedźwiedzia brunatnego, renifera, wilka, rysia, lisa polarnego, a także fragment czaszki niedźwiedzia polarnego. Wszystkie te zwierzęta żyły przed dziesiątkami tysięcy lat na terenach obecnej Szkocji, w czasach, gdy pokrywały ją gęste lasy.

O ile za zniknięciem zwierząt polarnych stoi zmieniający się klimat, o tyle niedźwiedzia brunatnego, rysia i wilka wytępił człowiek. Pierwszy odszedł niedźwiedź – mniej więcej tysiąc pięćset lat temu, potem w XVI w. Szkocję opuścił ryś. Wilk przetrwał najdłużej.

Wybicie wilków zachwiało równowagą Highlands – jelenie, które w pierwszej połowie XIX w. zajęły miejsce owiec [gdy hodowla owiec stawała się mało opłacalna, pastwiska zamieniano na tereny łowieckie – red.], nie miały naturalnego wroga. Wielkiej trójki – niedźwiedzia, rysia i wilka – już nie było. Był tylko człowiek, który polował na te zwierzęta dla rozrywki. To on decydował o liczebności jeleni w Szkocji, nie myśląc o wpływie ich rosnącej populacji na środowisko naturalne.

Zadziczanie

W latach 60. XX w. zaczęły się rodzić pierwsze pomysły rekonstrukcji populacji wilków w Wielkiej Brytanii. Po zakończonym sukcesem wprowadzeniu wilków do amerykańskiego parku Yellowstone zaczęto mówić o tym częściej – w Szkocji, na jej rzadko zaludnionej północy, byłoby to teoretycznie możliwe, jednak w wiejskich rejonach kraju wizja ponownego pojawienia się wilka wzbudza wiele kontrowersji i niepokoju. Przeciwnicy takich planów wskazują na te same zagrożenia co rolnicy przed wiekami – że ich stada nie będą bezpieczne. Odwieczny lęk przed wilkiem nie zniknął.

W Szkocji pojawiały się już podobne projekty. Udało się odbudować populację bobrów, które w XVI w. zostały tam wytrzebione, a także populacje bielika i orła przedniego. Na początku XIX w. hodowcy owiec uważali orły za szkodniki i za zabicie ich lub za przyniesienie ich jaj wypłacano nagrodę. Obecnie zresztą rolnicy też narzekają na orły, które mają porywać jagnięta, a w 2019 r. w rejonie Tayside farmerzy uzyskali zgodę na odstrzał części populacji bobrów.

Dyskusja o odbudowie gatunków flory i fauny w Szkocji jest bardzo wielowymiarowa i niemal każdy jej aspekt wywołuje kontrowersje, nie tylko wśród rolników.

Eksperci podkreślają, że postulowane *rewilding* – zadziczanie – nie powinno



PATRYCJA BUKALSKA

Wilczy kamień przy drodze z Brory do Helmsdale. Upamiętnia on miejsce, w pobliżu którego zabito ostatniego wilka w Sutherland. Szkocja.

polegać jedynie na ponownym wprowadzeniu wytrzebionych gatunków zwierząt, ale także na odbudowie systemu ich siedlisk przyrodniczych: lasów, torfowisk, rzek.

Różnorodność

Według wskaźnika nienaruszalności różnorodności biologicznej (*Biodiversity Intactness Index*, BII) Szkocja ma obecnie jeden z najniższych wskaźników bioróżnorodności w Europie: nieco ponad 50 proc. Oznacza to, że utracono już prawie połowę gatunków istniejących kiedyś na terenach Szkocji.

Proces ten postępuje – w 2019 r. okazało się, że na granicy wyginięcia i poza możliwością naturalnej odbudowy populacji znalazł się szkocki żbik (łac. *Felis silvestris silvestris*, podgatunek żbika europejskiego), nazywany szkockim tygrysem. Szacowano wtedy, że na wolności mogło pozostać jedynie 30 osobników czystej krwi – to za mało, by zapewnić gatunkowi przetrwanie w obecnych warunkach.

Zgubą żbika okazał się nie bezpośrednio człowiek, ale zbyt bliskie relacje z kotem domowym. Na szkockich północnych pustkowiach wiele żbików jest już mieszańcami, a ich pula genów ulega coraz większemu rozdrobnieniu. Czystej krwi żbiki rozmnażane są w ośrodkach badawczych – w 2023 r. w szkockim Parku Narodowym Cairngorms wypuszczono na wolność pierwszą grupę kilkunastu osobników, a w 2024 r. kolejne. To nadzieja na zachowanie podgatunku jednego z najrzadszych ssaków na Ziemi.

Wilk w muzeum

W styczniowy, mroźny poranek Helmsdale wydaje się spać dłużej. Ulice są puste, szare, zmarznięte jak my. Przyjechaliśmy za wcześnie, muzeum Timespan jest jeszcze zamknięte. Do przystani jest stamtąd niedaleko, ale chodniki pokryła cienka, niemal niewidoczna warstwa lodu. Trzymam się murów domów i powoli drepczę w stronę morza. Dzisiaj ma ono intensywnie błękitny odcień, jest spokojne, nie ma wiatru – to dobrze, bo w przeciwnym razie zimno byłoby trudne do zniesienia.

Gdy dochodzi dziesiąta, mogę zawrócić do Timespan. Ośrodek mieści się w budynku pochodzącym częściowo z czasów „śledziowej gorączki". Kiedyś właśnie tam ryby te patroszono, solono i ładowano do beczek. Dokumenty i zdjęcia z tamtego czasu stanowią teraz część wystawy, podobnie jak statystyki dotyczące czystek [wysiedleń mieszkańców Highlands na wielką skalę, rozpoczętych pod koniec XVIII w. – red.]. Jest jednak i on – wilk.

W Timespan szczerzy zęby wypchany wilk. Wygląda dziko, groźnie, a jednocześnie jakoś biednie. Futro ma zmierzwione, wydaje się wychudzony. Eksponat podpisano: ostatni wilk zastrzelony w Sutherland, ale treść tabliczki jest tylko umowna, nawiązuje do znanej lokalnej historii. Tamtego wilka przecież nie ma.

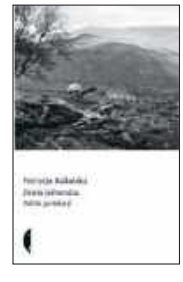
W sali jest ciemno. Na ekranie widać pokrytą śniegiem pustkę. Potem brązowo-beżowe wzgórza, walczące ze sobą jelenie, strumienie. Przede wszystkim jednak przestrzeń, która jest takim samym bohaterem jak jeleń i wilk. Ta przestrzeń powstała ze straty, zniszczenia i cierpienia. „Te doliny doświadczyły wszelkiego rodzaju czystek" – miejscową historię opowiada narratorka filmu „Wolf" (Wilk) autorstwa pary artystów, Matthew Dalziela i Louise Scullion, pokazywanego jako część ekspozycji.

Wygrana do czasu

Do wyginięcia wilków w Szkocji – tak jak i gdzie indziej – przyczyniła się ludzka ekspansja. Jednak i życie szkockich rolników, crofterów, nie było proste, każda strata owcy czy krowy lub kiepskie żniwa mogły przesądzić o tym, że nie przetrwają kolejnej zimy. Walka z wilkami była więc dla nich nie tylko walką z mitycznym drapieżcą, lecz także rywalizacją o coraz bardziej kurczące się zasoby. Walką o terytorium.

Człowiek wyszedł z niej zwycięsko, ale nie na długo – tak jak z Sutherland zniknął ostatni wilk, z tamtejszych dolin za jakiś czas zniknęli rolnicy.

© PATRYCJA BUKALSKA



Tekst jest fragmentem książki Patrycji Bukalskiej pt. „**ZIEMIA JEDNOROŻCA. PODRÓŻ PO SZKOCJI**", która ukaże się z końcem września nakładem Wydawnictwa Czarne.

Skróty i śródtytuły od redakcji.



FLORIAN TRYKOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE PARTNERA

1



INVESTITIONS UND MARKETINGGESELLSCHAFT SACHSEN-ANHALT MBH / MATERIAŁY PRASOWE

2



NILZ BÖHME / MATERIAŁY PRASOWE

3



MATERIAŁ PROMOCYJNY

4

MARCO FISCHER / THÜRINGER TOURISMUS GMBH / MATERIAŁY PRASOWE

FRANCESCO CAROVILLANO / MATERIAŁY PRASOWE

Śladami Lutra
podróż przez serce Niemiec

JACEK TARAN

Podróż przez Turyngię i Saksonię-Anhalt to spotkanie z pięknem Niemiec i lekcja historii. To tutaj, w miejscach związanych z Marcinem Lutrem, rodziła się reformacja – ruch, który odmienił oblicze Europy.

1. Katedra i klasztor augustianów w Erfurcie to jedno z najważniejszych miejsc na szlaku Lutra. To właśnie w Erfurcie Marcin Luter spędził lata swojej młodości jako student i mnich.

2. Drzwi kościoła zamkowego w Wittenberdze. Tutaj Marcin Luter przybił słynne 95 tez i tu historia nabiera życia. Zdarza się, że przewodnicy wcielają się w bohatera swoich opowieści, snując historię o wydarzeniach, które uczyniły to miejsce symbolem europejskiej reformacji.

3. Dom Lutra w Wittenberdze – mieszkał, pracował i działał tu wraz z żoną i dziećmi przez ponad 35 lat – najpierw jako mnich, a później jako reformator. Tutaj opracował swoje idee reformatorskie.

4. Spacer uliczkami Erfurtu w okolicy mostu Krämerbrücke przenosi nas do czasów Lutra. Wąska, brukowana uliczka tętni dziś życiem, podobnie jak wtedy, gdy młody student przemierzał ją w drodze na uniwersytet. Zapach kawy, rozmowy i warsztaty rękodzielników budują atmosferę miejsca, które od wieków łączyły handel i kulturę.

5. Eisleben – tu w 1483 roku urodził się Marcin Luter. Dziś mieści się tu muzeum, które opowiada o jego rodzinie i pierwszych latach życia. Już w XVII wieku w domu rodzinnym Lutra otwarto muzeum dla pielgrzymów, a tym samym jest to najstarsze muzeum w niemieckojęzycznej części Europy poświęcone jednej osobie.

6. Od Lutra do Bauhausu. Na trasie odnajdujemy nie tylko ślady reformatora. W Dessau czeka nas opowieść o odwadze nowoczesności. Tutaj powstały słynne budynki szkoły Bauhausu oraz Domy Mistrzów, które ukształtowały oblicze światowego designu. Modernistyczne formy kontrastują z gotyckimi katedrami i renesansowymi kamienicami odwiedzanych miast. Bauhaus założony został w 1919 r. w Weimarze.

7. Harzer Schmalspurbahn to kolej wąskotorowa, która od lat zachwyca podróżnych swoją trasą przecinającą park narodowy Harz, wjeżdżając na szczyt Brockenu. Łączy techniczne dziedzictwo z pięknem natury: stukot kół, zapach dymu i górskie widoki tworzą doświadczenie, które wykracza poza zwykłą podróż.



MATTHIAS SASSE / MATERIAŁY PRASOWE

5



JULIA NIMKE / MATERIAŁY PRASOWE

6

Lutherland
Więcej informacji o atrakcjach turystycznych na **Szlaku Lutra**: www.luther-land.com



7

WIARA

DZIEJE BUNTU

O tym, że w Łękach Dukielskich da się przywrócić ducha ekumenizmu, wiedzą wszyscy. Poza rzymskokatolickim proboszczem, który na braci w wierze ma jedno określenie: sekta.

ARTUR SPORNIAK



Ks. Marek Danak jest proboszczem tutejszej parafii rzymskokatolickiej od 2017 r. Na pytanie o ekumenizm, odpowiada krótko, że u nich nie ma żadnego problemu. O tym, że jest, i to duży, dowiemy się za chwilę. Bo zaczniemy od zwięzłej opowieści o odzyskiwaniu religijnej podmiotowości i jednocześnie lekcji, jak w niedługim czasie stracić w Kościele wielu wiernych.

Takich buntów było kilka. Jeden miał miejsce dokładnie 100 lat temu w Łękach Dukielskich, niedużej wsi na Podkarpaciu, która niemal w całości przeszła do Kościoła polskokatolickiego. 8 września 1925 r. odprawiona została pierwsza polskokatolicka msza przy ołtarzu polowym. Jak do tego doszło?

Pański proboszcz

Wszystko zaczęło się w 1921 r., gdy probostwo w niedalekich Kobylanach otrzymał ks. Wilhelm Żywicki (zmarły w 1951 r.). Łęki przynależały do tej parafii. W różnych opracowaniach ks. Żywicki określany jest jako „pański ksiądz". Wspomina się też jego pazerność. Jolanta van Grieken-Barylanka, której dziadek, Antoni Zborowski, aktywnie uczestniczył w tamtych wydarzeniach, w opracowaniu „Ekumenizm w małej wiosce" cytuje dziennik ówczesnego wikarego kobylańskiego, ks. Stanisława Sondeja: „W Łękach powstał kościół narodowy, całe Łęki, dwa tysiące dusz, prawie odpadły. Przypisywano winę X. Prob. Żywickiemu, który na terenie parafii kupił ponad 100 ha lasu – zgorszenie...". Właściciel lasu miał władzę nad chłopami uzależnionymi od dostępu do drewna na opał czy budulec.

Ale na dramatyczny akt łęckich chłopów złożyło się wiele przykrych sytuacji. Grieken-Barylanka opowiada „Tygodnikowi": – Zmarł jeden z licznych braci mojego dziadka Zborowskiego. Wdowa została sama z dziećmi i nie miała pieniędzy na pogrzeb. Ks. Żywicki zażądał, aby sprzedała jedyną krowę. To zbulwersowało całą wieś.

Na tych terenach bardzo silnie rozwinięty był ruch ludowy. Już w 1893 r. utworzono w Łękach kółko rolnicze, założono bibliotekę, zaczęto sprowadzać nowoczesne maszyny (część z chłopów miała dochody z pracy w zagłębiu naftowym w Borysławiu). Łękowianie charakteryzowali się silnym poczuciem własnej godności i dużą społeczną świadomością.

– Za czytanie gazetek ludowych ks. Żywicki karał. Jeden z Jastrzębskich chciał się żenić i poszedł do księdza, żeby dał zapowiedzi – opowiada Barylanka. – Otrzymał ultimatum: będzie ślub, jeśli zaprzestanie czytania ludowej prasy. Jastrzębski jeszcze kilkakrotnie chodził do księdza. Nic nie wskórał, w końcu jako jeden z pierwszych wypisał się z Kościoła rzymskokatolickiego. Gdy ks. Żywicki chodził po kolędzie, Jastrzębski na drzwiach na kartce napisał, że go nie przyjmie.

Pierwszy bunt

W końcu czara goryczy się przelała. Delegacja łękowian, w której znalazł się dziadek Jolanty van Grieken-Barylanki, udała się do niedalekiej Bażanówki – wsi koło Zarszyna w powiecie sanockim, gdzie była już parafia polskokatolicka, pierwsza w naszym kraju. Jej historia jest podobna, choć bohater pozytywny. Lubiany przez parafian wikary naraził się proboszczowi, ponieważ był członkiem Komisji Ziemskiej przeprowadzającej reformę rolną, która wykazała nieprawidłowości w majątku ziemianina robiącego z proboszczem interesy. Po śmierci proboszcza parafianie zażądali, by wikary został jego następcą. Biskup surowo się z nimi obszedł – suspendował księdza i nasłał do Bażanówki policję. To sprawiło, że duża



ANDRZEJ JÓZEFCZYK

Obchody 100-lecia parafii w Łękach Dukielskich. Powitanie zwierzchnika Kościoła polskokatolickiego w RP bp. Andrzeja Gontarka przez Radę parafialną. Po prawej bp diecezji krakowsko-częstochowskiej ks. Antoni Norman, po lewej proboszcz ks. Roman Jagiełło. 6 września 2025 r.

część mieszkańców przeszła pod jurysdykcję Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego w USA [zobacz ramka].

Łękowianie przyjrzeli się, jak funkcjonuje pierwsza polskokatolicka parafia, i sprowadzili do siebie z Bażanówki ks. Apolinarego Filarskiego, który odprawił wspomnianą mszę polową, a potem został pierwszym łęckim proboszczem.

Prześladowania

Ogłoszony w 1917 r. Kodeks Prawa Kanonicznego Kościoła rzymskokatolickiego zabraniał chować na katolickich cmentarzach odstępców od wiary i ekskomunikował urzędników zmuszających proboszczów do takich pochówków. W Kobylanach jurysdykcję nad cmentarzem sprawował ks. Żywicki. Dochodziło więc do gorszących scen. Barylanka pisze: „Największe problemy były z pochówkami zmarłych polskokatolików na cmentarzu rzymskokatolickim w Kobylanach. Kondukty były obrzucane kamieniami przez rzymskokatolików z Kobylan. Taką mało przyjemną scenę zapamiętała Stefania Zborowska. W 1927 r. kondukt z trumną zmarłej nagle młodo jej mamy, a mojej babci, został obrzucony kamieniami i siedmioletnia wówczas dziewczynka musiała się chronić przed nimi obok wozu z trumną. Babcię pochowano pod płotem”.

Prawo kanoniczne zabraniało katolikom kontaktu z innowiercami, a tym bardziej jakiegokolwiek udziału w ich obrzędach. „Wiernym nie wolno w żaden sposób aktywnie asystować ani uczestniczyć w sakramentach osób niekatolików” (kan. 1258), co rodziło wiele sytuacji konfliktowych. Mimo to parafia polskokatolicka w Łękach krzepła. Zaczęto budowę ↦

↦ skromnego kościoła – długo jedynego we wsi. Złośliwi mówili: „chudy do budy”, co oznaczało, że biedni ciągnęli do prowizorycznego wtedy jeszcze kościoła polskokatolickiego. Parafia swój rozwój zawdzięczała innemu podejściu do ludzi – zamożność nie odgrywała w niej żadnej roli.

Na obu końcach wsi

Oba kościoły stoją od siebie w pewnym oddaleniu. Polskokatolicki, mniejszy, skromniejszy i starszy – na jednym końcu wsi, a rzymskokatolicki, monumentalny, nowy – na drugim.

Ks. Roman Jagiełło, od 1995 r. proboszcz parafii polskokatolickiej Dobrego Pasterza w Łękach Dukielskich, zaangażowany jest w działalność społeczną, kulturalną i w „praktyczny ekumenizm”, jak sam to określa. Co roku organizuje ekumeniczne wieczory poetyckie czy ekumeniczne rajdy rowerowe. Trasa tegorocznego (dziewiąta edycja) przebiegała szlakiem życia św. Jana z Dukli. Ks. Jagiełło cieszył się, że uczestnicy byli serdecznie przyjmowani i przez gwardiana klasztoru Bernardynów w Dukli, i przez o. Tadeusza – pustelnika opiekującego się pustelnią św. Jana na górze w Trzcianie. Duchowny polskokatolicki znany jest przede wszystkim z corocznych zbiórek dla Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, które już kilkukrotnie relacjonowała telewizja.

Parafian ma niewielu. – Na pierwszą mszę w 1925 r. przyszło tysiąc osób – opowiada. – Ale niestety bardzo silna presja Kościoła rzymskokatolickiego spowodowała, że z czasem część osób tam powróciła. Do tego starsi poumierali, młodzi powyjeżdżali. Dzisiaj, po 100 latach, w parafii zostały 22 rodziny, czyli ok. 50 osób.

Na pytanie, z czego się utrzymuje, odpowiada: – Mam niewielką emeryturę, gdyż przez 30 lat pracowałem jako nauczyciel religii w szkole. Z duszpasterstwa nie utrzymałbym się, bo jest tylko jedna msza – w niedzielę, w dni powszednie odprawiam tylko okazjonalnie. Nie zawsze mam intencje, gdyż jest mało rodzin. Pogrzeb zdarza się raz na kilka lat, tak samo ślub czy chrzest. Faktycznie z tzw. *iura stolae* [ofiar za sprawowanie sakramentów] bym nie wyżył. Ale dzięki temu, że żona pracuje w oświacie, mamy na utrzymanie.

O utrzymanie kościoła troszczy się natomiast rada parafialna, która ustala, ile powinna wynosić miesięczna składka, by móc zapłacić za prąd w kościele, komunikanty czy wywóz śmieci na polskokatolickim cmentarzu.

Proboszczów jest dwóch

Ks. Jagiełło, rocznik ’52, do kapłaństwa przygotowywał się w rzymskokatolickim seminarium diecezji częstochowskiej, studiując teologię w Papieskiej Akademii Teologicznej (wtedy siedziba seminarium była w Krakowie). Święcenia otrzymał w 1978 r. i dopiero po jakimś czasie przeszedł do Kościoła polskokatolickiego.

Ks. Marek Danak, proboszcz parafii rzymskokatolickiej, który zapewniał, że nie ma z ekumenizmem żadnego problemu i że jest otwarty na wszystkich jako na ludzi, przestrzega jednak przed wrogimi sektami, które chciały zburzyć kościół i rzucały weń kamieniami. Szczególnie ta „sekta Hodora z Ameryki” [chodzi o bp. Franciszka Hodura, założyciela Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego w USA, z którego Kościół polskokatolicki się wywodzi – zobacz ramka]. Ona jest, zdaniem księdza, najgorsza: piszą anonimy i paszkwile. Ale proboszcz mówi, że nie chce w to wchodzić, żeby nie zaogniać sytuacji.

Ksiądz szybko przerywa rozmowę i nie wyjaśnia, kto i kiedy chciał zburzyć kościół, rzucał kamieniami i pisał anonimy. Być może myślał o czasach budowy pierwszej świątyni rzymskokatolickiej (powstałej nielegalnie z rozbudowy prywatnego domu), poświęconej przez bp. Ignacego Tokarczuka w 1976 r. Służba Bezpieczeństwa wiedziała o tej budowie i próbowała jej przeszkodzić.

Wypowiedź rzymskokatolickiego proboszcza wyjaśnia dość dobrze, dlaczego nie uczestniczył on – mimo zaproszenia – w ekumenicznych obchodach 100-lecia parafii polskokatolickiej. W zorganizowanym z tej okazji na początku września panelu „Ekumenizm wczoraj, dziś i jutro” udział wzięli, oprócz ks. Jagiełły, także ks. prof. Sławomir Pawłowski z KUL, redaktor naczelny portalu Ekumenizm.pl Dariusz Bruncz z Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, biblistka z CHAT prof. Kalina Wojciechowska oraz dwóch pastorów z Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego: Mirosław Harasim i Mariusz Maikowski.

Co na to łęczanie

Sołtys Małgorzata Tomkiewicz dziwi się napięciom. Sama jest rzymską katoliczką. Słyszała o dialogu między Episkopatem a biskupami Kościoła polskokatolickiego. – Skoro biskupi na górze się dogadują i szanują wzajemnie, dlaczego to nie spływa do nas, na dół? – zastanawia się. – Czy powinno tak być, żeby nazywać ich „sektą”?

Pani sołtys wie, że może być inaczej – bo już było. Wspomina rzymskokatolickiego proboszcza ks. Alojzego Szweda, który urzędował w Łękach w latach 2003-2012. – On wprowadził prawdziwy ekumenizm – mówi. – W Tygodniach Ekumenicznych wierni z obu Kościołów przychodzili do jednej, a w następnym roku do drugiej świątyni. Za jego czasów było aż siedem ekumenicznych ślubów. O dziwo – dodaje – większość z tych polskokatolickich nowożeńców przeszła później do Kościoła rzymskokatolickiego. A przecież nikt ich nie zmuszał. Współpraca, przyjaźń przynosi owoce, a nie różnicowanie ludzi. Ale to zależy od indywidualnego człowieka. Gdy przychodziło się do kościoła przygnębionym z jakiegoś powodu, po wysłuchaniu ka-

POŻEGNANIE

Grzegorzowi Jankowiczowi

najserdeczniejsze wyrazy współczucia w związku ze śmiercią jego

Mamy

składają przyjaciele

z „Tygodnika Powszechnego”
i z Fundacji Tygodnika Powszechnego

Kościół buntowników

KOŚCIÓŁ POLSKOKATOLICKI
w swojej genezie związany jest z powstałym wśród Polonii amerykańskiej pod koniec XIX w. Polskim Narodowym Kościołem Katolickim. Była to schizmatycka względem Kościoła rzymskokatolickiego wspólnota, zbuntowana wobec narzuconych polskim emigrantom biskupów niemieckich i irlandzkich (Watykan nie reagował na prośby o polskich hierarchów). Jego założycielem był ks. Franciszek Hodur, wyświęcony na biskupa przez hierarchów Unii Utrechckiej – schizmatyków, którzy nie uznali dogmatu o nieomylności papieża ogłoszonego w 1870 r. (tzw. starokatolicy).

PIERWSZE STRUKTURY
Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego w naszym kraju zakładali emigranci, którzy powrócili do Polski z USA w latach 20. XX w., oraz zbuntowane wobec działań katolickich biskupów parafie, takie jak w Bażanówce czy Łękach Dukielskich.

HISTORIA WSPÓLNOTY
skomplikowała się po II wojnie światowej. Gdy nastał stalinizm, władze komunistyczne starały się całkowicie podporządkować sobie wspólnoty religijne. PNKK był za słaby, by móc się skutecznie przeciwstawiać brutalnym naciskom. Kościół ma swojego męczennika – w więzieniu zmarł zmaltretowany jego zwierzchnik bp Józef Padewski. Wspólnota zerwała relacje z PNKK w USA i przyjęła nazwę Kościół Polskokatolicki. Na jej czele stanął współpracujący z Urzędem Bezpieczeństwa były duchowny rzymskokatolicki Maksymilian Rode. Umiejętnymi działaniami politycznymi uzyskał on święcenia biskupie w Unii Utrechckiej i mianował się samozwańczym prymasem. Jego publiczne ataki na prymasa Wyszyńskiego przynosiły jednak odwrotny skutek.

PO TRANSFORMACJI
ustrojowej Kościół polskokatolicki podejmował próby reformy i rozpoczął dialog z Kościołem rzymskokatolickim. W 1997 r. ówczesny zwierzchnik Kościoła polskokatolickiego bp prof. Wiktor Wysoczański nawiązał kontakt z kard. Józefem Glempem. Rozmowy doprowadziły do podpisania porozumienia o współpracy. W Roku Jubileuszowym 2000 w rzymskokatolickiej świątyni pw. św. Elżbiety we Wrocławiu bp Wysoczański odczytał akt przebaczenia i pojednania, mówiąc m.in.: „stajemy dziś (...) przed naszymi Braćmi z Kościoła Rzymskokatolickiego, wyciągamy nasze dłonie ku pojednaniu i powtarzamy: Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. ©℗ ASK

zania ks. Szweda wychodziło się podniesionym na duchu i z wiarą w siebie. Nie straszył diabłem. To był po prostu ksiądz z powołaniem.

Sołtyska dziwi się negatywnemu nastawieniu obecnego rzymskokatolickiego proboszcza wobec polskokatolików. – Mnie się marzy prawdziwy ekumenizm, gdzie wszyscy mieszkańcy są równo traktowani – bez rozróżnienia, czy są z tej, czy tamtej religii. Na szczęście większość mieszkańców dobrze się nawzajem traktuje. Nie pamiętam, żeby publicznie ktoś mówił źle o kimś z powodu innej religii. A pamiętam, jako dziecko, że jeszcze w późnych latach 70. atmosfera była napięta. To chyba zmienił Jan Paweł II ze swoją otwartością na innych – zastanawia się. – A jeżeli chodzi o sprawy religijne, to uważam, że duchowni powinni się dogadywać. Nasz naród jest bardzo politycznie podzielony, jako katoliczka szukam wsparcia w jedności płynącej z wiary.

Tomasz Węgrzyn, określający się jako niewierzący, był sołtysem Łęk w latach 2005-2019. On też pozytywnie wspomina ks. Alojzego Szweda. – To był kapłan, który zbliżył obydwa Kościoły. Przykładem współpracy było np. to, że zespół Łęczanie, w którym śpiewała jedna z parafianek ks. Jagiełły, często śpiewał „u naszych polskokatolickich braci”, a on, w kościele rzymskokatolickim, to ogłaszał.

Wszystko było dobrze do momentu zmiany lidera. Proboszczem w 2012 r. został ks. Zdzisław Babiarz, który kierował parafią krótko – do 2017 r. – Współpraca się skończyła, a zaczęło się traktowanie Kościoła polskokatolickiego jako sekty. Uważam, że to było jedno z większych nieszczęść, jakie w ostatnich latach spotkało Łęki Dukielskie – przekonuje były sołtys. – To pokazuje rolę lidera w takiej społeczności jak nasza, bo znaczna część katolików ulega proboszczowi w antyekumenicznej narracji i sposobie myślenia. Zdumiewa mnie, jak łatwo jest zniszczyć coś, co przez wiele lat funkcjonowało i przynosiło pożytek. Niestety za obecnego proboszcza, ks. Danaka, to się nie zmieniło. A ta łatwość manipulowania ludźmi w sprawach religijnych utwierdza mnie w moim ateizmie – konkluduje Węgrzyn.

Podobnie uważa Jolanta van Grieken-Barylanka: – Ja nie potrzebuję pośredników z Panem Bogiem. Uważam, że oni częściej przeszkadzają, niż pomagają – mówi .

Po co się buntować

Bażanówka i Łęki Dukielskie nie były ostatnimi buntami katolickich parafian. Na początku lat 70. XX wieku w Kotłowie w Wielkopolsce 2,5 tys. parafian przeszło do Kościoła polskokatolickiego. Powodem buntu była decyzja ówczesnego arcybiskupa poznańskiego Antoniego Baraniaka o przeniesieniu wikarego, z którym kotłowianie byli bardzo związani i liczyli, że zostanie ich proboszczem (dzieje buntu opisał Stanisław Zasada w reportaż „My na górze, oni na dole” w TP nr 35/2009).

Schemat zawsze jest podobny. Chodzi o religijnego przewodnika, który staje się ludziom niezbędny dla rozwoju ich religijności, a jest zabierany przez władzę kościelną nieliczącą się z ich potrzebami (przypadek Bażanówki i Kotłowa). Albo przeciwnie – o takiego, który przez swoje zachowanie staje się antypośrednikiem, tłamsi i niszczy ludzką religijność, a władza kościelna nie reaguje (przypadek Łęk Dukielskich). Gdy w ludziach wierzących dojrzewa świadomość, że ich godność jest deptana, że niszczy się ich religijną podmiotowość, rodzi się bunt.

Przez wieki duszpasterstwo oparte było na kształceniu dyscypliny i posłuszeństwa jako najświętszych, religijnych cnót. To dawało kościelnym decydentom swobodę w realizowaniu antyewangelicznej wizji władzy i prowadziło do licznych nadużyć, a z ludzi robiło posłusznych i biernych wyznawców. Dzisiaj wzrasta religijna samoświadomość, a taki styl duszpasterstwa jest coraz mniej akceptowany. © ARTUR SPORNIAK

Biblijny kosmos i płaskoziemcy

PAWEŁ RAKOWSKI

BIBLIA | Jak starożytni Żydzi wyobrażali sobie kosmos? Jak biblijna kosmologia wpływała na teologię? I czy dziś ta ostatnia potrafi włączać odkrycia naukowe w myślenie o Bogu?

Misja kosmiczna Apollo 8 była wyjątkowa pod wieloma względami. Pierwsza, która wyniosła ludzi poza orbitę okołoziemską, pierwsza, w której człowiek okrążył Księżyc oraz dzięki której dostaliśmy pierwsze w historii zdjęcia całej Ziemi – ostateczny dowód na to, że jest globem. Podczas tej misji wydarzyła się również nietypowa transmisja. W Wigilię Bożego Narodzenia, 24 grudnia 1968 r., astronauci William Anders, James Lovell oraz Frank Borman przeczytali pierwsze dziesięć wersetów Księgi Rodzaju o stworzeniu świata. Wydarzenie było tak elektryzujące, że fragmenty nagrania były później wykorzystane przez muzyków, w tym Mike'a Oldfielda w albumie „The Songs of Distant Earth". Odczytanie słów o starożytnej kosmologii w przestrzeni kosmicznej było nie tylko poruszające, ale i intrygujące – lot w kosmos był przecież dowodem, że tekst biblijny nie opisuje świata takim, jakim rzeczywiście jest. Semicka kosmologia jest, z naszej perspektywy, zadziwiająca, ale przecież zgodna była z ówczesnym stanem wiedzy o świecie. Jej znajomość pozwala lepiej zrozumieć nie tylko biblijne teksty, ale i zbudowaną na niej teologię, liturgię i duchowość.

STAROŻYTNA WSZYSTKOLOGIA | W języku hebrajskim nie ma jednego słowa na znany nam z greckiego *kosmos*, czyli „świat". Mówiono *hakkol* (co znaczy „wszystko") oraz *haszszamajim wehaarec* (czyli „niebo i ziemia"). Hebrajskie „wszystko" składa się z różnych przestrzeni. Są to niebosa, wody, ziemia i to, co się pod nią znajduje. Starożytną „wszystko-logię" od współczesnej kosmologii najbardziej odróżniają te słowa: „A potem Bóg rzekł: »Niechaj powstanie sklepienie w środku wód i niechaj ono oddzieli jedne wody od drugich!«. Uczyniwszy to sklepienie, Bóg oddzielił wody pod sklepieniem od wód ponad sklepieniem; a gdy tak się stało, Bóg nazwał to sklepienie niebem. I tak upłynął wieczór i poranek – dzień drugi" (Rdz 1, 6-8).

Starożytny człowiek nie mógł sprawdzić tego, co się dzieje wysoko ponad jego głową, pozostawała mu zatem tylko wyobraźnia i obserwacje zjawisk. Zgodnie z semicką etymologią słów, niebo jest łączone z wodą, nie z powietrzem: wody (*majim*) są częścią słowa niebiosa (*szamajim*). Etymologia tego słowa sugeruje zresztą, że należałoby niebiosa tłumaczyć jako „miejsce wód". Podczas stwarzania świata Bóg oddzielił pierwotne wody za pomocą sklepienia (firmamentu), dzięki czemu powstała przestrzeń, w której mógł żyć człowiek. Taki obraz, choć banalny, wyjaśniał bardzo wiele zjawisk, jak choćby spadającą z góry wodę, czyli deszcz – autor księgi Sędziów pisał: „kropiły niebiosa" (Sdz 5, 4). Natomiast nam, współczesnym czytelnikom, pozwala zrozumieć wiele innych fragmentów w Biblii. Szczególnie tych o potopie.

NIEBIAŃSKIE KOMINY | „W roku sześćsetnym życia Noego, w drugim miesiącu roku, siedemnastego dnia miesiąca, w tym właśnie dniu trysnęły z hukiem wszystkie źródła Wielkiej Otchłani i otworzyły się upusty nieba" (Rdz 7, 11). W tym fragmencie źródła wielkiej otchłani nawiązują do wód dolnych, natomiast upusty nieba nawiązują do wód górnych. Słowo „upusty", po hebrajsku *arubba*, odnoszą się do czegoś w rodzaju okien, kominów czy szczelin – wąskiego przejścia, przez które przechodzić może nie tylko woda, ale i sami aniołowie. Lęk przed potopem (hebr. *mabbul*), czyli wylaniem się wód górnych, rozbudzał wyobraźnię – katastrofa dosłownie wisiała w powietrzu, nad głowami mieszkańców ziemi. Wody na górze miało być tak dużo, że gdyby runęły z wysoka, z łatwością pokryłyby nawet najwyższe szczyty gór. Stąd dla starożytnych słuchaczy opowieści o potopie brzmiały sensownie i wcale nie musiały być literacką przesadą. Taka kosmologia oczywiście wpłynęła na teologię, ponieważ powieść o Noem to nie tylko potop, ale i tęcza, dosłownie po hebrajsku „łuk", która miała być znakiem przymierza o ustabilizowaniu wód dolnych i górnych, na wieki, oddalając w ten sposób lęk przed wiszącą nad głowami katastrofą. Bóg okazał się nie taki straszny, skoro obiecał ochronę przed potopem.

Ale ludzie doświadczali też suszy. O ile na ziemi można było dokopać się do wód dolnych, o tyle upusty nieba były jedynie pod kontrolą Boga. Susze rodziły zatem nie tylko pytania natury meteorologicznej, ale i teologicznej – dlaczego Bóg zamknął *arubba*? Czy to kara? Boży gniew? Ten niepokój wzbudził w religiach bliskowschodnich jedną z najstarszych praktyk modlitewnych – modlitwę o deszcz, a wraz z nią – pokutne praktyki. Ostatecznie jednak słowa proroka Amosa: „Spuściłem deszcz na jedno miasto, a w drugim mieście nie padało; jedno pole zostało zroszone, a drugie pole, na którym nie padał deszcz, stało się suche", zostały przełamane przez słowa Jezusa: „On [Bóg] zsyła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych", separując tym samym ludzki lęk od obrazu Boga.

BÓG ODSEPAROWANY | Wróćmy jeszcze do sklepienia nieba, czyli firmamentu. Ma on za zadanie oddzielenie wód. Bariera, którą jest firmament, staje się więc podstawą teologicznej idei boskiej świętości, ponieważ święty (hebr. *qadosz*) znaczy odseparowany. Firmament jest oddzieleniem architektonicznym, natomiast świętość jest oddzieleniem teologicznym. Bóg miał swoje miejsce zamieszkania ponad wodami górnymi, czyli wodami potopu. Wiedząc to, dużo łatwiej zrozumieć słowa psalmu: „Pan zasiadł [na tronie] nad potopem i Pan zasiada jako Król na wieki" (Ps 29, 10). Ostatecznie niebo (w tym królestwo niebieskie) z wodami



BRIDGEMAN IMAGES / PHOTOPOWER

Bestiariusz Ashmole'a, „Bóg stwórca Ziemi", 1201-1225, Biblioteka Bodlejańska w Oksfordzie

górnymi stanie się synonimem samego Boga. Wyjątkowe w tym jest to, że Bóg w narracjach biblijnych przekracza to odseparowanie. Nie chciał, żeby człowiek dosięgnął nieba sam, dlatego miesza języki budowniczym wieży w Babel (Rdz 11, 1-9). Chce mieć kontakt z człowiekiem na własnych zasadach. Metaforycznie przedstawia je sen Jakuba, w którym po drabinie opartej na ziemi i sięgającej nieba aniołowie zstępują na ziemię i wstępują do nieba (Rdz 28, 12). Jezus nawiąże do tego obrazu, aby o sobie samym powiedzieć, że jest łącznikiem między ziemią a niebem, jak drabina we śnie Jakuba (J 1, 51).

Z niebem łączą się nie tylko obrazy katastroficzne. Izajasz sklepienie nieba przyrównuje do rozstawianego namiotu: „On rozciągnął niebiosa jak tkaninę i rozpiął je jak namiot mieszkalny" (Iz 40, 22). W starożytnych kulturach Bliskiego Wschodu z namiotem wiążą się zwyczaje zaślubin, zatem w Psalmie 19, 5-6 („Tam słońcu namiot wystawił, i ono wychodzi jak oblubieniec ze swej komnaty") możemy doszukiwać się dalekiego echa dawnego politeizmu, zaślubin boga Słońca (Szamasz) z boginią Ają, która w tym psalmie została pominięta. Możemy doszukiwać się tego typu nawiązań, jednak teksty biblijne przeszły głęboką reinterpretację, odbierającą ciałom niebieskim boską tożsamość. Mimo to są fascynującą podróżą również w rejon tych mitycznych opowieści.

BIBLIA PŁASKOZIEMCÓW | Od czasów Kopernika nasze rozumienie świata diametralnie się zmieniło. Mogłoby się wydawać, że olbrzymie teleskopy, loty w kosmos czy prace w międzynarodowej stacji kosmicznej ostatecznie rozwiązały biblijne dylematy o budowie świata i wszechświata.

Nic bardziej mylnego. Ostatnimi laty głośno się zrobiło o fundamentalistycznych ruchach chrześcijańskich w Stanach Zjednoczonych, które bazując na literalnym rozumieniu tekstów biblijnych, głoszą, że Ziemia jest płaska. Wbrew powszechnemu mniemaniu, ruch ten nie zaczął się w ostatnich latach i wcale nie w Stanach, ale w XIX-wiecznym Londynie, gdzie Samuel Birley Rowbotham napisał książkę „Earth Not a Globe" (Ziemia to nie kula), podpierając się Biblią.

Dziś wiemy, że statki kosmiczne nie przebijały się przez firmament, nie nurkowały w górnych wodach, nie dotarły do boskiego tronu nad wodami potopu. Że nie mamy bezwzględnej „góry" czy bezwzględnego „dołu", a Bóg nie mieszka „tam w górze". Okazało się, że żyjemy w wąskim sferycznym pasie – pod naszymi stopami jest lawa, nad naszymi głowami jest próżnia. *Blue Marble*, jak nazwali Ziemię amerykańscy astronauci, okazuje się być prawdziwym ogrodem Eden w tej przerażająco ogromnej i nieprzyjaznej dla życia otaczającej nas przestrzeni.

Czy w związku z tym, na gruncie teologii biblijnej jesteśmy skazani na nieustanne zmaganie się z fundamentalizmem, zamiast poświęcać czas na stawianie o wiele ciekawszych pytań, inspirowanych nową wiedzą o wszechświecie?

Teologia wciąż stoi przed ogromnym wyzwaniem: jak włączać najnowsze odkrycia naukowe w myślenie o Bogu, który oparł stworzenie nie na prostym, drabiniastym podziale „wyżej–niżej", ani na absolutnym „tu" i „tam", „przed" i „po", „centrum" i „peryferii", lecz na zasadach kosmicznych struktur – galaktycznych i planetarnych, mierzonych co najwyżej kategoriami „bliżej–dalej".

Możliwe, że na innych planetach istnieje życie, być może nawet inteligentne. Co znaczy, że jedną z cech stworzenia może być taka różnorodność, z jaką wielu ludzi na tej jednej planecie nie potrafi się pogodzić. ©

Pani Kent

MARTA ZABŁOCKA Z LONDYNU

PORTRET | Była pierwszą katoliczką w królewskiej rodzinie od XVII wieku. Księżną, szkolną nauczycielką i wolontariuszką w hospicjum.



HENNING BANGEN / GETTY IMAGES

Katarzyna, księżna Kentu pociesza Janę Novotną po przegranej w finale Wimbledonu, 3 lipca 1993 r.

Pierwszy pogrzeb katolicki członka brytyjskiej rodziny królewskiej od czasów Reformacji – krzyczały nagłówki brytyjskich gazet tuż po uroczystościach pogrzebowych Katarzyny, księżnej Kentu, która zmarła 4 września w wieku 92 lat. Białe róże na jej trumnie symbolizowały związek z rodzinnym Yorkshire. Katarzyna, z domu Worsley, kształciła się w szkołach w Yorku i Norfolk, ale jej największą miłością była muzyka. Chciała być pianistką, ale nie dostała się do Królewskiej Akademii Muzycznej. Została nauczycielką muzyki w szkole podstawowej, pracowała też w domu dziecka w Yorku.

MAŁŻEŃSTWO | Do rodziny królewskiej weszła przez małżeństwo z Edwardem, księciem Kentu, kuzynem królowej Elżbiety II. Poznała go w 1955 r., gdy książę stacjonował w pobliskich koszarach Catterick. Ich związek nie zyskał aprobaty ze strony matki Edwarda, księżniczki Mariny. Zgodę na ślub dała dopiero po kilku latach, uroczystość odbyła się w 1961 r. Para doczekała się trójki dzieci: George'a, Heleny i Nicholasa. W 1977 r. urodziła martwego syna Patricka, co stało się przyczyną depresji, o czym opowiedziała dwadzieścia lat później w wywiadzie dla „Daily Telegraph".

Przez fanów tenisa kojarzona jest z Wimbledonem, gdzie przez wiele lat wręczała nagrody po finałowym meczu. Zapamiętano, jak podskakiwała z radości w loży królewskiej, gdy w 1977 r. tytuł mistrzyni zdobyła Brytyjka Virginia Wade. Albo jak ze współczuciem obejmowała Janę Novotną po przegranej w 1993 r.

KONWERSJA | W 1994 r. portret księżnej Kentu znów pojawił się na pierwszych stronach gazet, gdy Katarzyna ogłosiła przejście na katolicyzm. Była to pierwsza konwersja w rodzinie królewskiej od czasu króla Karola II, który został katolikiem na łożu śmierci w 1685 r. Ale jego pogrzeb odbył się w obrządku anglikańskim. Decyzja księżnej o zmianie wyznania zbiegła się w czasie z głębokimi zmianami w Kościele anglikańskim. W 1992 r. Synod Generalny opowiedział się za święceniami kobiet, co doprowadziło do przejścia na katolicyzm wielu członków Kościoła anglikańskiego, w tym co najmniej 15 biskupów. Czy to był powód konwersji księżnej Kentu? Nie wiemy. Ona sama wyznała, że jej decyzja „w dużej mierze miała związek z poznanymi ludźmi" i nie była aktem buntu, ale efektem poszukiwań, rozważań i modlitw. Miała też aprobatę królowej Elżbiety II, o czym świadczy fakt, że książę Edward nie stracił miejsca w linii sukcesji do tronu (jest 42. w kolejce).

W wywiadzie dla BBC Katarzyna mówiła: „Uwielbiam wytyczne, a Kościół katolicki ci je oferuje. Zawsze chciałam tego w swoim życiu. Lubię wiedzieć, czego się ode mnie oczekuje. Lubię, gdy mi się mówi: »Powinnaś chodzić do kościoła w niedzielę, a jeśli tego nie zrobisz, to wiesz, co cię czeka«". Kard. Basil Hume, ówczesny arcybiskup Westminsteru, prymas Anglii i Walii, chłodził jednak emocje i ostrzegał przed katolickim hurraoptymizmem w związku z konwersją członka rodziny królewskiej. Niemniej w ślady księżnej poszedł jej młodszy syn, Nicholas Windsor, oraz dwoje wnuków.

WOLONTARIAT | Po zmianie wyznania Katarzyna wycofała się z życia publicznego, choć nie przestała być osobą aktywną. Zaczęła uczyć muzyki w państwowej szkole podstawowej w Hull, gdzie prawdopodobnie nikt, poza dyrekcją, nie wiedział, że jest księżną (uczniowie zwracali się do niej: pani Kent).

Była też wolontariuszką w schronisku The Passage dla osób w kryzysie bezdomności, prowadzonym przez diecezję westminsterską, i pracowała w hospicjum dla dzieci w Oxfordshire. Zapamiętano ją jako osobę nieśmiałą, ale naturalną i empatyczną. Właśnie te cechy wymienił kard. Vincent Nichols, który przewodniczył nabożeństwu żałobnemu, podkreślając, że Katarzyna „łączyła obowiązki królewskie z poświęceniem służbie ludziom". Również papież Leon XIV w przesłanym liście podkreślał „dziedzictwo chrześcijańskiej dobroci księżnej". W katedrze Westminsterskiej pożegnała ją najbliższa rodzina – mąż Edward, z dziećmi i wnukami, ale też król Karol III oraz jego syn William, książę Walii, z żoną Kate. Podczas ceremonii pożegnania dudziarz wykonał pieśń żałobną „Sleep, Dearie, Sleep" – tę samą, którą odegrano trzy lata temu na pogrzebie królowej Elżbiety II. Symbole mają znaczenie, zwłaszcza w monarchii. Księżna Kentu, pierwsza katoliczka w rodzinie królewskiej od ponad trzech wieków, spoczęła na królewskim cmentarzu na terenie posiadłości Frogmore w Windsor. ©

Autorka jest korespondentką Polskiej Agencji Prasowej w Wielkiej Brytanii i Irlandii.

O. WACŁAW

Oszajca:
Szczęśliwi obojętni



Prorok Amos mówił do sobie współczesnych przewódców religijno-politycznych, a dzisiaj mówi do nas: „Biada beztroskim (...) przywódcom pierwszego z narodów”, „Leżą na łożach z kości słoniowej i wylegują się na posłaniach, jedzą (...) Fałszywie śpiewają przy dźwiękach harfy (...) Piją wino z wielkich kielichów, najlepszymi olejkami się namaszczają i nie martwią się wcale upadkiem domu Józefa”.

Twarda mowa. Nie ulegajmy pokusie przekierowania jej na adres tych, z którymi nam nie po drodze. Zwłaszcza tych, którym wypominamy, że powinni co niedziela, pod groźbą grzechu ciężkiego, stawiać się na mszy, bo przecież liturgia jest źródłem i szczytem życia Kościoła. Sobie zaś, przyznajmy, niechętnie i z rzadka przypominamy, że: „życie duchowe nie ogranicza się jednak do udziału w samej liturgii”, a chrześcijanin „winien modlić się nieustannie”, co nie oznacza, że musi wciąż szeptać wyuczone formułki. Mówiąc za Amosem – chodzi o nastawienie do rzeczywistości, o naszą mentalność, o to, jakiego ducha ona jest.

Prorok Amos piętnuje jemu współczesnych przywódców za to, że „nie martwią się wcale upadkiem domu Józefa”. Tym domem nie od dzisiaj są również chrześcijanie, przez Chrystusa włączeni do Ludu Bożego. Wygląda na to, że my też za mało troszczymy się o ten dom, czyli o siebie nawzajem. Albo wcale. Świadczą o tym perypetie z pozornie małym szczegółem liturgii, jakim jest przekazanie znaku pokoju. Najpierw było podawanie ręki, potem szeptanie: „Pokój nam wszystkim”, teraz zostały pokłony. I bywa tak, że niektórzy klęczą już, zanim usłyszą: „Przekażcie sobie znak pokoju”. Żeby tylko tej ręki nie podać, bo to ich „rozprasza” albo narusza świętość mszy. Bo jeśli jest już tak, że najlepiej czujemy się i modlimy w pustym kościele, to znaczy, żeśmy się z tego Kościoła wypisali. No bo skoro trzymamy się na dystans, to nie jesteśmy dla siebie siostrami i braćmi. Jesteśmy może w jednym miejscu, ale na pewno nie razem. Mówimy „Ojcze nasz”, ale patrzymy w sufit. Zasiadamy do wspólnego „eucharystycznego stołu”, ale wróciwszy na swoje miejsce, chowamy twarz w dłoniach dla „głębszego skupienia”. Zamiast garnąć się do siebie, od siebie uciekamy i nie zauważamy, że w każdą niedzielę dołączamy do owych beztroskich biesiadników. Szczęśliwych, bo bezdennie obojętnych. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Sposób na ewangelizację



Bardzo syntetyczna Ewangelia Liturgii minionego piątku: „Jezus wędrował przez miasta i wsie, nauczając i głosząc Ewangelię o Królestwie Bożym. A było z Nim Dwunastu oraz kilka kobiet, które zostały uwolnione od złych duchów i od chorób, Maria zwana Magdaleną, którą opuściło siedem złych duchów; Joanna, żona Chuzy, rządcy Heroda; Zuzanna i wiele innych, które im usługiwały, udzielając ze swego mienia” (Łk 8, 1-3). W dwóch zdaniach otrzymujemy opis ewangelizacyjnej misji Chrystusa. On jest nie tylko ważny, ale zobowiązujący! Wszak nasza misja ma być wpisana w misję Pana.

Misja Jezusa ma bardzo prostą treść: Kerygmat i Ewangelia Królestwa. Przy czym nie chodzi jedynie o przepowiadanie. Musi stać się wydarzeniem – przekładać się nie tylko na zrozumienie, ale również na doświadczenie. Nasz tekst mówi jednak więcej o sposobach ewangelizacji, podkreślając jej dwa wymiary: dokonuje się ona W DRODZE oraz WE WSPÓLNOCIE.

W drodze: „Jezus wędrował przez miasta i wsie”. To Jego absolutnie świadomy wybór. Pamiętamy ten moment, kiedy w Kafarnaum uczniowie chcieli Go zatrzymać na miejscu. Odpowiedział im: „Pójdźmy gdzie indziej, do sąsiednich miejscowości, abym i tam mógł nauczać, bo na to wyszedłem” (Mk 1, 38). Wyjście do innych to jedno z trafnych określeń misji Jezusa. Pan nie czeka na ludzi, którzy chcieliby Go znaleźć i do Niego przyjść – wychodzi ku Nim! Kościół, który chciałby Go naśladować, papież Franciszek określił jako „Kościół wychodzący”. We wspólnocie: „z Nim Dwunastu oraz kilka kobiet”. To ważne! Pan, który sam wszystko może (!), nie potrafi / nie chce wychodzić ku innym w pojedynkę. Chce wspólnoty szerszej niż apostołowie – także zaangażowanych kobiet, ale połączonej fundamentalnym doświadczeniem królowania Boga: nawrócenia i wyzwolenia od zła, oraz miłości i uzdolnienia do wzajemnej posługi – również „ze swojego mienia”, tzn. dzielenia się majątkiem i wyboru ubóstwa. W takim gronie można nie tylko opowiadać o możliwym szczęściu Ewangelii Królestwa; można również zaprosić do jego doświadczenia wewnątrz żywej i konkretnej wspólnoty.

Trudzimy się pewnie wszyscy dla Pana. Ale czy na pewno trudzimy się na Jego sposób? ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

RITHIKA GOPAL / UNSPLASH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY



JESIEŃ NAJLEPSZA NA CZYTANIE

Ten sam Tygodnik – różne możliwości. Wybierz, jak Ci wygodniej.

DOSTAWA DO DOMU

Poczta Polska

ODBIÓR W PACZKOMACIE

InPost

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/sklep
Masz pytania? Zadzwoń! 668 479 075

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



„Made in Polska" – nowe wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego" już w sprzedaży!

Pokazujemy w nim Polskę, która coraz częściej sama wyznacza kierunki rozwoju – od kosmosu i nowych technologii, przez biznes, po kulturę i sport.

Polska to kraj, który nie boi się eksperymentować i twórczo wykorzystywać własną historię. „Made in Polska" to opowieść o sile, charakterze i innowacyjności, które pozwalają z nadzieją powtarzać: Polak potrafi.

TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE „MADE IN POLSKA" dostępne w najlepszych salonach prasowych oraz na **sklep.TygodnikPowszechny.pl**

Weź, czytaj i bądź dumny

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP” 39/2025



Nasz świat znalazł się w niebezpieczeństwie. Egoizm, nieufność, strach, obojętność, chciwość oddalają nas od siebie. Co ja mogę zrobić? Co ty możesz zrobić?

Monodram „Zapamiętaj. Świadectwo Jana Karskiego”

JAN KARSKI ODSZEDŁ 25 LAT TEMU

Słowo przeciw obojętności

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Jan Karski całe życie wierzył w moc słowa – od przemówienia w wagonie więźniów, przez bestseller „Tajne państwo”, po wykłady i świadectwo w filmie „Shoah”. Słowo było jego orężem przeciw obojętności.

Za młodu pragnąłem zostać wielkim mówcą – wspomina Jan Karski w jednym z pierwszych rozdziałów „Tajnego państwa”. – Ćwiczyłem się w tym usilnie i starałem się opanować wszelkie oratorskie sztuczki asów europejskiej polityki i dyplomacji. W 1934 roku w Collegium Maximum na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie uzyskałem kilka wyróżnień za wystąpienia”.

Swoje pierwsze naprawdę ważne przemówienie Karski wygłosił jednak nie w akademickiej auli, a w wagonie kolejowym – dodając otuchy grupie współwięźniów i przekonując ich do planu ucieczki. Od tamtego dnia słowo miało stać się jego orężem w walce z obojętnością, politycznym cynizmem i niepamięcią.

Najpierw jako naoczny świadek próbował uświadomić wpływowym politykom za oceanem, czym są getto warszawskie i Zagłada Żydów. Później tłumaczył Zachodowi specyfikę sytuacji okupowanej Polski. „Rychło sobie uświadomiłem – pisał – że świat zewnętrzny nie rozumie dwóch najważniejszych zasad, którymi kierował się polski ruch oporu. Świat nie potrafił pojąć, czy też należycie ocenić poświęcenia i bohaterstwa związanego z tym, że jako naród nie poszliśmy na kolaborację z Niemcami. Nie doceniono tego, że nasza niezłomna postawa zapobiegła wyłonieniu się polskiego Quislinga. (...) Ponadto na świecie nie potrafiono wyobrazić sobie też, na czym polega prawdziwa działalność polskiego ruchu oporu. Sama idea państwa podziemnego często bywała dla obcokrajowców niezrozumiała”.

Tajne państwo

Karski doskonale rozumiał specyfikę czasu, w którym przyszło mu działać. Zmieniał gatunki, szukał idealnej formy. Swój słynny raport skrócił do kilkunastominutowej wypowiedzi, którą powtarzał niczym biznesowe pitchingi – krótkie mowy mające przyciągnąć inwestorów. Do pomysłu filmu o Polsce próbował przekonać producentów w Hollywood. Kiedy to się nie udało, wziął się za pisanie – nie specjalistycznej rozprawy przeznaczonej dla grona ekspertów, lecz popularnego bestsellera, jakim faktycznie stało się „Tajne państwo”.

Książka podbiła rynek wydawniczy zbyt późno, by odwrócić wyroki Teheranu i Jałty, zapewniła jednak autorowi pozycję autorytetu i otworzyła drzwi do kariery akademickiej. Po wojnie Karski wrócił do słowa mówionego. Dał się poznać jako charyzmatyczny wykładowca, a jego przemówienia utrwalone w nagraniach do dziś robią olbrzymie wrażenie. Twardą angielszczyzną, w której mimo kolejnych lat spędzonych na Zachodzie wciąż wyraźnie pobrzmiewała polska melodia, opowiadał o odpowiedzialności, obojętności i empatii.

Niedokończona misja

Dla globalnej publiczności odkrył go na nowo film Claude’a Lanzmanna „Shoah” (oryginalne wywiady przeprowadzone wówczas z Karskim obejrzeć można w mediatece Muzeum Historii Polski, gdzie zostały zebrane w ramach programu „Jan Karski. Niedokończona Misja”). Tak oto jego osobista pamięć stała się pamięcią historyczną.

Przez cały ten czas słowo stanowiło podstawowe narzędzie pracy Karskiego. W stuleciu, w którym opowieści uczyniono bronią i zaprzęgnięto w służbę przerażającym totalitarnym reżimom, on wytrwale przywracał im pierwotną, podstawową funkcję. Opowieści służyły mu po to, by podzielić się tym, czego doświadczył. Po to, by zrozumieć innych. Po to, by wezwać do działania w obliczu zła. Wreszcie po to, by utrzymywać pamięć w świecie, który w imię wygody i dobrego samopoczucia wolałby wybrać zapomnienie.

„Wielkie mocarstwa wobec Polski” – *opus magnum* Karskiego – kończy się rozdziałem pod symptomatycznym tytułem „Znaczenie układu jałtańskiego. Dyplomacja i semantyka”. Czytamy tam o „nieokreśloności i dwuznaczności” jako przemyślanej strategii obojętności. Karski pokazuje, jak zachodni przywódcy celowo dbali o wieloznaczność i ogólnikowość formułowanych w sprawie Polski deklaracji.

Patron XXI wieku

Patrzeć tak, by nie zobaczyć. Słuchać tak, by nie usłyszeć. Mówić tak, by nie obiecać nic konkretnego. Oto pułapka języka bardziej niebezpieczna niż kłamstwo, bo prowadząca do stopniowego wycierania się opowieści, do dewaluacji słów, degradacji języka.

Jest to, jak sądzę, lekcja niezwykle aktualna. Lekcja, którą na nowo musimy odrobić w wieku XXI, w świecie już nie tylko książkowych bestsellerów i filmowych superprodukcji, ale także mediów społecznościowych czy tekstów i obrazów generowanych przez sztuczną inteligencję. W obliczu nowych reżimów nienawiści, nowych mediów i nowych murów obojętności, którymi odgrodzić się próbujemy od tego, co słuszne – wciąż warto walczyć o słowa. Trudno o lepszego patrona tej walki niż Jan Karski. ©

MARCIN NAPIÓRKOWSKI – semiotyk kultury, p.o. dyrektora Muzeum Historii Polski, autor m.in. „Mitologii współczesnej” i „Turbopatriotyzmu”, współpracownik „Tygodnika”.



KRYSTYNA BŁAŁKIEWICZ / REPORTER

Ławeczka upamiętniająca Jana Karskiego przed Muzeum Historii Żydów Polskich Polin. Warszawa, listopad 2015 r.

Uhonorowany i zapomniany

EWA JUNCZYK-ZIOMECKA

Jan Karski, urodzony w Łodzi, katolik, emisariusz Polskiego Państwa Podziemnego i świadek Zagłady Żydów, bezskutecznie alarmował aliantów o trwającym ludobójstwie. Po wojnie został profesorem w USA, a pamięć o nim łączy Polaków, Żydów i Amerykanów.

Ustawienie i odsłonięcie pomnika Jana Karskiego, siedzącego nad partią szachów przed wejściem do Konsulatu Generalnego RP w Nowym Jorku, było głównym punktem obchodów polskiego święta narodowego w niedzielę, 11 listopada 2007 roku. Dwa lata później, w 2009 roku, skrzyżowanie 37. ulicy i Madison Avenue, przy którym mieści się polska placówka dyplomatyczna, nazwano Jan Karski Corner.

Na obu wydarzeniach, upamiętniających jego życie, dorobek i przesłanie, panowała niezwykła atmosfera braterstwa i solidarności.

Na to świętowanie przyleciał z Izraela Me'ir Lau, naczelny rabin Tel Awiwu, z Warszawy pełnomocnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych do spraw stosunków polsko-żydowskich Maciej Kozłowski i sekretarz stanu Ewa Junczyk-Ziomecka z Kancelarii Prezydenta. Do gości zagranicznych dołączył trzykrotnie wybierany na burmistrza Nowego Jorku Ed Koch, dyrektor American Jewish Committee David Harris, przedstawiciele Polonii amerykańskiej, byli studenci Karskiego z Robertem Billingsleyem z Cassidy Turley, ↦

↦ jednej z największych amerykańskich firm deweloperskich, oraz Polacy i polscy Żydzi z ocalonym z Zagłady Zygmuntem Rolatem, mieszkającym w Nowym Jorku.

Odwaga zamiast lęku

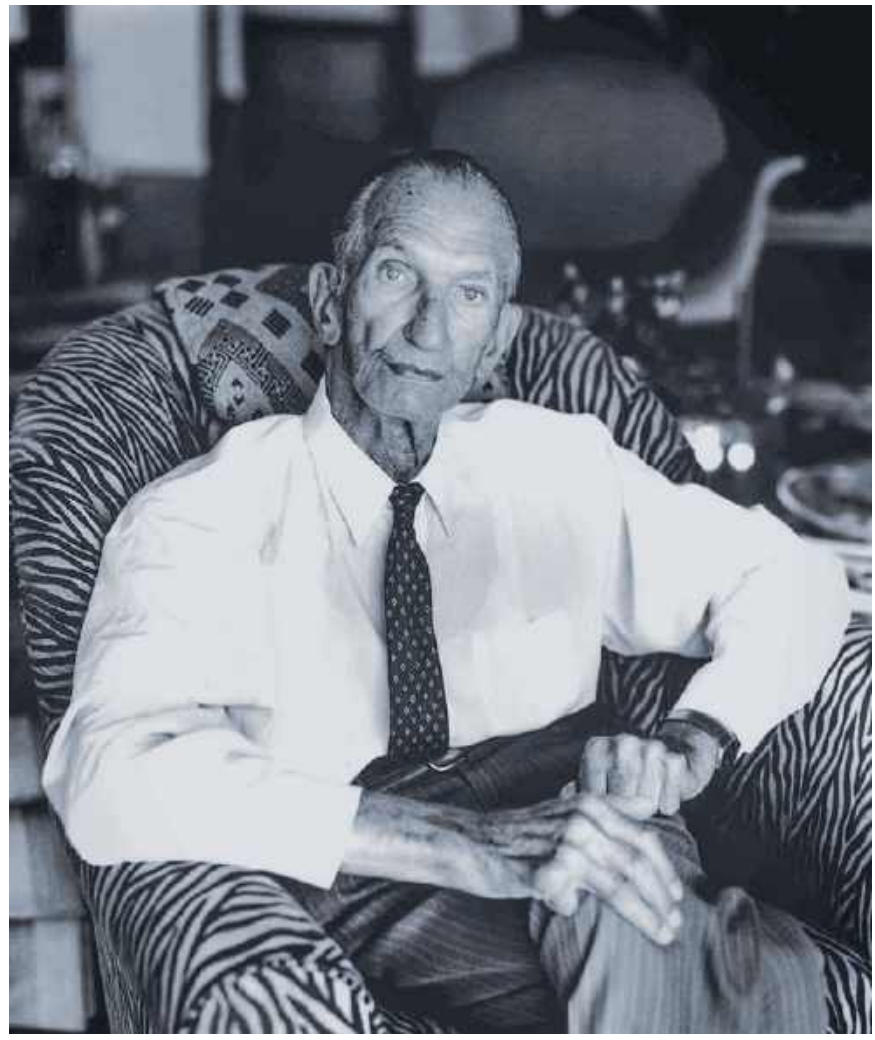
Siła tej nieformalnej koalicji, którą scaliła postać Karskiego, tkwiła w tym, że większość znała go osobiście i uważała, że życie i postawa naszego rodaka są ponadczasowym moralnym drogowskazem dla kolejnych pokoleń, zobowiązującym do nieodwracania wzroku, gdy słabszemu dzieje się krzywda. Nakazującym zastąpienie egoizmu empatią, a lęku odwagą.

„Jesteśmy tu po to, aby uhonorować świętego" – powiedział do kilkusetosobowej publiczności Ed Koch. „Każde miasto powinno czcić Jana Karskiego" – wtórował mu rabin Lau, wskazując na pomnik i tabliczkę z nazwą skrzyżowania.

Gospodarz i animator obu ceremonii, konsul generalny Krzysztof Kasprzyk odczytał list od byłego prezydenta Billa Clintona i od byłego ministra spraw zagranicznych Władysława Bartoszewskiego. Znany kantor nowojorski Joseph Malovany śpiewał na ulicy, opierając rękę o spiżowe ramię polskiego emisariusza. A na zakończenie Akademicki Chór Uniwersytetu z Poznania tak zagrzmiał „Gaude Mater Polonia", że średniowieczny hymn „Raduj się, Matko Polsko" słychać było w sercu Manhattanu – wzdłuż 37. ulicy aż do Madison Avenue z jednej i Park Avenue z drugiej strony.

W 2009 roku, w uroczystości honorującej Jana Karskiego w nowojorskiej przestrzeni miejskiej, wzięli też udział szczególni goście z Polski – grupa Ocalonych z Zagłady wraz z polskimi Sprawiedliwymi wśród Narodów Świata. Udając się w tę podróż, organizowaną przez Kancelarię Prezydenta i Ministerstwo Spraw Zagranicznych, nie ukrywali lęku przed spotkaniami ze środowiskami żydowskimi. Wieloletnie stereotypy po obu stronach wzbudzały w Ocalonych niepokój przed pytaniami, dlaczego nie wyjechali z Polski jak inni Żydzi, a wśród Sprawiedliwych – niepokój przed komentarzami na temat antysemityzmu, co zwykle towarzyszyło spotkaniom polsko-żydowskim. Ale nie tym razem.

Goście z Polski, przyjmowani z wdzięcznością w Nowym Jorku, Chicago i Waszyngtonie, zostali zaproszeni na Kapitol przez prezydenta Baracka Obamę na obchody Dnia Pamięci o Holokauście. Tego nie mieliśmy w programie, ale wieść o ich przybyciu do Stanów Zjednoczonych rozniosła się i ku zaskoczeniu nas wszystkich polscy Sprawiedliwi zostali poproszeni o towarzyszenie Ocalonym w zapalaniu sześciu świec upamiętniających Zagładę sześciu milionów Żydów europejskich. Chciałoby się powiedzieć, że duch Karskiego czuwa, albo – jak mówił jego były student Bob Billingsley – karma Karskiego działa.



CAROL HARRISON

Jan Karski, 1994 r.

Najważniejsza była misja

Każdy, kto zna losy Jana Karskiego, pozostaje pod wrażeniem tego niezwykłego człowieka. Miał zaledwie 25 lat i od pół roku pracował w polskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, gdy 1 września 1939 roku wybuchła II wojna światowa. Był świetnie wykształcony na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, znał cztery języki, miał fotograficzną pamięć i głęboko wierzył w wartości wyrażone hasłem „Bóg, honor, ojczyzna". Stał się jednym z najodważniejszych kurierów i emisariuszy polskiego ruchu oporu. Kolejne lata spędzał w drodze, wielokrotnie przedzierając się przez okupowaną Europę z tajnymi raportami, które przewoził z kraju do Francji i Wielkiej Brytanii, gdzie mieściły się siedziby polskiego rządu na uchodźstwie.

Niemcy nieustannie na niego polowali. W końcu wpadł w pułapkę zastawioną na Słowacji. Torturowany przez Gestapo, w obawie, że nie wytrzyma kolejnego przesłuchania i zacznie mówić – a wiedział bardzo dużo o strukturach państwa podziemnego – podciął sobie żyły. Odratowany i przewieziony do szpitala w Nowym Sączu, został odbity przez oddział polskiego podziemia.

Świadek tragedii XX wieku

Na nadgarstkach nosił blizny po próbie samobójczej, miał połamane żebra i wybite zęby. Po rekonwalescencji wrócił

do służby. Przed kolejną misją kurierską dwukrotnie wprowadzono go do warszawskiego getta oraz do obozu przejściowego w Izbicy Lubelskiej. Stał się wówczas naocznym świadkiem jednej z największych tragedii XX wieku.

Był wstrząśnięty i zdeterminowany, by to, co zobaczył, zrelacjonować przywódcom Wolnego Świata. Po raz kolejny, ryzykując życie, przedostał się przez okupowaną Europę i dotarł do przedstawicieli brytyjskiego rządu i parlamentu. Brak reakcji w Londynie skłonił zarówno polski rząd na uchodźstwie, jak i jego samego, do podjęcia kolejnej misji. Karski popłynął do Stanów Zjednoczonych i stanął przed najpotężniejszym wówczas przywódcą świata – prezydentem USA Franklinem Delano Rooseveltem. Jego misja okazała się jednak bezowocna.

Choć planował powrót do okupowanego kraju, nie otrzymał zgody od polskiego rządu w Londynie, który uznał, że grozi mu tam śmiertelne niebezpieczeństwo. Został więc w USA. Tam napisał książkę „Story of a Secret State", która w 1944 roku trafiła na listę bestsellerów w Stanach Zjednoczonych. Obronił doktorat na jezuickim Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie i przez kolejne dekady uczył przyszłych amerykańskich ambasadorów, polityków i biznesmenów. Ani jego studenci, ani kadra akademicka nie znali jednak przeszłości tego dystyngowanego profesora – zawsze nienagannie ubranego, wyróżniającego się polskim akcentem i stylem bycia.

Milczał aż do 1979 roku, kiedy francuski reżyser Claude Lanzmann skłonił go do przerwania ciszy i włączył do swojego filmu „Shoah". Nagranie było dramatyczne. Trudno wyobrazić sobie, co czuł człowiek, który dokonał nadludzkiego wysiłku, by zaalarmować świat o trwającym ludobójstwie, a który musiał przyjąć do wiadomości, że jego wołanie zagłuszają polityczne kalkulacje, sceptycyzm i ludzka obojętność. Powrót do wspomnień okazał się tak bolesny, że Karski nie zdołał powstrzymać łez – co uchwyciła kamera. Film miał światową premierę w 1985 roku.

Jego wojenny życiorys znano w USA i Izraelu. Już w 1982 roku Instytut Pamięci Yad Vashem w Jerozolimie nadał mu tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata i honorowe obywatelstwo ↦

LISTY DO PREZYDENTA BARACKA OBAMY REKOMENDUJĄCE JANA KARSKIEGO DO PREZYDENCKIEGO MEDALU WOLNOŚCI

Jan Karski nie jest sam. Ma wielu uczniów, którzy nie są obojętni na krzywdę samotnych, na ich ból i cierpienie. Teraz to oni walczą z przejawami antysemityzmu, ksenofobii i rasizmu. (...) Wierzą, że świat można uczynić lepszym i dlatego wiedzę Jana Karskiego należy przekazywać z pokolenia na pokolenie. Ważnym zadaniem nas wszystkich jest, aby misja Karskiego była we współczesnym świecie kontynuowana.

Bronisław Komorowski, Prezydent RP

Był człowiekiem obdarzonym niespotykanym instynktem, inteligencją i ogromnym poczuciem moralnej odpowiedzialności, człowiekiem zasługującym na miano Bohatera Ludzkości.

Zbigniew Brzeziński, były doradca prezydenta Jimmy'ego Cartera ds. bezpieczeństwa narodowego USA

Profesor Karski był bohaterem dla nas wszystkich tutaj, w Georgetown – dla studentów, grona pedagogicznego i pracowników. Jego misja poinformowania aliantów o Holokauście i zbrodniach w okupowanej Polsce była inspiracją dla tych, którzy z nim studiowali, i wciąż przemawia do nowych pokoleń studentów, nawet tych, którzy nigdy go nie poznali.

John J. DeGioia, prezydent Uniwersytetu Georgetown

Podczas moich studiów na Uniwersytecie Georgetown miałem szczęście być studentem School of Foreign Service w czasie, gdy dr Karski był tam wykładowcą. Dr Karski pozostawił na tym świecie rzeczywiście niezatarty ślad. Był prawdziwym obrońcą ludzkości.

Bill Clinton, były prezydent USA

Spaja wokół siebie nas wszystkich – Żydów, nie-Żydów i ludzi wiary, gdziekolwiek są – abyśmy mogli się zjednoczyć.

David Harris, dyrektor wykonawczy American Jewish Committee

Uważam, że Karski powinien być uhonorowany przez przyszłe pokolenia, a jego imię powinno stać się w Ameryce powszechnie znane. My, w Fundacji Kościuszkowskiej, mocno wierzymy, że spuścizna Karskiego oraz ideały tolerancji i sprawiedliwości muszą być wiecznie żywe.

Alex Storożyński, prezes Fundacji Kościuszkowskiej

Dr Karski chciał, aby świat dowiedział się o zbrodniach, które miały miejsce w czasie wojny, i aby nie zostały one nigdy zapomniane. Jako profesor Uniwersytetu Georgetown miał wpływ na tysiące ludzkich istnień, ucząc, jak ważna jest wolność, współczucie i pokój.

Frank J. Spula, prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej

Mówiąc o osobach nagrodzonych Medalem Wolności, pan prezydent użył kiedyś sformułowania, że »odkrywają to, co w nas najlepsze, i to, kim chcielibyśmy być«. Odwaga, jaką dr Karski wykazał się w swojej działalności, narażając przy tym własne życie, zdecydowanie odzwierciedla te wartości.

Nita M. Lowey i Daniel Lipinski, członkowie Izby Reprezentantów

Godność i odwaga dr. Karskiego w obliczu niebezpieczeństwa reprezentują ludzką prawość i ideały Stanów Zjednoczonych w najwyższym wymiarze.

Charles E. Schumer, senator USA

↦ Izraela, łamiąc obowiązującą zasadę, że wyróżnienie to przyznaje się wyłącznie na podstawie świadectw Ocalonych, którym ktoś uratował życie. Karski nie ocalił nikogo bezpośrednio, ale wielokrotnie ryzykował własne życie, by dać świadectwo i ratować naród żydowski. Tak naprawdę to właśnie Lanzmann odkrył go na nowo dla świata.

Prezydencki Medal Wolności

Koalicja rozrastała się po obu stronach Atlantyku, ale tym razem inicjatywa – ponownie podjęta w Stanach Zjednoczonych – wyszła z Polski. Jej autorką była Ewa Wierzyńska, która przygotowała czteroletni program „Niedokończona misja", ogłoszony w dziesiątą rocznicę śmierci Jana Karskiego przez Muzeum Historii Polski i realizowany do setnej rocznicy jego urodzin w 2014 roku. Nigdy wcześniej nie mówiono o Karskim tak głośno, jak w tamtych latach. To, co działo się w Polsce, promieniowało na świat i zmobilizowało Konsulat w Nowym Jorku – którym miałam zaszczyt wówczas kierować – do powołania Jan Karski US Centennial Campaign.

Na uroczystej kolacji przy jednym stole zasiedli byli studenci jezuickiego Uniwersytetu Georgetown w Waszyngtonie, gdzie Karski wykładał przez czterdzieści lat, przedstawiciele najważniejszych amerykańskich organizacji żydowskich i Fundacji Kościuszkowskiej, a także polscy Żydzi i Polacy.

Celem spotkania było podjęcie działań na rzecz rozpowszechniania wiedzy o działalności i spuściźnie Karskiego w szkołach, mediach oraz w świadomości amerykańskiej opinii publicznej. – Postanowiliśmy wystąpić o Prezydencki Medal Wolności, najwyższe cywilne odznaczenie amerykańskie, i opublikować drugie wydanie książki Karskiego „Tajne państwo", wydanej ponad sześćdziesiąt lat wcześniej w Stanach – przypomina Andrzej Rojek, biznesmen i filantrop, który od tamtej pory stał się wiernym strażnikiem pamięci o Janie Karskim.

Dyrektorem kampanii została Wanda Urbańska, pisarka i dziennikarka telewizyjna, córka polskiego emigranta wojennego. Kontakty z Białym Domem i Kongresem przejęli Tom Sneeringer i Scott S. Fleming z Uniwersytetu Georgetown. Odbyli niezliczone spotkania i wykonali dziesiątki telefonów, zachęcając do pisania listów bezpośrednio do Białego Domu lub do podpisania petycji Jan Karski US Centennial Campaign z prośbą o nominację.

„Tajne państwo" sprzedało się w USA w ponad 350 tys. egzemplarzy. Bestseller Karskiego otworzył mu drogę do akademickiej kariery, choć nie odwrócił wyroków Teheranu i Jałty.

Dziedzictwo Karskiego

Rosła także lista podpisów senatorów i kongresmenów pod wnioskiem o nominację dla polskiego emisariusza, skierowanym do Białego Domu przez Jan Karski US Centennial Campaign. Dokument poparło jedenastu senatorów – m.in. Barbara Mikulski, Joe Lieberman i Dick Lugar – oraz sześćdziesięciu siedmiu przedstawicieli Izby Reprezentantów, wśród nich kongresmenka Marcy Kaptur i kongresmen John Dingell.

– „Nieraz słyszałem w Kongresie z obu stron, że potrzebujemy więcej bohaterów takich jak Karski" – wspomina dyrektor Wanda Urbańska. Dodaje, że jednym z największych osiągnięć kampanii był jej ponadpartyjny charakter, choć w Kongresie Stanów Zjednoczonych więcej sygnatariuszy wspierających nominację dla Karskiego udało się pozyskać z Partii Demokratycznej niż z Partii Republikańskiej.

Zależało nam, aby pozytywna decyzja z Białego Domu zapadła na 100-lecie urodzin Karskiego w 2014 roku. Nadeszła jednak wcześniej – 29 maja 2012 roku prezydent Barack Obama odznaczył naszego rodaka najwyższym amerykańskim cywilnym odznaczeniem, Prezydenckim Medalem Wolności.

To był sukces. I choć podczas uroczystości doszło do poważnej pomyłki prezydenta Obamy, który w przemówieniu użył sformułowania „polskie obozy koncentracyjne", to – jak pisał Timothy Snyder, amerykański historyk z Uniwersytetu Yale – „Jan Karski już teraz na zawsze pozostanie na samym szczycie honorów politycznych w USA. To zmiana radykalna i do tego trwała. A to przecież postęp, a nie klęska".

Wkrótce – najpierw w Stanach Zjednoczonych, a potem w Polsce – z inicjatywy prywatnych darczyńców pod kierunkiem Andrzeja Rojka powołano Fundację Edukacyjną Jana Karskiego. Fundacja zorganizowała w Polsce kilka konferencji międzynarodowych, przyznała nagrody Jan Karski Spirit Award, co roku wysyłała młodych polskich liderów na Georgetown Leadership Seminar, a przez siedem lat prowadziła Akademię Młodego Obywatela im. Jana Karskiego. Nagrywała także wspomnienia osób, które znały Karskiego – wydane ostatnio w książce „Jan Karski w cudzej pamięci" – oraz sprowadziła do czterech polskich miast amerykański monodram „Zapamiętaj. Świadectwo Jana Karskiego" z Davidem Strathairnem, wybitnym aktorem, w roli polskiego emisariusza.

Mimo tego nieustannego wysiłku kilku szlachetnych darczyńców, okazjonalnie wspieranych przez publiczne fundusze, większość uczestników tamtej polsko-żydowsko-amerykańskiej kolacji rozeszła się do domów. Nigdy później nie udało się już wzbudzić tak wielkiego zainteresowania Janem Karskim, choć jego przesłanie powinno być wołaniem także dziś. Powinno trafiać nie tylko „pod strzechy", jak marzyła Ewa Wierzyńska, lecz również do środowisk prawniczych, obrońców praw człowieka, organizacji humanitarnych i polityków – aby nieustannie stać na straży podstawowych praw, które zakazują ludobójstwa, zbrodni wojennych i pogwałcania ludzkiej godności.

Od 17 miesięcy Fundacja poszukuje trwałego i stabilnego miejsca dla Jana Karskiego w polskich strukturach administracji państwowej. Wierzymy, że Karski znajdzie w swojej ojczyźnie godny dach nad głową, a jego wartości będą łączyć Polaków z Polakami.

© EWA JUNCZYK-ZIOMECKA

Autorka jest prawniczką, dziennikarką, działaczką dialogu polsko-żydowskiego, byłą konsul generalną RP w Nowym Jorku, prezes Fundacji Edukacyjnej Jana Karskiego.



DZIĘKI UPRZEJMOŚCI MACIEJA SADOWSKIEGO

Jan Karski za sterami amerykańskiego myśliwca, lata 70. XX wieku

Mamy coś z pamięcią

EWA WIERZYŃSKA

Przypominany i zapominany, szanowany i wykorzystywany, 25 lat po śmierci wciąż inspiruje świat.

W 2012 roku Barack Obama, wręczając pośmiertnie Janowi Karskiemu Prezydencki Medal Wolności, pomylił się, używając w swojej laudacji fatalnej zbitki o „polskich obozach śmierci". Burza medialna, która wtedy wybuchła w Polsce, sama stała się międzynarodowym newsem i sprawiła, że o Karskim i jego misji usłyszały miliony ludzi na całym świecie. Był to efekt niespodziewany i przekraczający wszelkie nadzieje grupki inicjatorów Programu Jan Karski Centennial, czyli obchodów 100-lecia urodzin Jana Karskiego przypadających w 2014 roku. Owszem, medal był rezultatem ponadrocznych starań przedziwnej koalicji – przedstawicieli dwóch polskich muzeów: Polin i Muzeum Historii Polski, polskich dyplomatów, byłych studentów Karskiego z Uniwersytetu Georgetown, szefów ważnych organizacji żydowskich w USA, indywidualnych filantropów, m.in. Zygmunta Rolata i Tada Taube. Ale nikt nie spodziewał się, że będzie omawiany nawet w Dżakarcie.

To była duża sprawa. Medal uczynił Karskiego jedynym urodzonym w Polsce Amerykaninem z takim wyróżnieniem i doprowadził do powołania fundacji jego imienia. Ceremonia w Białym Domu i rozgłos dla Medalu Wolności dały impuls programowi „Jan Karski. Niedokończona misja", zainaugurowanemu w 2010 roku w dziesiątą rocznicę śmierci Emisariusza. Jak zawsze – brakowało pieniędzy, więc projekt żył i toczył się, napędzany pasją osób, które miały to szczęście, że Karskiego znały.

Jednocześnie Karski pozostawał bohaterem skomplikowanym: nie zginął w walce, nie zakatowali go Sowieci, można powiedzieć, że „urządził się" w Stanach. Został profesorem, krytykował polskich polityków i konsekwentnie zawsze pomniejszał swoją rolę w historii – „byłem tylko taśmą magnetofonową", mawiał. Winił się, że nie przekonał Roosevelta do podjęcia interwencji w obronie Żydów. Po krótkiej sławie, jaką dała mu w 1944 roku książka „Tajne państwo", na wiele lat popadł w niepamięć. Nie brał czynnego udziału w strukturach administracji państwowej. Dopiero po upadku komunizmu Polacy mogli na nowo przypomnieć światu jego historię i „odkryć" Karskiego.

Walka ze stereotypami

Karskiego poznałam w Bethesdzie pod Waszyngtonem, gdzie od sierpnia 1992 roku mieszkaliśmy z mężem, pracownikiem Radia Wolna Europa, i synami. Jak się później dowiedziałam, wiosną tego roku jego żona, Pola Nireńska-Karska, popełniła samobójstwo, skacząc z balkonu apartamentowca, w którym mieszkali. Od lat zmagała się z depresją i była to kolejna próba samobójcza.

Lata później, po powrocie z emigracji w 2005 roku, jako zastępczyni dyrektora Muzeum Historii Żydów Polskich Jerzego Halberszstadta, zajmowałam się pozyskiwaniem funduszy dla Stowarzyszenia ŻIH na budowę Muzeum. Trójstronna, pierwsza w Polsce publiczno-prywatna umowa pomiędzy Ministerstwem Kultury, Miastem Stołecznym Warszawa i Stowarzyszeniem ŻIH zakładała, że Muzeum powstanie także ze środków zebranych społecznie. Wiedziałam dobrze, z pracy dla Polin w Nowym Jorku, z jaką podejrzliwością środowiska żydowskie w USA ↦

MACIEJ KOZŁOWSKI: *Później, o ile wiem, przez trzydzieści kilka lat publicznie do starych przygód wojennych Pan już nie wracał, aż do czasu wywiadu w filmie Lanzmanna „Shoah". Jednak jest to wywiad niepełny. Nie mówi Pan w nim nic o rezultatach swojej misji. Co może Pan powiedzieć dziś, po 43 latach, o wynikach „Misji Karskiego"?*

JAN KARSKI: Jeśli chodzi o część żydowską mojej misji, jak wiadomo, zakończyła się ona niepowodzeniem. Sześć milionów Żydów zginęło i nikt nie udzielił im skutecznej pomocy. Ani żaden rząd, ani naród, ani Kościół. Pomocy, bohaterskiej pomocy, udzielały jedynie jednostki.

MACIEJ KOZŁOWSKI: *Po wojnie, gdy pełne rozmiary niemieckich zbrodni stały się znane, powszechne były głosy zaskoczenia. Ujawnione fakty uznano za rewelację. A przecież fakty te były znane wcześniej, opisane zostały w „Raporcie Karskiego", w Pana książce oraz przekazane przez Pana ustnie. Jak zatem zrozumieć to stanowisko?*

JAN KARSKI: Jako hipokryzję. Wszyscy, którzy chcieli wiedzieć o niemieckich zbrodniach wobec Żydów, mogli wiedzieć, nie tylko dzięki mnie. Przekazów było znacznie więcej. Rzecz w tym, że prawda ta nie mogła „przebić się", i to nie tylko na skutek złej woli. Przecież Holokaust, systematyczna zagłada całego narodu, zdarzyła się po raz pierwszy w dziejach, ludzkość nie była do czegoś takiego przygotowana. Stąd zapewne podświadome odrzucanie najbardziej nawet wiarygodnych świadectw. Pewnych rzeczy umysł, serce, sumienie nie chcą przyjąć do wiadomości.

Fragment wywiadu „Niespełniona misja" opublikowanego w „Tygodniku" (nr 11/1987)

↦ traktowały ten projekt. Polska wśród amerykańskich Żydów widziana była przez pryzmat stereotypu antysemityzmu. Postawa niechętna Polsce zakorzeniona była w pokoleniu Ocalonych z Zagłady i przekazywana dzieciom i wnukom. Karski i inni Polacy ratujący Żydów byli czczeni jako wyjątki. Potrzeba dialogu, próby odnalezienia wspólnej historii i edukacja po obu stronach wydawała się nam, emigrantom, obowiązkiem obywatelskim.

Terry Tegnazian, producentka z Hollywood, która pod koniec lat 90. rozpoczęła działalność wydawniczą publikacją raportu Pileckiego, była poruszona faktem, że podczas gdy Karski nie był szeroko znany w Polsce, w USA nawet historycy nie znali historii Witolda Pileckiego – jego raportów z Auschwitz, brawurowej ucieczki i tragicznej śmierci w 1948 roku z rąk komunistów.

Olimpiada cierpienia

W latach 90. i na początku XXI wieku „dialog polsko-żydowski" miał niewiele wspólnych punktów odniesienia. Historia Karskiego była tu wyjątkiem – otwierała oczy i serca obu stronom na wspólne dziedzictwo, przenikanie kultur, historię Państwa Podziemnego, stosunek Polaków do ginącego narodu żydowskiego w okupowanej Polsce. Niełatwe to tematy, wymagające dobrej woli.

Opowieść Karskiego szczególnie jasno dokumentowała różnicę doświadczeń obu narodów w czasie wojny, albowiem Karski z przekąsem powtarzał, że „dialog polsko-żydowski to sprawa beznadziejna". W 2010 roku, zastanawiając się, jak przybliżyć Karskiego Polakom, gromadziłam archiwalia: fragmenty „Shoah" Claude'a Lanzmanna, filmy BBC Martina Smitha, wywiady z Uniwersytetu Południowej Kalifornii, nagrania z Głosu Ameryki czy materiały Stanisława Jankowskiego, Korczaka, Justyny Duriasz-Bułhak i Macieja Kozłowskiego. Znalazłam nawet scenariusz serialu o Karskim autorstwa Krzysztofa Teodora Toeplitza i Magdaleny Łazarkiewicz, który z dziś już zapomnianych przyczyn nigdy nie powstał.

Przełom nastąpił w 2012 roku – minister kultury Bogdan Zdrojewski przeznaczył milion złotych na obchody setnej rocznicy urodzin Karskiego, a Senat ogłosił go patronem roku 2014. Muzeum Historii Polski uruchomiło program, który zaowocował setkami wydarzeń w kraju i za granicą: wystawami, filmami, komiksami, warsztatami, koncertami, nowymi edycjami książek, spektaklami i dodatkami prasowymi. W Portugalii powstała nawet ławeczka polskich kurierów – z Karskim obok Nowaka-Jeziorańskiego i Jerzego Lerskiego, spoglądających razem na ocean.

Między Polską a USA

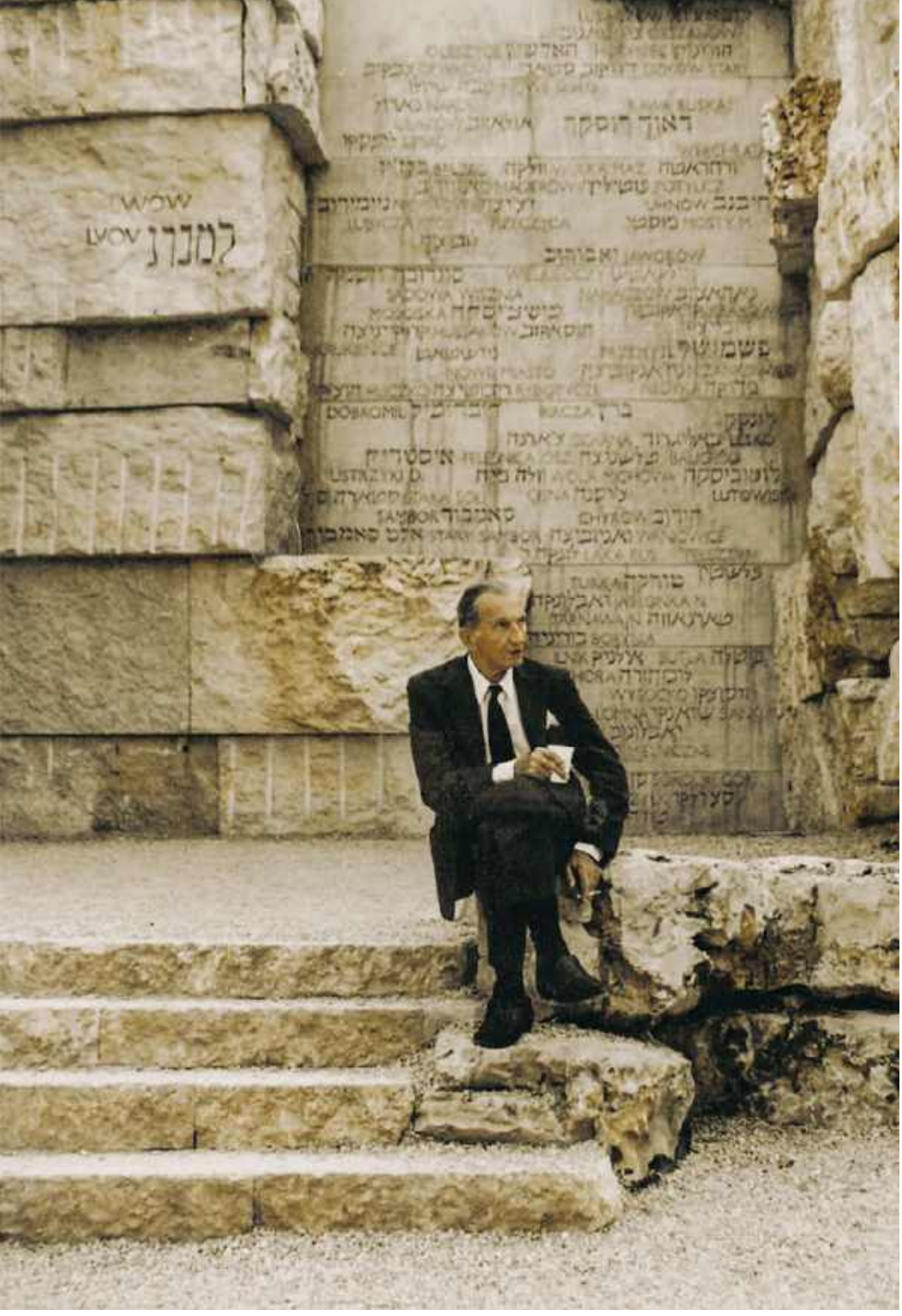
W tym roku mija 25 lat od śmierci Jana Karskiego i piętnaście od rozpoczęcia programu przywracania pamięci o nim. Dziś nie wypada już nie wiedzieć, kim był. Znana reportażystka Weronika Kostyrko opisuje życie jego żony Poli Nireńskiej, badacze Zagłady analizują świadectwa Karskiego, wskazując możliwe błędy. Politycy, jak to politycy, wykorzystują go do swoich potrzeb, a kwartet smyczkowy nazwał się jego imieniem i nazwiskiem.

Tak już bywa z pamięcią o bohaterach trudnych – Karski co jakiś czas „znika" z polskiego radaru. Pamiątki, które przekazał wraz z Kają Mirecką-Ploss, pozostają w muzealnych magazynach. W Stanach Zjednoczonych, które uważał za swoją drugą ojczyznę, jest nieco inaczej. Monodram „Remember This", powstały również z inspiracji amerykańskiej siostry Fundacji Edukacyjnej Jana Karskiego, zapisał się w historii teatru amerykańskiego, jego filmowa wersja pokazywana jest studentom Georgetown, a spektakl w nowej obsadzie zdobywa nagrody, ostatnio w Toronto.

Być może w Polsce przyszedł czas, by imieniem Karskiego nazwać nie kopalnię odkrywkową gdzieś pod Bełchatowem, lecz projekt modernizacyjny o znaczeniu ogólnokrajowym. Przede wszystkim zaś pilnować, aby wartości, którym był wierny, były przekazywane młodym. Nie mam wątpliwości, że Karski wolałby, by zamiast rac w dłoniach trzymali książki, a w głowach, zamiast pustych frazesów, mieli wiedzę o historii swojego kraju.

© EWA WIERZYŃSKA

Autorka jest dziennikarką, inicjatorką programu „Jan Karski. Niedokończona misja". Była wicedyrektorką Muzeum Historii Żydów Polskich Polin, kierowała współpracą międzynarodową MHP.



MICHAŁ FAJBUSIEWICZ

Jan Karski w Yad Vashem, 1996 r.

Lekcja odpowiedzialności

AGNIESZKA BIEŃCZYK-MISSALA

Historia Jana Karskiego to wciąż aktualne wezwanie: polityka bez moralności staje się cynizmem, a moralność bez działania pustym słowem. Co każdy z nas może zrobić?

Konflikty zbrojne, masowe zbrodnie i kryzysy humanitarne od zawsze towarzyszą stosunkom międzynarodowym. Wstrząsają bezpieczeństwem państw i pojedynczych ludzi, zmuszają do reakcji decydentów, ale dotykają także zwykłych świadków wydarzeń i przede wszystkim samych ofiar. Choć II wojna światowa, w czasie której działał Jan Karski, była pod wieloma względami naznaczona wyjątkowym cierpieniem i niewyobrażalnym tragizmem, obecnie także mają miejsce humanitarne dramaty w bliskiej nam Ukrainie, Strefie Gazy, Sudanie i wielu innych regionach świata. Rozgrywają się także na granicach Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych, gdzie migranci z całego świata poszukują bezpieczniejszego i lepszego życia.

Historia wciąż prowokuje te same dramatyczne pytania: dlaczego nie powstrzymaliśmy – wczoraj Hitlera, a dziś Putina i innych autokratów? Dlaczego świat milczy wobec zbrodni lub ogranicza się do słów, zamiast podejmować skuteczne działania? Czy etyka i polityka mogą mówić jednym głosem? Stawiając te pytania, w gruncie rzeczy mierzymy się z bezsilnością, której doświadczał Jan Karski – młody dyplomata, który przyjął na siebie rolę świadka i emisariusza Polskiego Państwa Podziemnego. Swoją misję informowania aliantów o eksterminacji Żydów w okupowanej Polsce uznawał za nieudaną. „Chciałem ocalić miliony, a nie ocaliłem nikogo”.

Poczucie bezsilności, utrwalane przez niekompetentnych polityków, bierność instytucji czy obojętność wspólnoty międzynarodowej sprzyja zniechęceniu do podejmowania wysiłków. Tymczasem ludzie, zwłaszcza w demokracji, chcą się angażować i potrzebują poczucia ↦

MICHAEL SCHUDRICH, NACZELNY RABIN POLSKI:
Jan Karski uczy nas, że nigdy nie wolno być obojętnym – w duchu słów Mariana Turskiego. Jest najlepszym znanym mi przykładem człowieka, który w sytuacji moralnego kryzysu nie milczy i działa, nawet gdy inni nie chcą go słuchać. Najgorsze, co można zrobić w obliczu zła, to zachować ciszę – Karski nigdy tego nie robił.

Bolesne było to, że uważał się za człowieka, który nie odniósł sukcesu – bo nie zdołał powstrzymać Zagłady. W moim odczuciu miał sukces: może nie uratował życia Europy, ale uratował jej duszę. Ludzie tacy jak on, którzy nie milczą i działają, są niezwykle rzadcy.

↦ sprawczości, przekonania, że ich głos i działania realnie wpływają na rzeczywistość. Potrzeba poczucia wpływu staje się szczególnie istotna dla młodych ludzi, którzy kształtują swoją tożsamość i relację z państwem oraz światem, a w przyszłości będą przejmowali odpowiedzialność za kierowanie państwem.

Świadek i uczestnik historii

Jan Karski ze swoją historią odwagi, odpowiedzialności i niezłomnego świadectwa jest w tym kontekście postacią niezwykle inspirującą. Na Uniwersytecie Warszawskim we współpracy z Fundacją Edukacyjną Jana Karskiego odbywają się wykłady im. Jana Karskiego. Prowadzą je absolwenci amerykańskiego GLS – Georgetown Leadership Seminar, praktycy ze środowisk dyplomatycznych, prawniczych, wojskowych, edukacyjnych i sektora humanitarnego. Wszyscy mieli okazję odwiedzić Uniwersytet Georgetown, na którym po wojnie wykładał Jan Karski, i inspirują się jego doświadczeniami.

Karski należał do najbardziej cenionych profesorów, o czym świadczy ławeczka z jego postacią na uniwersyteckim kampusie. Studenci przez pryzmat jego osobistej historii odkrywają unikalną historię Polskiego Państwa Podziemnego, realia niemieckiego terroru i praktyk okupacyjnych, a także rolę kurierów, których chęć służenia państwu skłaniała do podejmowania ryzyka. Wizyta Karskiego w warszawskim getcie i w obozie przejściowym w Izbicy, a następnie jego dramatyczne rozmowy ze Szmulem Zygielbojmem czy prezydentem USA Franklinem D. Rooseveltem, otwierają przestrzeń do dyskusji nad znaczeniem wczesnego ostrzegania i dokumentowania zbrodni, a także nad ograniczeniami światowej dyplomacji, która często pozostaje bierna nawet wobec najbardziej wstrząsających i udokumentowanych świadectw.

Karski stał się ambasadorem polskich spraw za oceanem. Pamięć o nim pozostaje do dziś łącznikiem między polskimi i amerykańskimi środowiskami.

Krytyczny stosunek Jana Karskiego do antysemityzmu, postawa wobec Holokaustu i jego relacje ze wspólnotą żydowską dają ogromne możliwości edukowania o znaczeniu historii i potrzebie dialogu polsko-żydowskiego. Również autorytet emisariusza w Stanach Zjednoczonych i pełne zaangażowania życie na emigracji sprawiły, że Jan Karski stał się ambasadorem polskich spraw za oceanem. Pamięć o nim pozostaje do dziś łącznikiem między polskimi i amerykańskimi środowiskami, a jednocześnie cennym zasobem, który może być świadomie wykorzystywany w dyplomacji państwowej.

Ku odpowiedzialnej sprawczości

Biografia Jana Karskiego ukazuje trudny wymiar bycia świadkiem i uczestnikiem historii. „Sam nie znaczyłem nic, najważniejsza była misja". Podporządkowanie własnego losu wyższej sprawie pokazuje, jaką cenę płacą ludzie, którzy stają się sumieniem swoich czasów. Może właśnie dlatego ostatecznie postać Karskiego skłania do pytań o zaangażowanie i własną sprawczość. Przywołuje je spektakl poświęcony emisariuszowi w reżyserii Dereka Goldmana „Remember This". Co ty możesz zrobić? Co możemy zrobić?

„Rządy nie mają duszy, to ludzie mają duszę" – mawiał Jan Karski. W świecie, w którym kalkulacja polityczna często góruje nad moralnością, jednostka nie może abdykować z odpowiedzialności. Ma odnaleźć swoją misję. Chodzi o niemal kantowski imperatyw moralny, tak bliski Janowi Karskiemu, czyli bezwzględną walkę o godność i prawa człowieka, stawanie w obronie atakowanych, służbę wspólnocie i państwu. Dziś, w świecie pełnym kryzysów oraz starych i nowych form przemocy, przesłanie płynące z doświadczeń Karskiego pozostaje aktualne – polityka bez moralności staje się cynizmem, a moralność bez działania pustym słowem.

© AGNIESZKA BIEŃCZYK-MISSALA

Autorka jest prof. UW, kierowniczką Katedry Studiów Strategicznych i Bezpieczeństwa Międzynarodowego, badaczką praw człowieka, autorką publikacji, przewodniczącą Ogrodu Sprawiedliwych.

GŁÓWNY PARTNER
Fundacja Edukacyjna Jana Karskiego
DARCZYŃCY
2000-2025 LAT Polsko-Amerykańska Fundacja Wolności
MICHAŁ MROŻEK Z RODZINĄ
PARTNERZY
GOETHE INSTITUT
MUZEUM MIASTA ŁODZI

Bądźmy wierni wartościom

WOJCIECH PAWŁOWSKI:

Musimy uczyć i przypominać, by hasło „nigdy więcej” nie straciło aktualności. Dlatego trzeba takich ludzi jak Karski stawiać za wzór.

JACEK STAWISKI: Dlaczego interesuje się Pan postacią Jana Karskiego? Co w jego działalności jest dla Pana najważniejsze?

WOJCIECH PAWŁOWSKI: Dla mnie Jan Karski jest wzorem postawy, jak powinien zachować się człowiek w trudnych czasach, gdy drugiemu dzieje się krzywda. Postępowanie Karskiego w czasach Holokaustu nie było powszechne dla naszego narodu. On szedł pod prąd. Proszę pamiętać, że antysemityzm w dwudziestoleciu międzywojennym dotykał nie tylko Polaków. Antysemityzm charakteryzował wiele narodów na całym świecie. A Karski widział w Żydach współbraci, którzy potrzebowali pomocy.

Jest Pan związany z Fundacją Edukacyjną im. Jana Karskiego – jakie stawia sobie cele Fundacja? Co dla Pana jest najważniejszego w jej pracy?

Misją Fundacji jest ukazanie współczesnego wymiaru spuścizny Karskiego: potrzebę najwyższych standardów służby publicznej, obrony praw człowieka i budowania relacji społecznych opartych na tolerancji i otwartości. Niewiele jest we współczesnej historii Polski postaci, które w tak niezwykły sposób uosabiają uniwersalne wartości, takie jak odpowiedzialność za losy bliźnich, odwaga i prawość. Fundacja stawia sobie ambitny cel uczynienia dokonań Jana Karskiego międzynarodowym symbolem obywatelskiej odpowiedzialności oraz przybliżenia opinii publicznej jego dziedzictwa.

Dlaczego zdecydował się Pan być darczyńcą Fundacji Edukacyjnej Jana Karskiego?

Bo idee łączone z osobą jej patrona są mi bardzo bliskie. Może to naiwne, ale wierzę, że zło można dobrem zwyciężać.

Współczesna Polska jest rozdarta i to rozdarcie ma swoje korzenie w różnym, często skrajnie odmiennym spojrzeniu na przeszłość. Czy postać i dorobek Jana Karskiego może godzić Polaków? Może być przykładem postaci przerastającej proste podziały?

Nie jestem naiwny i wiem, że żyjemy w smutnych czasach burzenia pomników, niszczenia autorytetów. Zdaję sobie sprawę, że postać Jana Karskiego dla wielu środowisk politycznych w Polsce jest bardzo niewygodna. W czasach, gdy mniejszości znowu są dyskryminowane, jego postawa, która uczy tolerancji i empatii, nie wpisuje się w mainstreamowy nurt polityki prowadzonej w naszym kraju, gdzie skrajności i wszystkie izmy zyskują na popularności. Ale moim zdaniem trzeba ludzi edukować, przypominać. By hasło „nigdy więcej” nie straciło aktualności. Dlatego trzeba takich ludzi jak Karski stawiać za wzór, trzeba mówić, jakimi ludźmi byli i jakie wartości wyznawali.

Jan Karski pisał i mówił o konieczności realizmu w polityce, zwłaszcza międzynarodowej. Czy takie przesłanie może w ogóle dzisiaj trafić do przekonania Polek i Polaków, polityków, w czasie, gdy modne są idee romantycznej walki?

Moim zdaniem sposób nauczania historii Polski jest zarzewiem i matecznikiem dla wszelkich ksenofobii oraz idei mesjanizmu i wyjątkowości naszego narodu. Romantyczny kult przegranych powstań, ignorowanie pracy organicznej, honor ponad zdrowy rozsądek. Bohaterowie naszej historii to głównie ludzie przegrani. Naturalnie nie jestem przeciwny upamiętnianiu poległych bohaterów. Jednak czcijmy ludzi, którzy tworzyli podwaliny polskości nie tylko z szablą w ręku, pamiętajmy o ludziach tworzących kulturę i podstawy finansowe. Nie ograniczajmy się jedynie do ściśle militarnej historii naszego państwa. Pamiętajmy, że patriotyzm to nie jedynie głoszenie haseł: „Bóg, honor, ojczyzna”. To przede wszystkim życie i praca w tym kraju. To zrozumienie znaczenia sojuszy w tych niebezpiecznych czasach. To nie ślepa wiara w wielkość naszego narodu, ale mądrość i świadomość, że Polska – średniej wielkości kraj w sercu Europy, żyjący w cieniu wschodniego sąsiada – musi szukać sojuszy z państwami mającymi podobne problemy i obawy.

Co dla Pana oznacza pojęcie „odpowiedzialność biznesu”?

Odpowiedzialność biznesu to dla mnie dbanie o interes społeczny, aspekt środowiskowy i etyczny. Oznacza to, że świadomie staram się wpływać na otoczenie, inwestując w pracowników, dbając o środowisko, wspierając lokalne społeczności i działając w sposób etyczny, co wykracza poza jedynie formalne obowiązki prawne. © Rozmawiał JACEK STAWISKI

WOJCIECH PAWŁOWSKI – biznesmen, filantrop, prezes zarządu VRP sp. z o.o., założyciel Warta Glass, wiceprezes Polskiej Rady Biznesu, przewodniczący Polskiej Izby Opakowań, absolwent UE w Poznaniu, członek Rady Powierniczej Muzeum Narodowego w Warszawie oraz Fundacji Edukacyjnej Jana Karskiego.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 39/2025
REDAKCJA: Michał Sowiński | WSPÓŁPRACA: Jacek Stawiski
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | SKŁAD: Andrzej Leśniak
OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska
NA OKŁADCE: Jan Karski, lata 50. / Zdjęcie dzięki uprzejmości Macieja Sadowskiego z albumu „Jan Karski fotobiografia”

EMPATIA



DLA NAIWNYCH CZY ODWAŻNYCH?

FESTIWAL PRZEMIANY W CENTRUM NAUKI KOPERNIK

W pierwszym odczuciu większość z nas traktuje empatię jako coś oczywistego – naturalną zdolność odczuwania i rozumienia uczuć innych ludzi. Dlaczego więc Centrum Nauki Kopernik zdecydowało się poświęcić jej cały festiwal?

Empatia nie zatrzymuje się na człowieku. Może obejmować bliskich, obcych, zwierzęta, technologie i całą biosferę. Trzeba spojrzeć na nią z różnych perspektyw – neuronauki, biologii ewolucyjnej, rozwoju sztucznej inteligencji, ekologii – by dostrzec kolejne, nieoczywiste warstwy tego złożonego „iceberga". Podczas festiwalu będzie można krok po kroku odkrywać jego poziomy i znaleźć swoją własną odpowiedź na pytanie, czy empatia pomaga w radzeniu sobie z wyzwaniami przyszłości.

CZY WSZYSCY LUDZIE TO „MY"?

Współodczuwanie z rodziną i przyjaciółmi, dostrzeganie uczuć naszych rozmówców i słuchanie bez oceniania to podstawowe zachowania empatyczne, a i one nie zawsze przychodzą nam łatwo. Jak wzbudzić w sobie życzliwość do osób, które mają skrajnie inne poglądy niż my? Do zagrożonych wykluczeniem, obcokrajowców? Czy możemy troszczyć się o przyszłe pokolenia – te, których jeszcze nie ma na świecie?

Festiwal Przemiany otworzy wykład prof. dr hab. Tani Singer, psycholożki i neurobiolożki społecznej z Social Neuroscience Lab Towarzystwa Maxa Plancka w Berlinie. Jej badania nad „treningiem społecznego mózgu" pokazują, że regularne ćwiczenia prowadzą do trwałych zmian w mózgu w obszarach związanych z empatią, współczuciem, uwagą i rozumieniem perspektywy innych. Osoby trenujące stają się bardziej życzliwe, otwarte i prospołeczne w codziennych interakcjach (3.10, godz. 19.00).

Prof. Singer będzie także uczestniczyć w panelu mistrzowskim „Homo empathicus" (4.10, godz. 14.00), wraz z Janem Oleszczukiem-Zygmuntowskim, badaczem alternatywnych wobec kapitalizmu korporacyjnego modeli gospodarczych, oraz prof. Zanną Clay, badaczką empatii u wielkich małp. Eksperci wspólnie z publicznością zastanowią się, czy to rywalizacja napędza historię człowieka, czy raczej zdolność do współodczuwania i kooperacji.

Podczas festiwalowych debat nie można pozostać neutralnym. Ich format wymaga opowiedzenia się „za" lub „przeciw". Gościom Przemian przyjdzie zdecydować, czy możliwa jest konstruktywna rozmowa między ludźmi o skrajnie różnych poglądach. Merytoryczną wiedzą wesprze ich psycholożka społeczna, dr Olga Białobrzeska („Nie zgadzamy się – i co dalej?", 4.10, godz. 13.00). W debacie dotyczącej zaufania do firm farmaceutycznych tworzących nowe leki udział wezmą biolog molekularny dr Rafał Lolo oraz Magdalena Karpińska, oboje związani z firmą AstraZeneca („Innowacje w przemyśle farmaceutycznym – kredyt zaufania", 5.10, godz. 13.00).

Czym różni się mózg osoby empatycznej od mózgu psychopaty? Na stanowisku Koła Naukowego „NeuroPsyche" (Uniwersytet SWPS) zaprezentowane zostaną wyniki badań nad strukturami i obszarami mózgu odpowiedzialnymi za zdolność współodczuwania. Wypełniając kwestionariusz, można będzie także określić swoje miejsce na kontinuum cech psychopatycznych (4-5.10, godz. 11.00-15.00 i 16.00-20.00).

Żywa Biblioteka (4.10, godz. 15.00-20.00) to festiwalowa nowość! Wyjątkowa przestrzeń bezpośrednich spotkań i rozmów, w której zamiast papierowych tomów „wypożyczamy" Żywe Książki. Będą nimi przedstawiciele grup mniejszościowych lub narażonych na dyskryminację. Przyjdą do Żywej Biblioteki, aby – dzieląc się swoim doświadczeniem – zmieniać rzeczywistość na bardziej empatyczną.

Instalacje wykorzystujące wirtualną rzeczywistość pozwolą gościom festiwalu spojrzeć na świat z perspektywy innej osoby, a także zobaczyć i poczuć to, co ona. Najbardziej immersyjne doświadczenie to 15-minutowa sesja, której uczestnicy zakładają gogle VR i słuchawki. Zsynchronizowane nagranie wideo i proste interakcje fizyczne tworzą wrażenie „zamiany ciał" (BeAnotherLab, 4-5.10, godz. 11.00-15.00 i 16.00-20.00).

JEDNOŚĆ Z CAŁĄ BIOSFERĄ

Badania naukowe pomogły nam lepiej rozumieć zachowania zwierząt, odczytywać ich emocje, a także budować z nimi relacje. Coraz lepiej znamy także potrzeby dzikich gatunków i zdajemy sobie sprawę ze znaczenia ich dobrostanu dla ziemskich ekosystemów. Empatia planetarna to najtrudniejsze wyzwanie. Utożsamianie się z całą biosferą i dostrzeganie wartości istnienia samego w sobie często oznacza wyrzeczenia i konieczność rezygnacji z osobistych przyjemności.

Tegoroczna wystawa festiwalowa (3-5.10) to próba objęcia empatią innych gatunków i zjawisk przyrody. Goście zobaczą ulotne obiekty z dmuchawców, robotyczne rafy koralowe, archetypiczne figury mitologiczne i drzewa, które już nigdy nie zakwitną. Będą podglądać szympansy żyjące w Afryce i korzystać z wielkiego słownika małp. Dowiedzą się, czym jest kidzina i dlaczego nie należy jej usuwać z plaży. Zajrzą do inteligentnego ula dla bezdomnych pszczół miodnych, a także obejrzą gobelin inspirowany budową ich aparatów gębowych.

Z autorami wystawy będzie można porozmawiać podczas dwóch spotkań z cyklu Artist Talk. „Sztuka dostrajania się, czyli o czym brzęczy natura" pozwoli zanurzyć się w akustycznych pejzażach mórz, amazońskiej dżungli i miejskich łąk. Marco Barotti, Azael Holtz, Anne Marie Maes, Sefa Sagir, Robertina

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Šebjanič i Kuai Shen będą mówić o tym, jak różnorodne gatunki komunikują o swoim dobrostanie i zagrożeniach, a także o roli sztuki w ukazywaniu ich ukrytej mowy (4.10, godz. 18.15). Drugie spotkanie – „Empatia to za mało. Sztuka w czasach szóstej katastrofy" – dotyczyć będzie sztuki, która się wtrąca i wychodzi poza tradycyjne ramy estetyki. Udział w rozmowie wezmą: Konrad Juściński, Natalia Kopytko, Gosia Kuciewicz, Diana Lelonek, Oliwia Thomas (5.10, godz. 18.15).

Przy stacjach doświadczalnych (3-5.10) będzie można m.in. obserwować bakterie glebowe żyjące w symbiozie z roślinami i podsłuchiwać dźwięki wydawane przez rośliny i grzyby. Zespół prof. Hazema Kalajiego z SGGW otworzy przychodnię dla roślin. Każdy chętny zdiagnozuje swoje domowe rośliny za pomocą systemu umożliwiającego odczytywanie ich EKG – sygnałów biofizycznych wysyłanych w trakcie procesu fotosyntezy.

Podczas panelu mistrzowskiego „Empatyczna planeta" (5.10, godz. 16.00), o skutecznym egzekwowaniu ochrony środowiska rozmawiać będą: filozofka dr hab. Anna Barcz, socjolożka dr hab. Katarzyna Jasikowska, prawnik dr Stanisław Kordasiewicz i biolog dr hab. Wiktor Kotowski.

EMOCJONALNE MASZYNY

Empatia wobec robotów i sztucznej inteligencji to nowy temat. Z jednej strony zdajemy sobie sprawę z niezdolności maszyn do odczuwania czegokolwiek, z drugiej – chętnie nadajemy im imiona i uczymy określonych wzorców zachowań. Gdzieś w tle towarzyszy nam pytanie o to, co zrobimy, jeśli kiedyś powstanie AI zdolna do subiektywnego doświadczania.

Podczas Przemian będzie można obejrzeć rój mobilnych robotów, poszukujących wspólnie „źródła jedzenia". Używają one algorytmów sztucznej empatii, wzorowanej na ludzkiej empatii kognitywnej. Dzięki temu mogą zrozumieć stan innych członków roju, „wczuć się w ich sytuację" oraz zaplanować własne akcje („Sztuczna empatia roju", 4-5.10, godz. 11.00-15.00 i 16.00-20.00).

Laboratoria Centrum Nauki Kopernik zaprezentują empatycznego robota Nao, który „odczytuje" mimikę, gesty oraz ton głosu, a następnie reaguje na nie, naśladując radość, smutek czy zdziwienie.

Panel mistrzowski „Empatia w epoce AI" (4.10, godz. 16.00) poświęcony będzie granicom zaufania wobec empatycznych chatbotów i coraz częściej pojawiających się na rynku robotów opiekuńczych. Dr hab. Marcin Moskalewicz pokaże, jak w terapii i filozofii manifestuje się problem iluzji empatii oraz co decyduje o autentycznym doświadczeniu troski. Prof. Halina Kwaśnicka opowie o możliwościach i ograniczeniach technologii.

Czy pozwolimy technologii kształtować naszą wrażliwość wobec innych? Zdecydują o tym uczestnicy debaty („CyberTrening empatii", 5.10, godz. 15.00). O swoich badaniach, które pokazują, że wcielenie się w reprezentanta obcej grupy w wirtualnej rzeczywistości wpływa na empatię i zmienia nastawienie do osób z innych kultur, opowie psycholożka dr Daniela Hekiert-Małozięć. Gościem spotkania będzie także psycholog społeczny dr Konrad Maj.

FILM, MUZYKA I RELAKS W KAWIARNI

Tegoroczne Kino Przemian (4-5.10, godz. 17.30) zachęca do zastanowienia się nad relacjami człowieka z technologią, naturą i własną tożsamością.

Festiwalowe koncerty w Planetarium to unikatowe wydarzenia, łączące muzykę i tworzone na żywo kosmiczne wizualizacje. W tym roku wystąpią Skalpel (4.10, godz. 20.00) oraz Janka (5.10, godz. 20.00).

W kawiarni czekać będzie specjalne festiwalowe menu. Nie zabraknie także spotkań #przywspolnymstole – warsztatów i degustacji. Będzie można nauczyć się japońskiej techniki naprawy ceramiki z Anią Gubernat (4.10, godz. 12.30), poćwiczyć jogę z Aleksandrą Kwiatkowską (4.10, godz. 11.00), a także doświadczyć uważnego smakowania posiłków z Martą Kostką (5.10, godz. 12.00).

CENTRUM NAUKI KOPERNIK



FESTIWAL PRZEMIANY
3-5.10.2025

EMPATIA

DLA NAIWNYCH CZY ODWAŻNYCH?

WSTĘP WOLNY

NAUKA

MARS: BYŁO SOBIE ŻYCIE?

Konferencji prasowych ogłaszających znalezienie silnych poszlak na istnienie życia na innych planetach było już wiele. Jednak tę zorganizowaną w połowie września przez NASA trzeba traktować poważnie.

ANNA ŁOSIAK



NASA / JPL-CALTECH / MSSS

Powierzchnia Marsa jest najbardziej podobnym do Ziemi miejscem w Układzie Słonecznym: ma atmosferę, niemal nierozróżnialne (na pierwszy rzut oka) skały od naszych i ukształtowanie terenu do złudzenia przypominające niektóre pustynne miejsca na naszej planecie. Co więcej, w dalekiej przeszłości, ponad 3,8 mld lat temu, rozróżnienie zdjęcia wykonanego na powierzchni Czerwonej i Błękitnej Planety byłoby niezwykle trudnym wyzwaniem. Na Marsie atmosfera była wtedy dużo gęstsza (m.in. dzięki zdecydowanie bardziej dziarskiej aktywności wulkanicznej), występowała woda w stanie ciekłym. Bywało pochmurnie, czasami padał deszcz i śnieg, płynące rzeki erodowały doliny, usypywały delty, tworzyły jeziora, a nawet wielkie morze na północnej półkuli. W skrócie, warunki do życia były całkiem przyjemne.

Wiemy też, że w tym samym czasie w ziemskich oceanach można było znaleźć coś żywego. Skoro na obu planetach warunki były tak zbliżone, nie ma powodów, żeby myśleć, że życie na Marsie byłoby niemożliwe. Dlatego przez ostatnie dziesięciolecia większość planetarnych misji kosmicznych kierowało się ku temu ciału niebieskiemu. Udało się dzięki nim bardzo wiele dowiedzieć o Czerwonej Planecie i ustalić, że Mars był w przeszłości jeszcze bardziej podobny do Ziemi, niż nam się wcześniej wydawało. Nie ma jednak do tej pory jednoznacznych dowodów, że życie kiedykolwiek powstało poza naszą planetą.

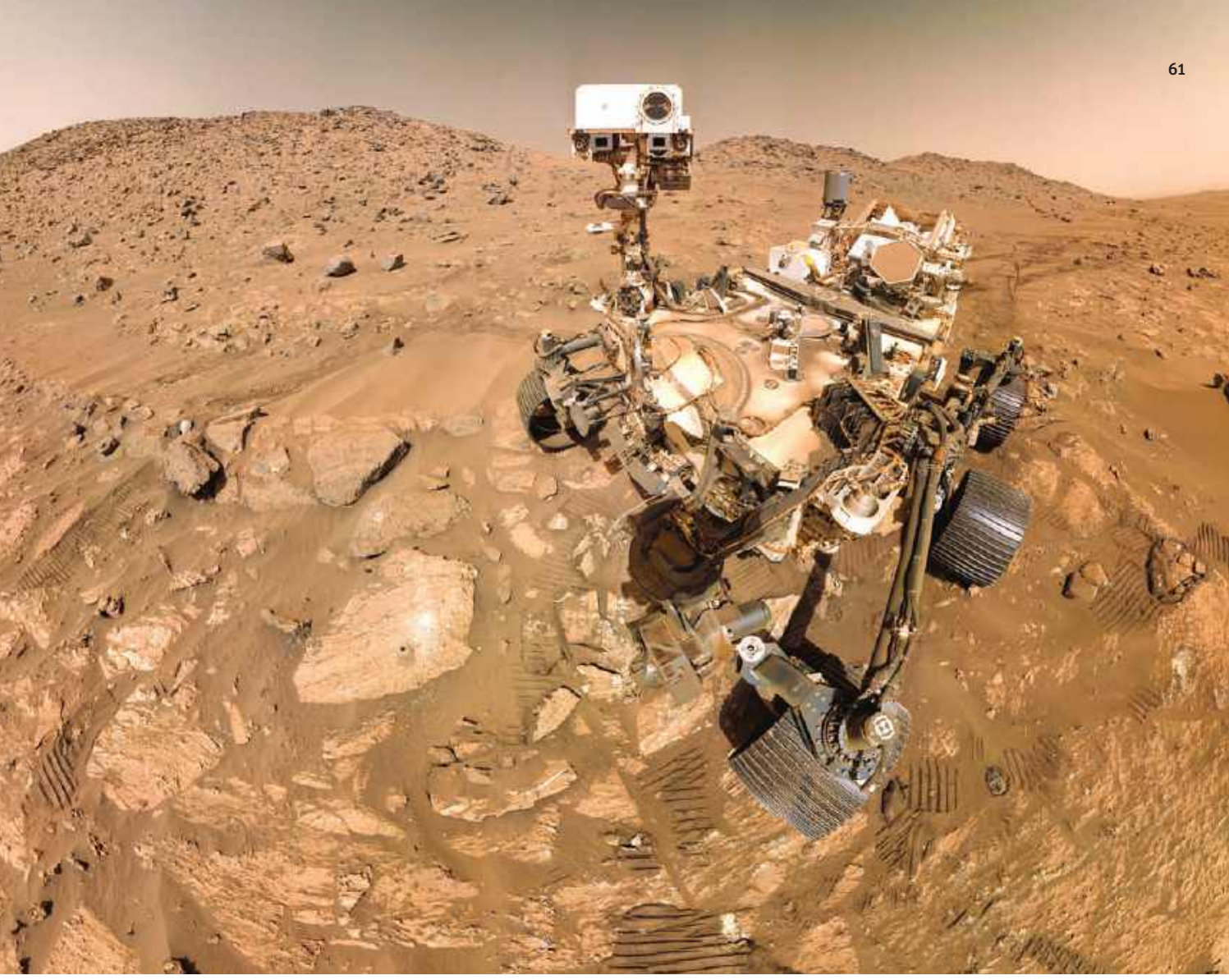
Znalezisko w meteorycie

W ciągu ostatnich dziesięcioleci informacje o znalezieniu dowodów na życie na Marsie docierały do nas już wielokrotnie. I nie piszę tu o pojawiających się co sezon ogórkowy filmików na YouTubie czy TikToku mówiących o znalezieniu na zdjęciach wykonanych przez łaziki „skamieniałej ryby" czy innej „kości dinozaura" lub nawet okazjonalnego zielonego ludka we własnej osobie.

W 1996 r., dzięki artykułowi opublikowanemu w czasopiśmie „Science", świat obiegła informacja o znalezieniu „skamieniałego" marsjańskiego mikroorganizmu. Odkrycie było na tyle elektryzujące, że sam prezydent Stanów Zjednoczonych Bill Clinton wydał z tej okazji oficjalne telewizyjne oświadczenie.

Podejrzany „Marsjanin" przyleciał do nas z Czerwonej Planety w meteorycie ALH84001 znalezionym na Antarktydzie. Po dowiedzeniu, że skała ta pochodzi z Marsa, poddano ją szczegółowej analizie. Okazało się nie tylko, że powstała ponad 4 mld lat temu, w czasie gdy na Marsie występowała woda w stanie ciekłym, ale także że zawiera podłużne, wałeczkowate struktury.

W mikroskopie elektronowym podobnie wyglądają ziemskie bakterie – z tym że obserwowana struktura była dużo mniejsza od nawet najmniejszych znanych nam mikroorganizmów. Dodatkowo, miejsce z podejrzaną strukturą było wzbogacone w związki organiczne (tzn. oparte na węglu, ale niekoniecznie pochodzące z żywego organizmu), oraz magnetytu i siarczków żelaza. Jednak kolejne badania tego meteorytu pokazały, że wszystkie te obserwacje można wyjaśnić działaniem całkowicie abiotycznych procesów, a marsjańsko-antarktyczne wałeczki nie są śladami życia.



Łazik Perseverance w pobliżu skały Cheyava Falls, która może skrywać ślady pradawnego marsjańskiego życia.

Co z tym metanem?

Metan jest związkiem chemicznym, który często jest związany z życiem. Na przykład krowy, a właściwie organizmy metanogeniczne żyjące w ich układzie trawiennym, produkują sporo metanu. Dzieje się to w wyniku procesu oddychania beztlenowego, którego produktem ubocznym jest metan. Metanogeny spotkać można także w innych miejscach, w których panuje środowisko beztlenowe – w ten właśnie sposób na bagnach powstaje gaz błotny. Unoszące się nad ziemskimi mokradłami opary metanu – widoczne również z orbity – są jasną oznaką działalności tych organizmów.

Dzięki temu, że metan stosunkowo szybko się rozpada, może służyć za miarę aktualnej beztlenowej działalności biologicznej w danym miejscu. Dodajmy jednak, że metan może być tworzony również w wyniku procesów geologicznych niewymagających żadnej pomocy ze strony życia. Na przykład wietrzenie jednego z częstych minerałów na Marsie – oliwinu – może wydzielać znaczące ilości metanu.

Z uwagi na istotność dla życia, pomiary metanu na Marsie trwają od lat 60. XX w. Wskazywały one na stężenie na poziomie kilkudziesięciu cząsteczek metanu na każdy miliard cząsteczek tworzących atmosferę. Niektóre pomiary, ku zaskoczeniu badaczy, wskazywały, że ilość metanu w atmosferze podlega bardzo intensywnym zmianom w cyklu dobowym, sezonowym oraz w różnych przypadkowych momentach. Niestety, wszystkie te pomiary nadal nie są jednoznacznie potwierdzone i mogły być spowodowane nakładaniem się sygnałów innych związków chemicznych (jak CO_2) lub wyciekami z urządzeń pomiarowych.

Dlatego też w 2019 r. na pokładzie europejskiego satelity ExoMars Gas Trace Orbiter wysłano urządzenia zaprojektowane specjalnie do dokładnego mierzenia bardzo małych ilości wybranych gazów w atmosferze (do poziomu 50 cząsteczek tego gazu na każdy bilion cząsteczek atmosferycznych). Jak do tej pory, obecność metanu powyżej poziomu detekcji nie została potwierdzona. Być może więc jednak metanu wcale tam nie ma.

Lamparcie cętki

Rok temu świat obiegły zdjęcia wykonane przez łazik Perseverance pokazujące skałę w lokalizacji Cheyava Falls, która zawierała charakterystyczne koncentryczne struktury o różnych kolorach. Ich kolory, skład i struktura wskazywały na intensywne, ale lokalizowane reakcje chemiczne, a fakt, że skała zawierała przy tym spore ilości materiału organicznego, ↦

↦ dodatkowo podgrzewał oczekiwania. Gdybyśmy znaleźli podobną skałę na Ziemi, naszym pierwszym podejrzanym za utworzenie tych struktur byłyby organizmy żywe. Doniesienia sprzed roku były sensacyjne, ale pochodziły jedynie ze wstępnej notatki prasowej. W normalnej sytuacji takie wstępne, niesprawdzone dane nie są wypuszczane tak szybko. W środowisku naukowym podejrzewaliśmy, że nastąpił jakiś przedwczesny wyciek informacji, który NASA starała się opanować, wypuszczając swoją notkę.

We wrześniu opublikowano recenzowany artykuł naukowy. I sytuacja robi się jeszcze bardziej intrygująca, niż wydawało się na początku. Podejrzana o zawieranie śladów dawnego życia skała Cheyava Falls znajduje się u ujścia doliny rzecznej do krateru Jezero, w górnej części rozległej delty. Kamień w ciapki to mułowiec, a takie skały osadowe tworzą się w wodzie stojącej – jeziorze lub niewielkim okresowym bajorze na brzegu rzeki. Tak więc w jednym z najlepszych miejsc pod względem możliwości rozwoju i podtrzymania życia na Czerwonej Planecie.

Cheyava Falls zawiera również żyłki mineralne świadczące o długotrwałej interakcji z wodą oraz podwyższone stężenia związków organicznych, związków żelaza i niezbędnych dla ziemskiego życia fosforanów. Lamparcie cętki ułożone w strefy halo są śladem dużych gradientów chemicznych, jakie mogą być pamiątką po żerowaniu organizmów żywych. Takie gradienty mogą występować też bez pomocy biologii, ale wszystkie inne znane nam niebiologiczne wyjaśnienia wymagałyby dużo wyższej temperatury i ekstremalnie innych właściwości środowiska niż to, co widzimy zapisane w tej skale. Lamparcie cętki są niezwykle intrygującą poszlaką wskazującą na to, że w Cheyava Falls zachodziły jakieś nietypowe procesy, ale nadal nie jest to jednoznaczny dowód na istnienie tam życia.

Próbki do sprowadzenia

Brak jednoznacznych dowodów na istnienie (lub nie) życia na Marsie wynika w dużej części z ograniczeń sprzętu. Orbitery obserwujące Czerwoną Planetę są w stanie zrobić zdjęcia powierzchni z rozdzielczością na tyle dobrą, że rozróżnialne stają się obiekty o średnicy około metra; potrafią też mierzyć skład chemiczny niektórych skał lub atmosfery. Ale bez jednoznacznych materiałów kalibracyjnych pomiary wiążą się ze sporą dozą niepewności. Łaziki, takie jak Curiosity czy Perseverance, są niesamowicie zaawansowanymi, skomplikowanymi i wspaniałymi urządzeniami, ale nie mają szansy dorównać w poziomie skomplikowania analiz laboratoriom tu na Ziemi.

> Bez przywiezienia próbek z Marsa na Ziemię nie będziemy w stanie jednoznacznie potwierdzić, **że nie jesteśmy sami w kosmosie.**

Marsjańskie skały trafiają do nas wprawdzie regularnie – jako meteoryty – ale ich analiza jest problematyczna. Dostajemy bowiem skały pochodzące z nieznanych nam i przypadkowych miejsc na Czerwonej Planecie, a nie z najbardziej obiecujących (pod względem optymalizacji szans na poszukiwanie życia) lokalizacji, najlepiej z jakiejś doliny, delty lub dna marsjańskiego morza. Dodatkowo, skały docierające do nas z Marsa są najbardziej twardymi, odpornymi fragmentami, a te najciekawsze dla nas skały są mięciutkie i delikatne (jak na skały rzecz jasna) i mało odporne na bycie wystrzelonymi z planety w wyniku uderzenia ogromnej planetoidy.

Z tego właśnie powodu już od bardzo dawna naukowcy wiedzieli, że bez przywiezienia próbek z powierzchni Czerwonej Planety do naszych ziemskich laboratoriów nie będziemy w stanie jednoznacznie potwierdzić, czy jesteśmy sami w kosmosie. Pierwsze plany przywiezienia próbek z Marsa na ziemię rozpoczęły się w latach 70. Promotor mojej pracy magisterskiej został geologiem specjalizującym się w badaniach mikrośladów interakcji między wodą a skałami dlatego, że chciał być w zespole, który będzie badał skały z Czerwonej Planety po ich dostarczeniu na Ziemię. Prof. Michael Velbel kilka lat temu przeszedł na emeryturę, niestety nie doczekawszy się upragnionej przesyłki.

Po kilku nieudanych podejściach wydawało się, że program przywiezienia próbek z Marsa zapoczątkowany w 2012 r. wreszcie się powiedzie. Pierwszy etap – wysłanie robota wybierającego próbki – został zrealizowany. Dlatego właśnie od ponad pięciu lat po starożytnej delcie dawno wyschniętej marsjańskiej rzeki pnie się łazik Perseverance, uparcie zbierając i bezpiecznie pakując najciekawsze skały. Próbki te miały być następnie zebrane, załadowane na rakietę i dostarczone na statek kosmiczny, który po kilkumiesięcznej podróży przysłałby je w nasze ręce w okolicach roku 2033. Niestety, cały ten plan (po raz kolejny) został skasowany.

Sprawa polityczna

Mimo że wyniki badań „lamparcich cętek" na Marsie opublikowane w „Nature" i przedstawione w czasie wrześniowej konferencji prasowej NASA są przełomowe, to nie ich ogłoszenie było najważniejszą częścią tego wydarzenia. Znacznie większą uwagę zwracały kilkukrotne, tylko delikatnie zawoalowane apele do Donalda Trumpa i jego administracji, żeby nie obcinać funduszy NASA („Łazik Perseverance, wystrzelony za pierwszej kadencji prezydenta Trumpa, odkrył właśnie najlepszą dotychczas poszlakę na występowanie życia na Marsie"). Wezwania te są dosyć dramatyczne, albowiem proponowany budżet federalny obcina całościowy budżet NASA o 24 proc. w przyszłym roku, a budżet programów naukowych ma być obcięty o ponad połowę. Wielu moich znajomych, amerykańskich naukowców już straciło pracę (często kilkukrotnie w ciągu kilku miesięcy), inni szykują się do zmiany branży. Obcięcie budżetu wymusi nie tylko wyłączenie misji już działających w kosmosie, ale też rezygnację z wielu programów będących w przygotowaniu – w tym Mars Sample Return. Niestety, na razie nie wygląda na to, żeby apele administratorów NASA oraz naukowców o utrzymanie finansowania badań kosmicznych przyniosły efekty.

Na szczęście szansa na przywiezienie próbek z Marsa całkiem nie przepadła. W 2022 r. CNSA (Chińska Agencja Kosmiczna) ogłosiła, że planuje przywieźć próbki z Czerwonej Planety w 2031 r. Jak do tej pory, wszystkie planowane misje kosmiczne tego kraju z grubsza się udawały, z jedynie niewielkimi przesunięciami czasowymi. Wiele wskazuje więc na to, że pierwszym państwem, które będzie miało szansę potwierdzić istnienie życia pozaziemskiego, będą Chiny.

© ANNA ŁOSIAK

ELIZA

Kącka:
Pani gotuje żyłę



Nic mniej podobnego do siebie niż trzy obłaskawione wiewiórki. Gałąź transferowa, której jeszcze nie wycięto, pozwala na skok pod okno i trzebienie miski orzeszków. Pytam telefonicznie: „I jak tam, ojcze wiewiórek, przyszło jakieś bydlątko?". „A jakże, przyszedł Siwaczek". Siwak szacowny, z rudo-siwawym ogonem, stabilizuje się nad miską z połówką orzecha włoskiego w łapkach. Nic go nie ruszy. „Siwak wie swoje. Wyłupiaste oczko". „Łypie?". „A jak. Teraz porwał kolejnego orzecha i hyc do magazynu". „Czyli poszedł sobie?". „Ale wróci, wróci".

Dzwonię po godzinie, ciekawa. W telefonie panika: „Zabiłem Tchórzaka!". „No coś ty". Pauza. „Prawie zabiłem". Tchórzak to wiewiór nieufny, źle znosi szybkie podejścia do okna, gdy pojawia się ręka z orzeszkami, daje susa na gruszę i udaje, że nie jest głodny. „Za szybko podszedłem. Tak się przeląkł, że prawie spadł". „Nie martw się, dbaj o zdrowie". „Zdrowie? One są moim zdrowiem".

Kolejny telefon: „Wydarzyło się coś ważnego, bardzo. Przyszła Klejnotka". Ach, więc wróciła mistrzyni posuwistych szusów na skraju parapetu, dziewczyna wiewiórcza z wielkimi pędzlami na uszkach. „Przyszła, oparła się łapkami o dolny rant okna i przez długą chwilę patrzyła mi w oczy. Wiedziałem, że mówi »Witaj«". „Zameldowała się po urlopie macierzyńskim". „Ano. Powiedziałem jej, że jest najpiękniejsza. I stanowczo wie o tym". „Powinieneś mieć zwierzę domowe". „One, wiewióry, grają ze mną w oglądanie wzajemne. To moje zwierzęta. Ja jestem ich zwierzęciem. Zwierzem-stróżem". „Tak dobrze". „Owszem".

Punkt pobrań, wchodzę. Na stanowisku pod oknem starszy jeszcze w obróbce. „Nie wierci się, bo wbiję strzykawkę". Starszy: „Ajaj". Strzykawkowa: „Siedzi prosto". Starszy: „Przepraszam, to odruch, że w towarzystwie jest się twarzą do osoby". „Tu nie jest towarzystwo". Mrugnął do mnie: „Przepraszam, dziękuję: inteligenckie narowy". Laborantka druga: „Pani nie słucha, pani gotuje żyłę". „Już już".

Autobus 116, dziewczynki w wieku późnopodstawówkowym. „Ale mnie nie interesuje". „Co?". „Ta Gaza". „Ale jak to?". „Mama mówi, że to jest za daleko". „To telewizora nie macie?". „Mamy. Ale to za daleko, żeby się przejmować". „Jeju, mój ojciec by jej...". „Wiesz, to jest smutne ogólnie, że ktoś ginie". „No raczej". „Ale to nie nasz rejon. My tu mamy Putina". „Aha". „I mama mówi, że tamci się też nami nie interesują". „Tamci?". „No, ci z Gazy". „Bo jakby u nas tak było, jak u nich, to nikt z nich by palcem nie kiwnął". „Aha". „I mama mówi, że za dużo uwagi poświęcamy innym. Oni mają inny sposób życia". „Aaa, to pewnie też umierania?". „Umierają, ale inaczej".

Toruń, wczesny ranek, deszcz. Na ławce staruszka płacze pod parasolką. Podchodzę, zagaduję. „Nie nie, nic się nie stało, ja teraz mam Wilno". „Aha". „Wie pani, bo ja z Wilna jestem. Rankiem mnie nachodzi. Muszę wyjść i patrzeć na Wisłę. Nie umiem tego wyjaśnić...". „Nie trzeba". „...nie umiem tego wyjaśnić, że Toruń w deszczu, wie pani, taki pustawy jeszcze, pachnie Wilnem. I ja tak siedzę i czekam, aż się te moje ulice z pamięci nałożą na ten skwer, plac. Wywołuję". „Piękne". „Czasem mi się udaje i prawie jestem w Wilnie". „Prawie". „Tak, czekam na śmierć". „?". Uśmiecha się: „Niech się pani nie przejmuje, teraz nie umrę. Ale uświadomiłam sobie, że jak będę umierać, wie pani, te wszystkie moje ulice same przyjdą po mnie". Uścisnęła mi rękę. Kiedy obróciłam się na światłach, uśmiechała się nieobecnie.

Dzwoni staruszka od ciśnienia: „Pani Elizo, żyje pani?". „Aha". „Też głupie pytanie, swoją drogą, póki żyje, odbiera". „Haha, nie wszyscy żywi odbierają". „Wnuk mi nakablował, że jest pani nominatką do ważnej nagrody". „Zgadza się". „Nie lubię dowiadywać się takich rzeczy od rodziny". „Haha". „Wyniki lekarskie i testamenty, pani Elizo, to sprawa rodzin. Ale w tym mogła ich pani wyręczyć. A teraz serio: czy tytuł pani książki oznacza, że pani dziecko widzi nas w aurach kolorystycznych?". „Tak, widzi emocje, ich gęstość". „No, to ja teraz pani coś zdradzę: pani nie jest zielona". „?". „Pani jest niebieska. Nie chciałam się z panią dzielić tą prawdą, hehe, bo by może pani uznała, że jestem dziwniejsza, niż jestem". „Ależ skąd". „No ba, teraz to już wiem, że w rankingu dziwności nie przegrywam. A zatem: może się pani złości na zielono, ale poza tym jest pani niebieska. I jest to bardzo ładny odcień, dodam".

Taksówka, jazda na spotkanie literackie. Rozmawiam z organizatorami, rozłączam się. Taksówkarz: „Będzie pani odpytywać literatów?". „Pogadamy". Milczymy. „Bo wie pani, ja mam z tą literaturą taki nierówny stosunek". „Aha". „Bo z jednej strony: to szlachetne. Ludzie biznesy robią, mają to wszystko gdzieś, a tu raptem jakaś garstka się zajmuje tekstami. I się stresuje, płodzi". „Ano". „Ja też płodziłem". „O!". „Wiersze były, trochę prozy. Niedawno. Ale zostawiłem to". „Bo?". „Wie pani, ja wiem, że ja to średnio robię, ja tam trzeźwy jestem. Dość, że sobie ulubionych poetów poczytam. Zawsze mam w schowku tomik". Poklepał kordialnie schowek samochodowy. „Teraz tam Bursa siedzi, pojedzie na Pragę, jak panią dostarczymy". „Haha". „Ale wie pani, mnie coś jeszcze tak serio zniechęciło do pisania. W Polsce się nie czyta, w Polsce się atakuje. Nie chce się zrozumieć. I ja tego nie umiem znieść". ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono".

BRUCE WSZECHMOGĄCY

Mógł wyrzucać terrorystów przez okna, podróżować w czasie albo błąkać się po zaświatach. Zawsze robił to tak, by każdy facet mógł dostrzec w nim siebie.

MICHAŁ WALKIEWICZ

W knajpie dla łysiejących facetów za darmo je tylko jeden gość – Bruce Willis. Przykro mi, takie są fakty. Ilekroć myślę o pisklakach, które niedługo wyklują się na czubku mojej głowy – a po czterdziestce myślę o nich na okrągło – mam przed oczami Willisa. W przepoconym podkoszulku, z brzuszkiem, tygodniowym zarostem i na kacu rozbraja bombę w Central Parku.

Jeśli hollywoodzkie kino akcji lat 80. i 90. przypominało pokaz kulturystyki, Willis był żartownisiem, który rzucał w uczestników pomidorami. Jeżeli rytm ówczesnej popkulturze nadawało „Freedom" George'a Michaela, Willis słuchał na cały regulator Creedence Clearwater Revival. Mógł wyrzucać terrorystów przez okna, podróżować w czasie, spacerować po asteroidzie albo błąkać się po zaświatach. Zawsze jednak robił to tak, by każdy facet mógł dostrzec w nim siebie. Tak, by jego kariera pozostała przedmiotem naszych marzeń, zaś bohaterowie – przedmiotem naszej wiary.

W czasie przeszłym

Wydana właśnie w języku polskim biografia „Bruce Willis. Bohater kina hollywoodzkiego" autorstwa Seana O'Connella (w przekładzie Mariusza Gądka) to przedziwna książka. Wskazuje oczywiście najistotniejsze przyczyny ogromnego sukcesu Willisa – i jako aktora, i jako popkulturowej ikony. Skupia się jednak wyłącznie na jego rolach. To na gruncie opowieści o rzemiośle kiełkują co jakiś czas anegdoty z jego prywatnego życia.

Wyjątkiem jest choroba, na którą cierpi gwiazdor i która w dramatyczny sposób przerwała jego karierę. Wyłączająca funkcje poznawcze afazja przekształciła się z czasem w otępienie czołowo-skroniowe, czyli jedno z najpoważniejszych neurodegeneracyjnych zaburzeń. Autor nie eksplikuje tego wprost, ale cóż – nie da się opowiadać o Willisie inaczej niż przez pryzmat ról, których już nie zagra.

Książka napisana jest w czasie przeszłym, co w przypadku biografii żyjących, a nawet aktywnych zawodowo artystów nie jest niczym zaskakującym. Jest też utrzymana w elegijnym tonie, co musi budzić intuicyjny sprzeciw – chcąc nie chcąc, autor uśmierca swojego bohatera za życia. To wilczy dół, z którego trudno się wygramolić, a jednak ten cud przypada O'Connellowi w udziale (czego mu zresztą szczerze zazdroszczę). Dzięki drobiazgowej analizie niemal 30 ról z liczącej ponad 100 pozycji filmografii oraz paraencyklopedycznej formule udaje mu się zamienić dorobek aktora w coś niebywale żywego pomimo fluktuacji trendów, niezbędnego do zrozumienia współczesnej popkultury.

Afazja odbiera zdolność mówienia i rozumienia słów, czyni z mózgu pęknięte naczynie. Willis nigdy nie wróci do aktorstwa, co do pewnego stopnia tłumaczy ton rozmaitych „pożegnań" po tym, gdy ogłosił zakończenie kariery. Nie będzie też pamiętał, jak wielką był gwiazdą, gdyż postępująca demencja odbiera mu wspomnienia. Każdy jego fan radzi sobie z tym tak, jak potrafi. Niektórzy powtarzają znane szlagiery i nadrabiają perełki, które przeszły pod radarem. O'Connell tymczasem układa z jego filmów mozaikę wspomnień, do których aktor nie ma już dostępu. Stają się dzięki temu najczystszym, przekazanym bezzwrotnie dziedzictwem.

Znacie tego faceta

Uwielbiam zdjęcie zrobione podczas otwarcia jednej z restauracji sieci Planet Hollywood. Wbrew obiegowej opinii Willis oraz jego przyjaciele Arnold Schwarzenegger i Sylvester Stallone nie byli właścicielami tych knajp, choć jako oficjalni patroni utopili w nich sporo pieniędzy. Na fotografii widzimy całą trójkę, lecz tylko jeden gość, wyluzowany, w bermudach, kapelusiku i z nogą nonszalancko założoną na nogę, ucieka wzrokiem poza kadr.

Dawno, dawno temu łatwo było dostrzec w tym obrazku metaforę całej strategii artystycznej Willisa. Gwiazdor występował na tej samej scenie, na której Schwarzenegger i Stallone dawali koncert na sto karabinów. A jednocześnie widzowie zawsze wymagali od niego czegoś więcej – ciekawszych ról, lepszych filmów, autoironii, krwi, potu, brudu i łez. W końcu był tym, który cały czas wierci się w szufladce.

Autor książki ma tego świadomość, a jednocześnie próbuje ułożyć jego filmografię w klarowne wzorki: Willis komediowy, Willis w kosmosie, Willis u wielkich autorów, Willis jako bohater kina akcji. To oczywista droga, która – mimo doskonałej roboty faktograficznej – wydaje się jednocześnie drogą na skróty.

Myślę, że w przeciwieństwie do Nicolasa Cage'a, Roberta De Niro czy wielu ↦

Bruce Willis, 1995 r.



PICTURELUX / THE HOLLYWOOD ARCHIVE / ALAMY / BE&W

↦ innych aktorów, którzy musieli na pewnym etapie kariery spłacić długi, pomóc wnukom albo jakoś przetrwać na bocznym torze, Willis zawsze i bez względu na jakość filmów pozostał na ekranie „tym samym facetem": everymanem w stanie permanentnej frustracji, świadomym, że zgodnie z moralnym imperatywem musi zrobić to, co należy.

Nić widmo

Serial „Na wariackich papierach" (1985--1989) pamiętam jak przez mgłę. Kojarzę jednak, że z rozlicznych biznesów prowadzonych przez jego bohaterkę, eksmodelkę Maddie Hayes, rentowna okazała się wyłącznie agencja detektywistyczna. Nic dziwnego. Klientów obsługiwał w niej David Addison – w interpretacji Willisa bezczelny uwodziciel i chandlerowski cynik z sercem po właściwej stronie.

Przed tym serialem życie Bruce'a układało się w klasyczną hollywoodzką biografię. Dzieciństwo spędzone na obczyźnie, fascynacja aktorstwem i problemy z dykcją, kawały będące jednoczesnym świadectwem odwagi i głupoty. Później teatr, telewizja, statystowanie u małych i u wielkich (m.in. na planie „Werdytku" Sidneya Lumeta), a nawet rólka narkotykowego barona w „Policjantach z Miami". Po sukcesie serialu „Na wariackich papierach" stało się jasne, że będzie z niego kawał aktora. I to bez wyraźnej gatunkowej tożsamości.

Komediowo-noirowe podróże Willisa trwały przez trzy dekady. Miały zaskakującą dynamikę i owocowały zróżnicowanymi rolami. W „Randce w ciemno" (1987) Blake'a Edwardsa był japiszonem próbującym przetrwać w towarzystwie rozpitej do nieprzytomności *femme fatale*. W „Ze śmiercią jej do twarzy" (1992) Roberta Zemeckisa stał się symbolem wiotczejącej męskości w zamaszystej satyrze na hollywoodzki kult piękna. W „Jak ugryźć 10 milionów" (2000) Jonathana Lynna zamieniał wyeksploatowaną figurę zabójcy-mizantropa w komediowy żywioł. Wreszcie – „Hudson Hawk" (1991) Michaela Lehmana, być może największa artystyczna porażka w jego karierze. Marny film, ale z genialnym humorystycznym kontrapunktem. Ilekroć urobiony po łokcie bohater próbuje napić się cappuccino, złośliwy los wytrąca mu z ręki filiżankę.

Bruce Willis zawsze i bez względu na jakość filmów **pozostał na ekranie „tym samym facetem":** everymanem w stanie permanentnej frustracji, świadomym, że zgodnie z moralnym imperatywem musi zrobić to, co należy.

Siła jego warsztatu polegała na tym, że podszewką niemal każdej dramatycznej roli był dyskretny humor. Zaś nici pozostawały niezauważalne. Fantastyczny „Ostatni skaut" (1991) Tony'ego Scotta to dowód na to, że Willis był niezrównany w balansowaniu pomiędzy tymi skrajnościami. Detektyw alkoholik z ciężką ręką i miękkim sercem, trwający w bezkrwawym konflikcie z żoną i skłócony z córką? Ile można? A jednak tylko Willis potrafił z kamienną twarzą wypluwać z siebie maczystowskie dialogi i zarazem okazywać głęboką bezradność. Jak w scenie rozmowy z żoną o gotyckim makijażu i rebelianckiej naturze córki. „Pozwalasz jej na to? Wygląda jak szop pracz. Omal jej nie zastrzeliłem. Myślałem, że to złodziej".

Rysa na szkle

„Szklanej pułapce" (1988) O'Connell poświęca cały rozdział książki. To mądra decyzja. Detektyw John McClane jest w końcu ojcem chrzestnym wszystkich wkurzonych do imentu facetów, którzy muszą przerwać swoje życie i postąpić słusznie. Terroryści i wojskowi dezerterzy, którzy uprzykrzają mu życie w dwóch pierwszych filmach cyklu, robią to w święta Bożego Narodzenia, co dla Johna jest jasnym sygnałem, że miarka się przebrała. „Kolejne święta, kolejna jebana piwnica, kolejna stalowa puszka zamiast indyka, kolęd i choinki" – klnie, czołgając się przez szyb wentylacyjny.

Rola w „Szklanej pułapce" scementowała wizerunek Willisa jako twardziela, ale i faceta, któremu siła wyższa ustawicznie przerywa fajrant. Z perspektywy historii kina była ważniejsza, niż myślimy. Po pierwsze – pokazała, że wśród buchających testosteronem mięśniaków jest miejsce dla sprytnego, zdeterminowanego i sarkastycznego gościa, który bierze się za bary z ironicznym losem. Po drugie – udowodniła, że najbardziej zżywamy się z tymi herosami, którzy cierpią, krwawią i narzekają jak my.

Nie bez powodu w najlepszych odsłonach cyklu, to jest w pierwszej i trzeciej, John skonfrontowany jest z tzw. niemiecką precyzją (a raczej z jej hollywoodzkim rozumieniem), czyli chciwymi i bezbłędnymi w realizacji swoich zbrodniczych planów braćmi Gruber (w tych rolach fantastyczni... Brytyjczycy Alan Rickman i Jeremy Irons). Prawdziwy amerykański bohater rodzi się w epicentrum chaosu i odnajduje siłę w żywiole improwizacji. Jest z definicji niedoskonały, a przez to – ludzki.

Numer jeden

Zanim reżyser John McTiernan trafił do więzienia za nielegalne podsłuchy i krzywoprzysięstwo, nakręcił dwie części „Szklanej pułapki", „Predatora" (1987) oraz „Polowanie na Czerwony Październik" (1990). Wówczas, przywiązani do nowofalowej definicji kina autorskiego, widzieliśmy w nim raczej zdolnego wyrobnika. Dziś wiemy, że przewodził korowodowi mistrzów, którzy utorowali Willisowi drogę na szczyt.

Za McTiernanem przyszli kolejni. Ochrzczony mianem „nowego Spielberga" M. Night Shyamalan obsadził Willisa w „Szóstym zmyśle" (1999) i „Niezniszczalnym" (2000). Hollywoodzki weteran Barry Levinson pozwolił mu rozwinąć komediowy potencjał we „Włamaniu na śniadanie" (2001) i „Co jest grane?" (2008). Członek grupy Monty Pythona i największy pechowiec w Hollywood, Terry Gilliam, nakręcił z nim „12 małp" (1995), czyli *remake* wybitnej impresji „Pomost" w reżyserii legendarnego dokumentalisty Chrisa Markera. Z kolei Robert Rodriguez dał mu poszaleć w „Sin City. Miście grzechu" (2005) oraz „Grindhouse: Planet Terror" (2007). Niektórzy, w czasach rozkwitu średniobudżetowych produkcji z ambicjami, potrzebowali kasowej gwiazdy w obsadzie. Inni mieli ambicje zaprowadzenia Willisa na oscarową scenę albo poszerzenia jego filmografii

Dodaj do ulubionych. Cztery niedocenione role Bruce'a Willisa

MATERIAŁY PRASOWE X4



▪ ŚNIADANIE MISTRZÓW (1999), reż. Alan Rudolph

Proza Kurta Vonneguta nie jest ani scenariopisarskim gotowcem, ani reżyserskim spacerkiem po parku. Ekranizacja „Śniadania mistrzów" w reżyserii Alana Rudolpha co chwilę o tym przypomina, lecz to właśnie Willis w duecie z wybitnym Albertem Finneyem zamieniają ją w coś więcej niż sumę swoich składowych.



▪ OSTATNI SPRAWIEDLIWY (1996), reż. Walter Hill

Spośród wszystkich remake'ów dzieł Akiry Kurosawy ten może być najlepszy. „Straż przyboczna" rozegrana w latach 30., na gorącym Południu USA z Brucem Willisem w roli milczącego twardziela z palcem na spuście? Co może się nie udać? W gratisie aktorski pojedynek z Christopherem Walkenem.



▪ NIEZNISZCZALNY (2000), reż. M.Night Shyamalan

Obok Johna McClane'a ze „Szklanej pułapki" prawdopodobnie najlepsza partia w karierze Willisa. Kino superbohaterskie *à rebours* i zarazem fascynująca opowieść o mężczyźnie dojrzewającym do odpowiedzialności za swoją rodzinę oraz cały świat.



▪ CO JEST GRANE? (2008), reż. Barry Levinson

Tragedia! Bruce Willis nie chce zgolić brody! Choć trudno w to uwierzyć, w skandalicznie niedocenionej satyrze Barry'ego Levinsona to naprawdę poważny problem. Willis gra tu trzecioplanową rolę, ale jako zblazowany gwiazdor, który rozstawia po kątach umęczonych życiem scenarzystów, jest czystym komediowym żywiołem.

o role, które rozprężą cały popkulturowy krajobraz.

Najbliżej sukcesu był zapewne Quentin Tarantino. Gdy układał w myślach obsadę „Pulp Fiction" (1994), Willis był poza jego zasięgiem – siedział wysoko, kosztował dużo, miał opinię trudnego we współpracy. Rola boksera Butcha Coolidge'a została napisana dla Matta Dillona, zaś alternatywą byli Nicolas Cage, Johnny Depp, Sean Penn i Aidan Quinn. Willis mieszkał jednak w sąsiedztwie Tarantino, uwielbiał „Wściekłe psy" i miał na tyle onieśmielającą pozycję, by samemu wyjść z inicjatywą. Chciał zagrać Vincenta Vegę albo Julesa Winfielda, czyli role, które ostatecznie trafiły do Johna Travolty i Samuela L. Jacksona. Ostatecznie reżyser zaproponował mu partię Butcha. „Najkrótsze zdanie z Biblii to »I Jezus zapłakał«. Najkrótsze zdanie w Hollywood to »Działamy!«. No to działamy!" – odparł Willis.

Dobre, złe i brzydkie

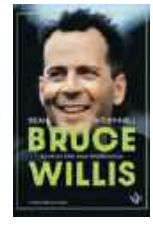
Wiele lat później przyjęło się myśleć o Willisie jak o elemencie uszlachetniającym każdy film; o chodzącym gadżeciku, którym warto pomachać przed oczami inwestorów. W fabryce snów to często autostrada do piekła, obietnica emerytury w kinie klasy B, C albo i Z. Willis spędził w tym miejscu ponad dekadę. Do dziś nie wiemy, ilu podrzędnych reżyserów spełniało swój sen o pracy z legendą, a ilu eksploatowało jego postępującą chorobę.

O'Connell nie odpowiada na to pytanie, lecz po prawdzie – niewiele go ono obchodzi. Podobnie zresztą jak didaskalia na temat prywatnego życia gwiazdora: małżeństwo z Demi Moore, narodziny dzieci, Planet Hollywood, doniesienia o arogancji na planie i poza nim, konflikty z innymi gwiazdami. Swoją opowieść rozpoczyna deklaracją skromności, którą łatwo pomylić z asekuranctwem: „Mam nadzieję, że moja książka umili wam czas w oczekiwaniu na oficjalną biografię aktora". Wieńczy ją natomiast kalendarium ze szkolnymi ocenami wszystkich dzieł Willisa – dobrych, złych i brzydkich.

Jest to, mówiąc krótko, fantastyczna sprawa. Nasz własny zakurzony brulion z dzieciństwa, w którym odnotowywaliśmy sukcesy i porażki ukochanych gwiazd kina. I nie ma co się smucić, że akurat w tym brulionie nie zapiszemy kolejnych kartek. Bruce Willis zostawił nam tyle filmów, że starczy ich dla naszych wnuków. I wyszedł z tylu opresji, że będziemy do śmierci czerpać z jego doświadczeń.

„Byłem atakowany przez terrorystów, asteroidy, krytyków filmowych, prawników rozwodowych oraz łysinę. I nic nie zdołało mnie powstrzymać" – mówił. Dzięki, stary. Tak coś czułem, że „gniazdo" to powód do dumy, a nie do wstydu.

© MICHAŁ WALKIEWICZ



Sean O'Connell, **BRUCE WILLIS. BOHATER KINA HOLLYWOODZKIEGO**, *tłum. Mariusz Gądek, Wydawnictwo Poznańskie, 2025*



LEE JIN-MAN / ASSOCIATED PRESS / EAST NEWS

Promocja trzeciego sezonu serialu „Squid Game". Seul, 26 czerwca 2025 r.

Wybrane dla ciebie

DAVID BEER, SOCJOLOG:

TRENDY | Algorytmy decydujące o tym, czego słuchamy i co oglądamy, staną się wkrótce proaktywne – będą kształtować nasz apetyt kulturowy. Duża część tego procesu pozostanie dla nas niewidoczna.

KRZYSZTOF KATKOWSKI: Dzięki Netfliksowi nie muszę się martwić, co obejrzę dziś wieczorem. Mam ochotę na komedię, biorę coś z półki „komedie". Algorytm to cudowny kurator, krytyk i bibliotekarz.

DAVID BEER: Opisałbym to tak: prawdziwa siła algorytmu polega na tym, że kształtuje nasze spotkania z kulturą. Nie jest „kuratorem" – widzę, że mnie trochę prowokujesz. Więcej – sądzę, że to określenie jest mylące, bo sugeruje świadome zestawienie tytułów przez eksperta i ułożenie dzieł w spójną kolekcję. Algorytmy robią coś zupełnie innego: tworzą indywidualne, ulotne, mocno spersonalizowane „momenty rekomendacji", które powstają na podstawie wzorców danych. Zamiast całościowej kompozycji, dostajemy fragmenty: tu jedna piosenka, tam jakiś film albo pojedynczy artykuł wypchnięty na górę *feedu*. To dość skomplikowane.

Czy to oznacza, że nie mamy wolnej woli w tym, co wybieramy?

Wcale nie. Mamy sprawczość: odrzucamy niektóre rzeczy, unikamy ich, konsumujemy krytycznie. Ludzie pozostają aktywni, ale samo spotkanie – to, co w ogóle zostaje nam pokazane – jest kształtowane przez algorytmy.

Liczy się nie tylko treść, ale i cała praca mająca na celu przewidywanie tego, co nam się spodoba. Algorytm nieustannie przewiduje bowiem, czego możemy chcieć, co może pasować do naszych gustów, a następnie podsuwa nam takie opcje. To oznacza, że nasze doświadczenia kulturowe są splecione z systemami predykcji i personalizacji. To, co konsumujemy, zostaje ukształtowane przez przewidywania, które z kolei wracają jako dane o nas, wzmacniając albo delikatnie modyfikując nasz profil.

Często myślę o tym w kategoriach tzw. pętli zwrotnych. Nasze gusta wchodzą w interakcję z przewidywaniami algorytmu, a to tworzy „spotkanie kulturowe". Każde spotkanie z kolei kształtuje to, co konsumujemy. A to, co konsumujemy, zmienia w efekcie odrobinę nasze gusta.

Ten proces rekursywny oznacza, że nasze preferencje nie są stałe ani w pełni „nasze" – są ciągle negocjowane w dialogu z algorytmem. Dlatego nie nazwałbym tego kuratorstwem w tradycyjnym sensie. To raczej seria mikrospotkań, które subtelnie, lecz znacząco, zmieniają naszą trajektorię kulturową w czasie.

Dwadzieścia lat temu ludzie śledzili kultowe programy telewizyjne narzucane przez ramówki. Dziś sami wybieramy, kiedy i co chcemy obejrzeć. Kiedy nastąpiła ta zmiana?

Nie powiedziałbym, że ta transformacja nastąpiła nagle. To część długiego procesu, rozciągniętego na dekady. Patrząc historycznie, widać stopniowe gromadzenie danych o ludziach, rosnące znaczenie statystyki i analityki w codziennym życiu oraz

powolne wbudowywanie systemów obliczeniowych w praktyki kulturowe. Wczesne przykłady były dość skromne – choćby rekomendacje w handlu internetowym, jak propozycja Amazona „może spodoba ci się również to". Ale właśnie one przygotowały grunt pod to, co przyszło później.

Wraz z przenoszeniem się coraz większej części konsumpcji na platformy online ilość dostępnych danych eksplodowała. To otworzyło drogę do udoskonalenia rekomendacji, do eksperymentów z automatycznym odtwarzaniem kolejnych materiałów czy generowaniem playlist w serwisach muzycznych. Z początku były to drobne innowacje, które dopiero w połączeniu i kumulacji okazały się przełomowe.

Jeśli miałbym wskazać ramy czasowe, powiedziałbym, że ostatnie 25 lat było kluczowe. W tym okresie nastąpił rozwój handlu online, pojawienie się Web 2.0 i wybuch mediów społecznościowych, a potem masowa adopcja smartfonów. Każdy z tych etapów zwiększał skalę gromadzonych danych kulturowych i poszerzał możliwości ich algorytmicznego przetwarzania. Kluczowe było też przejście od materialnych nośników kultury – płyt, DVD, gazet – do platform cyfrowych oferujących praktycznie nieograniczony dostęp do treści. A wraz z tą obfitością pojawiła się potrzeba nowych systemów porządkowania. I właśnie algorytmy wraz z klasyfikacjami wypełniły tę rolę.

Dlatego zmiana nie polegała na jednym wielkim przełomie, lecz na stopniowej intensyfikacji. Im więcej gromadzono danych, tym bardziej wyrafinowane stawały się przewidywania. Im większa była dostępna oferta, tym niezbędniejsze stawały się rekomendacje, by móc się w niej odnaleźć. W efekcie przez ostatnie ćwierć wieku coraz głębiej osadziliśmy procesy algorytmiczne w sposobach, w jakich żyjemy i konsumujemy kulturę.

A co z klasycznymi rytmami kulturowymi? Czy to już historia?

Kultura nadawcza była scentralizowana i zaplanowana. Czytało się co tydzień „New Musical Express", który mówił, czego się słucha. Oglądało się cotygodniowy program, wieczorne wiadomości. Teraz tempo jest inne. Kultura przyspieszyła, zintensyfikowała się. Harmonogram jest spersonalizowany: ludzie konsumują we własnym rytmie, kierowani rekomendacjami. Mogą obejrzeć cały sezon serialu w jeden dzień. Wspólna tygodniowa struktura ustąpiła miejsca wzorom konsumpcji obserwowalnym raczej na poziomie indywidualnym.

Kultura głównego nurtu wciąż oczywiście istnieje, ale rozbiła ją personalizacja. Każdy konsumuje w swoim rytmie, więc wspólne punkty odniesienia pojawiają się rzadziej i mniej synchronicznie. Kiedyś oglądało się program tego samego wieczora co znajomi, dziś te momenty się rozmywają. Owszem, teledysk potrafi w 24 godziny dotrzeć do milionów i skupić uwagę, ale takie wiralowe zjawiska są raczej wyjątkami. Większość kultury pozostaje rozproszona, konsumowana w mniejszych skalach – choć warto zauważyć, że niektóre współczesne wirale trafiają do znacznie większej publiczności niż wiele „klasycznych" wydarzeń sprzed lat.

Widzę w tym zarówno aspekty problematyczne, jak i wyzwalające. Dlatego nie oceniam tego w kategoriach „dobre" czy „złe". Jako socjologowie badamy raczej napięcia – możliwości i ograniczenia – oraz to, jak one współistnieją i wpływają na życie ludzi.

Jest jeszcze miejsce na jakieś ruchy oddolne? Kontrkulturę?

Tak, takie ruchy wciąż się pojawiają, ale w rozproszonym pejzażu trudniej je dostrzec. Algorytmy jedne rzeczy uwidaczniają, inne ukrywają. Kultura może rozwijać się tuż obok nas, a mimo to pozostać niewidzialna, jeśli system jej nie wypromuje. Sceny i ruchy kontrkulturowe istnieją, ale ich zasięg i widoczność zależą od struktur algorytmicznych.

I tu pojawia się problem z przykładami – wiele zjawisk pozostaje niewidocznych, nawet dla badaczy. Czasem nowe sceny muzyczne zyskują etykiety gatunków, ale wiele ruchów nigdy nie wychodzi poza własne „kieszenie algorytmiczne". Dla socjologii pierwszym wyzwaniem jest samo ich zauważenie.

Nie chodzi więc o kontrolę wprost, lecz o władzę. Algorytmy kształtują nasze możliwości, wpływają na to, co widzimy i o czym wiemy. To forma władzy, choć niekoniecznie intencjonalnej. Niekiedy rekomendacje wręcz nas odpychają. Dlatego kluczowe jest nie tyle pytanie o kontrolę, ile o to, jak ludzie żyją w tych strukturach i jak reagują na obrazy świata, które algorytmy im podsuwają.

W takim razie: skąd tak naprawdę biorą się nasze gusta?

Kształtują się pod wpływem rodziny, szkoły, rówieśników czy klimatu kulturowego – to podstawowa obserwacja socjologii. Dziś w ten proces coraz mocniej ingerują algorytmy, które poprzez rekomendacje współtworzą nasze preferencje i tożsamości. Nie oznacza to pełnego determinizmu: możemy odrzucać, sprzeciwiać się, nie lubić. Ale nawet sprzeciw jest efektem ekspozycji, a tempo cyrkulacji kultury jest bezprecedensowe. Piosenki rosną i znikają błyskawicznie, stare hity wracają, a debiutanckie single od razu trafiają na szczyty list. Spersonalizowane rekomendacje przyspieszają i wzmacniają tę dynamikę.

Tak już zostanie?

Przyszłość widzę raczej jako rozwinięcie tego, co już mamy, nie radykalne zerwanie. Algorytmy pozostaną kluczowe w organizowaniu kultury, ale będą działać subtelniej – coraz precyzyjniej klasyfikując i różnicując nasze spotkania. Coraz częściej będą tworzyć dla nas także kategorie gatunkowe, automatycznie etykietując kulturę w sposób, który może nie pasować do dawnych podziałów, ale będzie nam się wydawał naturalny, bo zgodny z naszym profilem danych.

Co jeszcze może się zmienić?

Kolejnym kierunkiem rozwoju jest zróżnicowanie. Gdyby rekomendacje opierały się wyłącznie na tym, co już znamy i lubimy, szybko znudzilibyśmy się i odeszli. Dlatego systemy te będą wprowadzać elementy nowości – utwory czy seriale nieco poza naszym gustem, ale na tyle blisko, by nas wciągnąć. Kluczowa będzie równowaga między tym, co znajome, a tym, co zaskakujące. Celem jest utrzymanie zaangażowania i zatrzymanie nas na platformie.

W praktyce oznacza to, że algorytmy staną się nie tylko reaktywne, przewidujące nasze ruchy, lecz także proaktywne – będą kształtować i odświeżać nasz apetyt kulturowy. Duża część tego procesu będzie dla nas niemal niewidoczna. Playlisty, które wyglądają na spontaniczne, mogą być starannie zaprojektowaną mieszanką przewidywalności i nowości. Rekomendacje, które wydają się ↦

↦ przypadkowe, mogą być elementem szerszej strategii utrzymywania uwagi.

Nie będzie więc radykalnego przełomu, raczej dalsze pogłębianie obecnego splątania: więcej personalizacji, subtelniejsze klasyfikacje, bardziej wyrafinowane próby sterowania naszymi rytmami kulturowymi. Algorytmy coraz częściej będą same tworzyć dla nas kategorie i gatunki, a różnorodność będzie sposobem na walkę z nudą. Część tych działań zauważymy, część będzie działała w tle, niepostrzeżenie kształtując nasze codzienne spotkania z kulturą.

Proszę podać przykład.

Weźmy „Squid Game" – serial, którego popularność napędziły algorytmiczne rekomendacje. W muzyce ciekawa jest playlista Spotify „Release Radar": jak decyduje, co nowego pasuje do naszego gustu? Albo eksperymenty z playlistami budowanymi wokół nastrojów, a nie gatunków. To pokazuje, że algorytmy coraz mocniej łączą muzykę z emocjami.



ARCHIWUM PRYWATNE

DAVID BEER – profesor socjologii na Uniwersytecie w Yorku, specjalizuje się w badaniach nad kulturą, mediami, polityką i społeczeństwem. Analizuje, w jaki sposób przemiany technologiczne i medialne kształtują życie społeczne i kulturowe.

Iluzje wolnego wyboru.

Powtórzę: jesteśmy, w świecie kultury uzależnionej od algorytmów, produktem niezliczonych pętli zwrotnych – konsumujemy piosenkę, generujemy dane, dostajemy rekomendację, znowu konsumujemy. Przez ostatnie 15 lat te pętle kształtowały nasze gusta i tożsamości kulturowe. Nasze preferencje są nierozerwalne od algorytmów.

Czytałem niedawno bardzo ciekawy artykuł Rosie DuBrin i Ashley E. Gorham o „algorytmicznej interpelacji". Wedle autorek, algorytmy kierują naszą uwagą, nawet nasz sprzeciw dokonuje się w ramach ich logiki.

To nie brzmi optymistycznie.

Ale może też stwarzać wiele nowych możliwości. Pamiętaj, że algorytmy poszerzają nasz dostęp do kultury, nawet jeśli nas kształtują. Nie jesteśmy od nich oddzieleni – żyjemy w nich i dokonujemy wyborów w ich ramach.

© Rozmawiał KRZYSZTOF KATKOWSKI

REKLAMA

KONCERT
JUBILEUSZOWY
DEDYKOWANY
ANNIE JANTAR
I JAROSŁAWOWI
KUKULSKIEMU

Życia mała garść

ZAPRASZA NATALIA KUKULSKA

ORKIESTRA
ADAMA
SZTABY

ANIA KARWAN
KASIA KOWALSKA
KAYAH
KASIA LINS
NATALIA PRZYBYSZ
KUBA BADACH
PIOTR CUGOWSKI
RALPH KAMINSKI

12/10/2025
ATLAS ARENA
ŁÓDŹ
Bilety: BILETSERWIS.pl

Prestige MJM · BILET SERWIS · RMF CLASSIC · onet · TYGODNIK POWSZECHNY · VIXON MEDIA

Szwed is bad

JAKUB MAJMUREK

STREAMING | Już dawno żadna komedia nie przeniknęła tak głęboko w naszą codzienność. Rok 1670 jest nam po prostu współczesny.

Po pierwszym sezonie serial „1670" stał się niewątpliwym popkulturowym fenomenem. Na łamach opiniotwórczych tytułów przetoczyła się poważna dyskusja wokół produkcji, a publicyści niekoniecznie zajmujący się na co dzień filmem, pisząc o „1670", spierali się o sarmatyzm, pamięć Rzeczypospolitej szlacheckiej, stosunek współczesnych Polaków do historii, wreszcie – o zwrot ludowy w podejściu do wspólnej przeszłości, który mocno wpłynął na to, jak na ekranie przedstawiona została Adamczycha i kształtujące jej społeczny świat relacje między panami a chłopami. Krytycy mówili o serialu jako dowodzie na renesans polskiej komedii, która (zwłaszcza w serialach) faktycznie ma dobry okres, bo obok „1670" pojawiła się „Emigracja XD" i „Edukacja XD" oraz polska wersja „The Office".

Co ważniejsze, recepcja serialu rozlała się poza publicystykę opinii. Sceny i dialogi z „1670" przeniknęły do powszechnej wyobraźni i codziennej komunikacji Polaków. Jan Paweł Adamczewski stał się memem, pojawiającym się w internetowych sporach – użytecznym zwłaszcza wtedy, gdy trzeba złośliwie skomentować kolejne narzekania lobby pracodawców na „roszczeniowych pracowników" albo „boomerskie mądrości" brzmiące jak żenujący anachronizm.

Dawno żadna polska komedia nie miała tak głęboko przenikającej do codziennej kultury recepcji, być może żadna od czasu komedii Olafa Lubaszenki z przełomu wieków, takich jak „Poranek kojota" i „Chłopaki nie płaczą", które jako źródło memów i powiedzonek szczególnie upodobał sobie jeden z liderów Konfederacji i jego liczni, silnie aktywni w mediach społecznościowych fani.

Przystępując do pracy nad drugim sezonem, twórcy serialu (scenariusz: Jakub Rużyłło, reżyseria: Maciej Buchwald, Kordian Kądziela) mieli więc z jednej strony ułatwione zadanie – serial już miał grupę fanów czekających na więcej – a z drugiej wysoko postawioną poprzeczkę oczekiwań. Jak udało się im je spełnić?

Komedia mniej polemiczna

Z całą pewnością drugi sezon nie będzie takim wydarzeniem kulturalnym jak pierwszy, nie jest już bowiem nowością i zaskoczeniem. Nie uruchomi tak intensywnych polemik i sprzecznych interpretacji. Tym bardziej że w warstwie „ideowej" nie dodaje wiele do tego, co zostało pokazane w sezonie pierwszym.

Nowa odsłona historii Adamczewskich jest jednak niewątpliwie udaną komedią. Aktorzy grają swoje, trzymając poziom pierwszego sezonu, a świat Adamczychy został przedstawiony na ekranie z wielką starannością. Trudno znaleźć polski serial komediowy tak wizualnie dopracowany – od kostiumów, przez zanurzone w światłocieniach zdjęcia, po reżyserię lubującą się w kadrach skomponowanych z zamiłowaniem do barokowego nadmiaru.

Pierwszy sezon realizował znaną z „The Office" formułę komicznego mockumentu (serialu stylizowanego na dokument), co sygnalizowały przede wszystkim wypowiedzi postaci wprost do kamery. Tu ten zabieg pojawia się na tyle rzadko, że można powiedzieć, iż twórcy w zasadzie porzucają tę formułę. Próbują za to wielu innych.

Kolejne odcinki biorą na parodystyczny warsztat różne filmowe i telewizyjne konwencje: od musicalu, przez film gangsterski, po matrymonialny *reality show*. W jednym z odcinków wchodzimy w klimaty fantasy, pojawiają się wiedźmy, rusałki, a nawet wiedźmin. Jego obecność w świecie Adamczychy można czytać tyleż jako intertekstualny żart, co jako deklarację twórców: patrzcie, Jan Paweł Adamczewski tak mocno zakorzenił się w polskiej wyobraźni, że może spotkać się z samym wiedźminem, naszym najważniejszym popkulturowym produktem eksportowym!

Efekty tych zabaw z konwencjami są różne. Wątek, w którym pomocnik kowala nagle wpada w sytuację rodem z „Breaking Bad", jest naprawdę zabawny, a epizod fantasy, nawet jeśli poszczególne żarty mogły być lepiej napisane, urzeka plastyczną i inscenizacyjną urodą. Jednocześnie można odnieść wrażenie, że nowa odsłona komedii ma znacznie mniej polemiczny i zaangażowany w spory o historię charakter niż pierwsza. Wątek relacji między panami a chłopami, wpisanego w folwark wyzysku i marnotrawstwa czy zacofania tonącego w błocie sarmackiego świata trochę odsuwa się na dalszy plan.

Humor w drugim sezonie jest znacznie mniej „polityczny", ma bardziej sytuacyjny charakter. Czasem idzie przy tym w dość grube żarty z puszczania gazów i innych fizjologicznych czynności. Komedia, ubierając się w historyczny kostium, bardziej bierze na cel noszące go postaci niż kształtujący je świat.

Sarmaci all inclusive

Co nie znaczy, że brakuje politycznych i społecznych odniesień. Scenarzysta serialu Jakub Rużyłło wybrał jako tytuł i czas rok 1670 ze względu na to, że przeciętny odbiorca nie kojarzy z nim żadnego ważnego wydarzenia historycznego – żadnej ważnej bitwy, rokoszu, decyzji Sejmu, wyboru nowego monarchy. 1670 znaczy po prostu „dawno temu, gdzieś w sarmackiej Polsce".

A przy tym serial od początku nie pozostawiał wątpliwości, że rok 1670 jest nam współczesny. Produkcja śmiała się tyleż z historii, co ze współczesnej Polski. Jan Paweł Adamczewski zadziałał tak doskonale jako postać, bo równie dobrze jako właściciela folwarku można było go sobie wyobrazić jako szefa małego biznesu w powiatowym mieście, zatrudniającego pracowników na umowę zlecenie, której w żadnym wypadku nie można pogodzić z charakterem wykonywanej pracy, a do tego ciągle narzekającego na rzekomo rujnujące go podatki, składki ZUS i nadmierne regulacje.

Także w drugim sezonie znajdziemy odniesienia do współczesnej Polski. Bogdan dochodzi do poważnego majątku, inwestując pieniądze ↦



ROBERT PAŁKA / NETFLIX MATERIAŁY PRASOWE

Michał Balicki, Martyna Byczkowska i Michał Sikorski – drugi sezon serialu „1670", reż. Maciej Buchwald, Kordian Kądziela

↦ w stragan z odzieżą patriotyczną sprzedawaną pod znakiem „Szwed is Bad". Mamy wybory na głowę szlacheckiej gminy, z budzącą emocję debatą, w której kandydaci wyciągają sobie wzajemnie swoje słabostki.

W jednym z odcinków jedziemy do Krakowa na wieczór kawalerski, gdzie odwiedzamy lokal z siedemnastowiecznym escape roomem i karaoke – naprawdę warto docenić pracę, jaka została włożona w stworzenie wszystkich dowcipnych scenograficznych rozwiązań widocznych na ekranie tylko przez chwilę.

Drugi sezon zabiera zresztą bohaterów znacznie dalej niż do Krakowa, bo aż do Turcji, na siedemnastowieczne *all inclusive*. Co staje się okazją do żartów z Polaków objadających się przy szwedzkim stole, naszego zamiłowania do kebaba na cienkim cieście z mieszanym sosem, parawanów na plaży i kradzieży ręczników w kurortach.

Nie są to najlepsze momenty serialu, ale gdy zaczyna on wyglądać jak lista rytualnych skarg przedstawiciela klasy średniej na własnych rodaków, za których trzeba się wstydzić na wakacjach, wymowa odcinka zmienia się, a postacią, której najbardziej się obrywa, okazuje się Aniela – z jej wstydem za rodzinę, nieudanymi próbami zbliżenia się do „normalnych ludzi" z Turcji i wyjścia poza bańkę własnego przywileju.

Bo siłą „1670" jest to, że naśmiewa się nie tylko z postaci, które dziś skojarzylibyśmy z konserwatywną prawicą (jak Bogdan) czy boomerów tkwiących mentalnie w swoim podejściu do rynku, przedsiębiorczości i praw pracowniczych w latach 90. (jak Jan Paweł Adamczewski), ale także z takich bohaterek jak Aniela. Córka Adamczewskich we współczesnych czasach studiowałaby pewnie kulturoznawstwo, brała udział w czarnych protestach i najpewniej głosowałaby na Partię Razem. I choć w serialu to ona często jest jedynym w rodzinie Adamczewskim głosem rozsądku, niejednokrotnie śmiejemy się też z jej naiwności.

Cóż począć z folwarkiem

Wątek Anieli jest zresztą w drugim sezonie kluczowy. Chodzi nie tylko o jej zakazaną, romantyczną relację z pomocnikiem kowala, litewskim chłopem Maciejem, ale także związki z własną rodziną i dziedzictwem, którego materialnym wyrazem jest folwark. Aniela staje przed wątpliwością, co zrobić z tym dziedzictwem – odciąć się od niego? A może pracować z zastaną rzeczywistością? Czy poświęcać się, by zmieniać ojcowiznę, czy podążać za własnymi pragnieniami? Te całkiem poważne pytania o stosunek do rodzinnego i narodowego dziedzictwa, patriotyzm, wielką i małą ojczyznę wybrzmiewają zwłaszcza w ostatnim odcinku.

Ale jak na komedię przystało, w nowym sezonie dominuje śmiech. Śmiejemy się tu tyleż z sarmacji i sarmatów, co wspólnie z sarmatami. Wbrew części głosów z prawicy – choć także tam można znaleźć pozytywną recepcję serialu – „1670" nie buduje wcale czarnej legendy Rzeczypospolitej szlacheckiej. Sarmatyzm pokazuje nie tyle jako historyczną traumę, ale jako coś, na co cały naród – i ten z chłopów, i ten z panów – może spojrzeć z ironicznym dystansem. A nawet wspólnie opowiadaną rodzinną historię, która – nawet jeśli nie stawia rodziny w najlepszym świetle – to jednocześnie integruje ją za każdym razem, gdy jest opowiadana i pamiętana.

Jak pokazuje jedna z najciekawszych scen drugiego sezonu, być może cała nasza tożsamość – narodowa, historyczna, rodzinna, osobista – jest tylko iluzją, zmyśleniem. Ale bez niej nie jesteśmy w stanie funkcjonować.

© JAKUB MAJMUREK

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA

W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

▪ **MANY NIGHTS A WHISPER**, *producent: Deconstructeam, Selkie Harbour, wydawca: Deconstructeam*

Jeśli męczą Was zręcznościowe wyzwania, nie macie czasu na wielogodzinne rozgrywki i nigdy wcześniej nie przyszło Wam do głowy, żeby zainteresować się cyfrowym medium, „Many Nights a Whisper" jest grą właśnie dla Was. Stworzona przez duet Selkie Harbour, opisana została na platformie Steam jako „krótki, interaktywny esej o marzeniach, presji i oczekiwaniach". I chociaż nie wymaga od graczy i graczek zapamiętania kolejności wykonywanych na klawiaturze sekwencji, nie oznacza to,



że jest łatwa. Nie chodzi o zręcznościowe próby, ale decyzje, przed którymi staje bohaterka gry. Odpowiedzialna za przeprowadzenie odbywającego się raz na dziesięć lat rytuału, dnie spędza na ćwiczeniu celowania z procy, a nocą decyduje, które marzenia spełnić. Wreszcie będzie musiała wykonać celny strzał na dystans, który zadecyduje o losach jej krainy. Każda podjęta decyzja niesie ze sobą bagaż pytań, na które próżno szukać prostych odpowiedzi. Czy bohaterka rzeczywiście powinna sama decydować o losach krainy i jej mieszkańców? Czy zmiany w jej świecie okażą się pozytywne, czy może ujawnią inne, ukryte nieszczęścia? Jak mógłby wyglądać idealny świat i czy warto o niego walczyć? Jeśli chcecie zmierzyć się z podobnymi pytaniami, przynajmniej w świecie wirtualnym, „Many Nights a Whisper" z pewnością Wam się spodoba.

© MAGDALENA KOZYRA

▪ *Marcin Podolec*, **SEZON SPADAJĄCYCH GWIAZD**, *Kultura Gniewu*

Kiedy na początku lat zerowych Michael Jordan żegnał się z parkietem, drużyny NBA nadal naszpikowane były gwiazdami. Ktoś chciał być postrachem obręczy jak Shaquille O'Neal, kto inny był wpatrzony w widowiskowe zwody Allena Iversona – wyasfaltowane place i szkolne hale pękały w szwach od dzieciaków próbujących naśladować idoli zza oceanu. W „Sezonie spadających gwiazd" Marcin Podolec przygląda się grupie chłopaków, którzy oddychają koszykówką, nawet jeśli niekoniecznie marzą o wielkiej karierze. Dla niektórych z nich basket jest przede wszystkim



sposobem na zabicie czasu w niewielkim miasteczku, w którym nie ma nic lepszego do roboty. Podolec rozgrzebał własne wspomnienia, aby znaleźć w nich inspirację dla opowieści o dorastaniu, która jest nie tyle sentymentalną laurką, ile przekonującym obrazem drobnych zachwytów i większych przykrości – w szatni nieraz dochodzi przecież do przepychanek, a rówieśnicy potrafią być dla siebie wyjątkowo okrutni. Autor z humorem opowiada o „chłopackich" perypetiach, jednocześnie co rusz wskazuje na rozgrywające się w tle osobiste dramaty, od których koszykówka jest ucieczką. „Sezon spadających gwiazd" to słodko-gorzka historia o poszukiwaniu własnej ścieżki życiowej, ubrana w formę, która przypadnie do gustu miłośnikom „Fistaszków" Charlesa M. Schulza.

© REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

BIELSKO-BIAŁA,
czwartek, 25 września godz. 17.00,
Willa Sixta, ul. Mickiewicza 24,
„Gościnność, solidarność i integracja – o dobrodziejstwach międzykulturowych relacji w podzielonym świecie" – spotkanie z prof. Rafałem Cekierą, socjologiem, autorem książki „Uchodźcy, migranci i Kościół katolicki".

GLIWICE,
czwartek, 25 września godz. 18.00,
kawiarnia Zamkowa, ul. Bankowa 11,
„Czy lub jak Bóg ingeruje z zewnątrz w świat?" – spotkanie kawiarenki Klubu „TP" na kanwie artykułu Jaremy Piekutowskiego „Bóg działa subtelnie" („TP" nr 27/25).

ŁÓDŹ,
wtorek, 30 września godz. 17.00,
aula bp. Tymienieckiego,
ul. św. Stanisława Kostki 14,
spotkanie autorskie z Janem Grosfeldem i Sławomirem Jackiem Żurkiem wokół książki „Pałac płonie". Gość specjalny kard. Grzegorz Ryś.

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

Ucieczka od dyskomfortu



ANITA PIOTROWSKA

KINO | Radu Jude opowiada o wygodzie, konsumpcji i hipokryzji sytego świata. Bez satyrycznego przegięcia czy multimedialnej brawury.

W tym filmie stolica Transylwanii nie wygląda zbyt bajecznie, choć w pobliskim parku rozrywki można spotkać dinozaura. Na początku oglądamy to miejsce oczami bezdomnego zbieracza odpadów, które za chwilę przytaszczy do swojego legowiska w kotłowni. A potem kamera przejmuje spojrzenie komorniczki cierpiącej z powodu wyrzutów sumienia, kiedy okazuje się, że eksmitowany przez nią kloszard popełnił samobójstwo. Witajcie w Kluż-Napoce, starożytnym mieście pełnym demonów, zarówno tych z przeszłości, jak i całkiem nowych, schowanych za fasadą modernizacji, czerpiącej garściami z funduszy unijnych.

Dowiadujemy się, że Orsolya (gra ją Eszter Tompa) działała zgodnie z prawem, a nawet poszła bezdomnemu na rękę, dając mu czas na opuszczenie zajmowanego nielegalnie lokum. Ale zagraniczny deweloper chciał wreszcie ruszyć z budową hotelu i czekanie do zimnych miesięcy znacznie utrudniłoby eksmisję. Zwłaszcza komuś takiemu jak główna bohaterka, uwrażliwiona na ludzką krzywdę.

Radu Jude nie byłby jednak sobą, gdyby jeszcze bardziej nie sproblematyzował jej położenia i postawy. Otóż urzędniczka ma korzenie węgierskie, jak wielu mieszkańców dawnego Siedmiogrodu, i zakończona tragicznie egzekucja komornicza z miejsca wystawia ją na internetowy hejt. Tym bardziej że nieżyjący żebrak o imieniu Ion (gra go Gabriel Spahiu), zanim popadł w nałogi i się stoczył, był znanym rumuńskim sportowcem. Dlatego wielki moralniak Orsolyi (przestała mieć ochotę na rodzinne wczasy w Grecji) wydaje się już od początku trochę podejrzany.

Jude z dyskretną ironią opowiada o kobiecie, która ma problem. Boli ją publiczne napiętnowanie, prześladuje obraz zastany tamtego dnia w kotłowni, odczuwa moralną niewygodę. Dlatego nieustannie powraca do fatalnego zdarzenia, mówiąc o swoich odczuciach i doznaniach – tłumaczy się przełożonym, zwierza empatycznemu małżonkowi i węgierskiej matce. Kiedy jest wstawiona, dzieli się poczuciem winy ze swym byłym studentem, a na trzeźwo szuka pocieszenia u księdza (wychodząc za Rumuna, przyjęła prawosławie).

Planuje nawet odwiedzić grób bezdomnego i nieświadomie (?) przemierza jego szlaki. Wydaje się, jakby na każdym kroku szukała usprawiedliwienia dla tego, co się stało, solidarności w swojej winie bądź utwierdzenia w jej braku. Lecz prawdziwą bombą sarkastycznego humoru będzie kilkunastominutowa, nakręcona w jednym ujęciu rozmowa z przyjaciółką, w zabytkowej części Klużu. Oto instruktarz pod tytułem „jak radzić sobie ze swoim cierpieniem". Albo: „jak poprawić swoje kiepskie samopoczucie podejmując zacne, acz niezbyt kosztowne inicjatywy pomocowe".

W tej scenie najpełniej ujawnia się krytyczny pazur reżysera. Nie poprzestaje on bowiem na kulturowych aluzjach: do Bertolda Brechta, Tony'ego Judta czy mało znanego hollywoodzkiego kryminału *noir* pt. „Bezdroża" z 1945 r., nie mówiąc o bezpośredniej inspiracji „Europą '51", neorealistycznym klasykiem Roberta Rosselliniego z Ingrid Bergman. W rumuńskim filmie dylematy nieźle sytuowanej kobiety z Europy roku 2025 są w gruncie rzeczy pretekstem, by spojrzeć z ukosa na cały zmieniający się pejzaż postkomunistycznej części kontynentu. Niby pięknie wyrosły na rozwojowych aspiracjach, ale nadal pogrążony w chaosie – agresywnych reklam, nowych koszmarków budowlanych i kontrowersyjnie patriotycznych pomników.

W tym świecie nowoczesnym i schludnym, lecz pełnym walających się śmieci wszędzie tam, gdzie wzrok nie sięga, bezdomny próżno dopytuje się o jakąkolwiek pracę. Rodzimy absolwent prawa jest zmuszony rozwozić jedzenie i bardzo przy tym podkreśla, że jest stąd, a nie na przykład z Bangladeszu. A na tle powiewających flag unijnej wspólnoty co chwila wychodzą na wierzch stare narodowe uprzedzenia, przede wszystkim rumuńsko-węgierskie.

Jude to mistrz krytyki społecznej. Dopiero co oglądaliśmy jego brawurową wizję uśmieciowienia wszystkiego w naszej części Europy („Nie obiecujcie sobie zbyt wiele po końcu świata") i karykatu-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP

Anita Piotrowska

została **dyrektorką artystyczną** Krakowskiego Festiwalu Filmowego.
Będzie kształtować artystyczną wizję festiwalu, uczestniczyć w selekcji filmów,
współpracować z twórcami i odpowiadać za spójność artystyczną KFF.
Gratulujemy!



MATERIAŁY PRASOWE

KONTINENTAL ’25
– reż. Radu Jude. Prod. Rumunia/ /Brazylia/Szwajcaria/ /Wielka Brytania/ Luksemburg 2025. Dystryb. Aurora Films. W kinach od 3 października, wcześniej pokazy przedpremierowe.

Radu Jude od lat przystawia krzywe zwierciadło swoim rumuńskim rodakom. Tytuły takie jak „Aferim!”, „Nie obchodzi mnie, czy przejdziemy do historii jako barbarzyńcy”, „Niefortunny numerek lub szalone porno” czy „Nie obiecujcie sobie zbyt wiele po końcu świata” były nagradzane na najważniejszych festiwalach. Niedawno w Locarno miał premierę jego najnowszy film, „Dracula”.

Kadr z filmu „Kontinental ’25”

ralne widma nie tak dawnej transformacji ustrojowej (wideoesej „Osiem pocztówek z Utopii”). Na polską premierę czeka jeszcze zwielokrotniony i uwspółcześniony portret najsłynniejszego wampira z Transylwanii. A choć nie należy obiecywać sobie zbyt wiele po „Kontinental ’25” (powraca tu sporo znanych skądinąd wątków), nie po raz pierwszy udało się Judemu tak ostro prześwietlić rumuński – ale czy tylko? – stan ducha.

W dodatku minimalistycznymi, chałupniczymi wręcz środkami, albowiem film został w całości nakręcony iPhone’em, czym reżyser chciał dać przykład swoim studentom, iż można robić dobre kino o rzeczach ważnych bez superprofesjonalnego sprzętu i dużych budżetów. Nie każdy jednak nazywa się Radu Jude i może liczyć na komfort pracy w ramach silnej międzynarodowej koprodukcji, w otoczeniu innych profesjonalistów, a do tego (jak mało kto) ma oko wyostrzone na rzeczywistość.

Za pomocą najprostszych narzędzi opowiada o moszczeniu się w cywilizacyjnej hybrydzie i moralnej szarej strefie. O wygodzie, konsumpcji i hipokryzji sytego świata; o bezmyślnym kopiowaniu najgorszych wzorców z tej lepszej (do niedawna) części Europy; o patodeweloperce i dyktaturze internetowego komentariatu. Wreszcie: o społecznym i duchowym wyjałowieniu, które daje grunt tożsamościowym ekstremizmom i równocześnie pielęgnuje pojedyncze ego. Zatroskane co prawda różnej maści „sprawami”, lecz tak naprawdę skupione już tylko na własnym dobrostanie.

Wszystko to pokazane zostało bez satyrycznego przegięcia czy multimedialnej brawury, charakterystycznych dla poprzednich filmów Judego. Towarzyszymy po prostu kobiecie w średnim wieku, ze środkowoeuropejskiej klasy średniej, która nie zrobiła przecież niczego złego i, tak po ludzku, próbuje sobie poradzić ze swoim dyskomfortem.

I właśnie to „radzenie sobie” zaczyna w filmie „Kontinental ’25” uwierać najbardziej. A gdyby komuś sprawiała dyskomfort nieco zgrzebna jego forma, niechaj przynajmniej dostrzeże, w jaki sposób Jude, nie po raz pierwszy zresztą, fantastycznie opisuje swój kraj miejskim pejzażem, architekturą, wnętrzami. Jak wiele treści potrafi wycisnąć z samych tych miejsc, zatrzymanych w kadrze smartfonowym obiektywem. Dobrej jakości, choć wcale nieelitarnym. ©

Lektor:
Światy równoległe



Piotr Tarczyński
OŚLIZGŁE MACKI, WIADOME SIŁY. HISTORIA AMERYKI W TEORIACH SPISKOWYCH
Znak Literanova, Kraków 2025, ss. 542.

Rzecz duża i gruba, opatrzona mnóstwem przypisów, ale gdy się ją zacznie czytać, przestać nie można, bo wciąga jak najlepszy kryminał. Autor, prócz tego, że jest amerykanistą z doktoratem, to w dodatku świetnie pisze. „Narracje, w których tajne, potężne grupy spiskują, żeby pokierować sprawami w korzystnym dla siebie kierunku i narzucić swoją wolę nieświadomym niczego ludziom, są jednymi z najstarszych narzędzi amerykańskiej polityki”. Dlatego, choć opowieść zaczyna się od zamachu na Trumpa w Butler w lipcu minionego roku, potem cofamy się aż do buntu północnoamerykańskich kolonii przeciw koronie brytyjskiej i wędrujemy przez dwa stulecia.

Zdarzenie z Butler jest zresztą lekcją poglądową, jak szybko rozwijają się spiskowe teorie po obu stronach sceny politycznej. Może Biały Dom (prezydentem był jeszcze demokrata Biden) celowo zmniejszył ochronę republikańskiego kandydata? A może zamach był fikcją i nawet ucho Trumpa nie zostało draśnięte, tylko przygotowano wcześniej woreczek z krwią?

Kto zaś miał w przeszłości spiskować? Cóż, niemal wszyscy. Iluminaci, Żydzi, katolicy, czarni, imigranci i w ogóle wszelcy „nieprawdziwi Amerykanie”, komuniści (polecam rozdział o fenomenie McCarthy’ego), geje, reptilianie... Hillary Clinton miała handlować dziećmi, więzionymi w piwnicy pewnej pizzerii (nic to, że chodzi o budynek niepodpiwniczony). Groteska przeplata się tu z makabrą – jak w przypadku pogromu czarnoskórej społeczności miasta Tulsa po I wojnie światowej. Jest oczywiście Watergate, ale i „żydowskie lasery z Kosmosu”.

„Warto odróżnić teorię spiskową od myślenia spiskowego, »konspiracjonizmu«, w którym wszystko postrzega się w kategoriach spisku i wszystko jest ze sobą połączone, w którym nic nie jest takim, jakim się wydaje, i nic nie dzieje się przez przypadek – pisze autor. – Kody kreskowe? To zmowa satanistów. Smugi kondensacyjne za samolotami? To chemtrailsy, czyli rozpylane celowo szkodliwe chemikalia”. Czytamy tę książkę w chwili, gdy rządzi Trump i jego ekipa, składająca się z osób, łagodnie mówiąc, nie tylko mało kompetentnych, ale też hołdujących najdziwaczniejszym teoriom. Piotr Tarczyński pracuje w gruncie rzeczy nad „dziełem w toku”; zdążył jeszcze uwzględnić wzlot i upadek Elona Muska. Polecam „Podkast amerykański”, który prowadzi z Łukaszem Pawłowskim – pod rządami Trumpa będzie się jeszcze działo! ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Malowanie krów w paski



Dwa miliardy dwieście milionów dolarów wysysają rocznie gzy z amerykańskich krów – na tyle szacuje się straty tamtejszego biznesu kowbojskiego związane z ukąszeniami wszelkiego rodzaju muszego paskudztwa. Wiem, że każdy, nawet niemiły mi owad ma swoje miejsce w ogólnej ekonomii zbawienia (czy też porządku natury, jeśli kto woli Boga w to nie mieszać), bioróżnorodność jest najwyższym dobrem i należy się martwić, że much w kuchni jest o połowę mniej niż kiedyś. Ale doprawdy, zdarza mi się przepracować upalną dniówkę w winnicy położonej obok stadniny i kiedy wracam pełen bąbli, zanoszę ku niebu psalm pogryzionego: wielbi cię moja dusza, Stworzycielu najlepszego ze światów, ale te gzy to byś może jednak sobie zabrał z powrotem.

W oczekiwaniu na właściwą reakcję wyższych pięter bytu ludzie z parteru kombinują prowizorki. Nie wiem, jak kowboje oszacowali wartość owych strat wywołanych owadami, była to bowiem tylko informacja kontekstowa w sylwetce japońskiego biologa, który dostał nagrodę Ig Nobla za dowód, iż pomalowanie krów w biało-czarne paski na podobieństwo zebry istotnie zmniejsza liczbę ukąszeń. Zapewne paski polaryzują światło w sposób, który zaburza gzom percepcję i dezorientuje w locie. Nareszcie polaryzacja ma jakieś sympatyczne znaczenie! Czekam na szerokie zastosowanie wynalazku w naszych hodowlach, bo na japońską – wielbioną w kręgach wtajemniczonych – wołowinę ani mnie stać finansowo, ani mentalnie, bowiem ściąganie antrykotu taki kawał drogi wydaje mi się aberracją. Podobnie jak z Argentyny, cokolwiek byśmy o umowie z Mercosurem sądzili (a sądzimy dobrze – choćby dlatego, że przeciw niej protestuje PSL). Tym bardziej to bez sensu, że od pewnego czasu nauczyliśmy się w Polsce hodować najlepsze rasy mięsne z naszego kawałka świata, jak choćby Limousine.

Na palące potrzeby europejskiego modelu żywienia odpowiada inne wyróżnione w tym roku Ig Noblem w dziedzinie fizyki studium. Jako najlepiej poinformowani w kwestiach okołospożywczych czytelnicy w Polsce, znacie je z tych łamów już od stycznia: chodzi o przeważnie włoski zespół badawczy z Drezna, który z tęsknoty za godziwym jedzeniem wyliczył model gotowania makaronu *cacio e pepe* o optymalnej gęstości i konsystencji. Już wtedy wyczułem, że jeszcze o tych uczonych będzie głośno i sprawa wcale nie jest tylko śmieszna. Jak zresztą większość nagrodzonych Ig Noblem pomysłów – wedle słów inicjatora nagrody, chodzi o badania, które z początku budzą tylko śmiech, ale po bliższym przyjrzeniu się ukazują niebłahe konsekwencje.



KONSTANTIN TRONIN

Tej jesieni czeka mnie sporo lektur, żeby zrozumieć, w jakie to istotne znaczenia są brzemienne pozostałe Ig Noble – w prawie każdej dziedzinie nagroda bezpośrednio albo pośrednio dotyczy kuchni i jedzenia. Spróbuję sobie uzmysłowić, co wynika z faktu, iż jaszczurki w Togo wybierają spośród wielu opcji pizzę z czterema serami; rozważę też, czy dodatek teflonu do jedzenia to skuteczny sposób na schudnięcie. Jedna z nagród nie wymaga za to dłuższego namysłu – ekipa z Holandii przeprowadziła naukowy dowód, że spożycie niewielkiej ilości alkoholu znacznie wspomaga posługiwanie się językiem obcym (w badaniu był to język niderlandzki; ach, jakże bym chciał go znać, by swobodniej rozmawiać o serach z Alexem sprzedającym kosmicznej jakości lutjewinkel oraz goudę ze swojego cheese-trucka na targach wokół Warszawy).

Cóż, żadna to nowość, że alkohol rozwiązuje język i ośmiela nas społecznie – czy też, patrząc od innej strony, luzuje hamulce, co raz jest zbawienne i pozwala się cieszyć życiem, a czasem ma bardzo żałosne skutki (o tym traktuje inny Ig Nobel – ten o nietoperzach, które po spożyciu alkoholu tracą zdolność nawigacji). Używanie substancji działających na system nerwowy jest, co nieraz tu powtarzamy, częścią każdej ludzkiej kultury, a nasz system nerwowy jest ewolucyjnie przyzwyczajony do niewielkich dawek alkoholu (w Berkeley wyliczono, że szympansy, jedząc sfermentowane owoce, przyswajają ok. 14 g czystego etanolu dziennie). Żeby nie szukać dalej, religia nasza używa w swej liturgii chleba i wina (a nie np. źródlanej wody). Częścią kultury są też reguły i obostrzenia, czasem bardzo surowe, oraz potępienie braku umiaru, o czym w obecnej codzienności całkiem żeśmy zapomnieli. To zaś rodzi



cykliczne odruchy opamiętania, czasem w swoim świętym zapale może zbyt radykalne i utopijne. Ale obecna sytuacja w Polsce wręcz dojrzała do odtrucia lekką utopią.

Zakaz sprzedaży detalicznej alkoholu przez parę nocnych godzin nie wydaje się zresztą pomysłem radykalnym. Warstwę polityczną skandalu w Warszawie dobrze wyłożył na początku tego numeru „Tygodnika" Marek Kęskrawiec. Tu tylko zauważmy, iż wedle solidnych źródeł z łona partii rządzącej, faktyczny włodarz Warszawy utrącił inicjatywę nie z powodu machinacji lobbystów, tylko dlatego, iż ponoć „nienawidzi lewactwa". Jest w tym o tyle sens, że w Warszawie utrudniać nocny dostęp do wódki i piwa chcą głównie środowiska lewicowe.

I to jest najciekawszy aspekt tej sprawy – ta zamiana miejsc w awangardzie prohibicji. Jeszcze sto lat temu krucjaty trzeźwości były przeważnie „prawicowe" – głęboko zakorzenione w religii, stanowiły dobry przykład przełożenia kazań niedzielnych wprost na powszednie prawo. Czy to jedyna pochodnia wiary, którą dzisiejsza lewica podniosła z ziemi, po tym jak Kościół przestał mieć znaczenie w polityce?

To ważne pytanie, ale nie umiem na nie odpowiedzieć. Zajmę się lepiej jaszczurkami i pizzą. Aha, pomożecie mi na przyszły sezon znaleźć do pracy koszulę w paski jak u zebry? Rozmiar L, proszę.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Placek limonkowo-cukiniowy

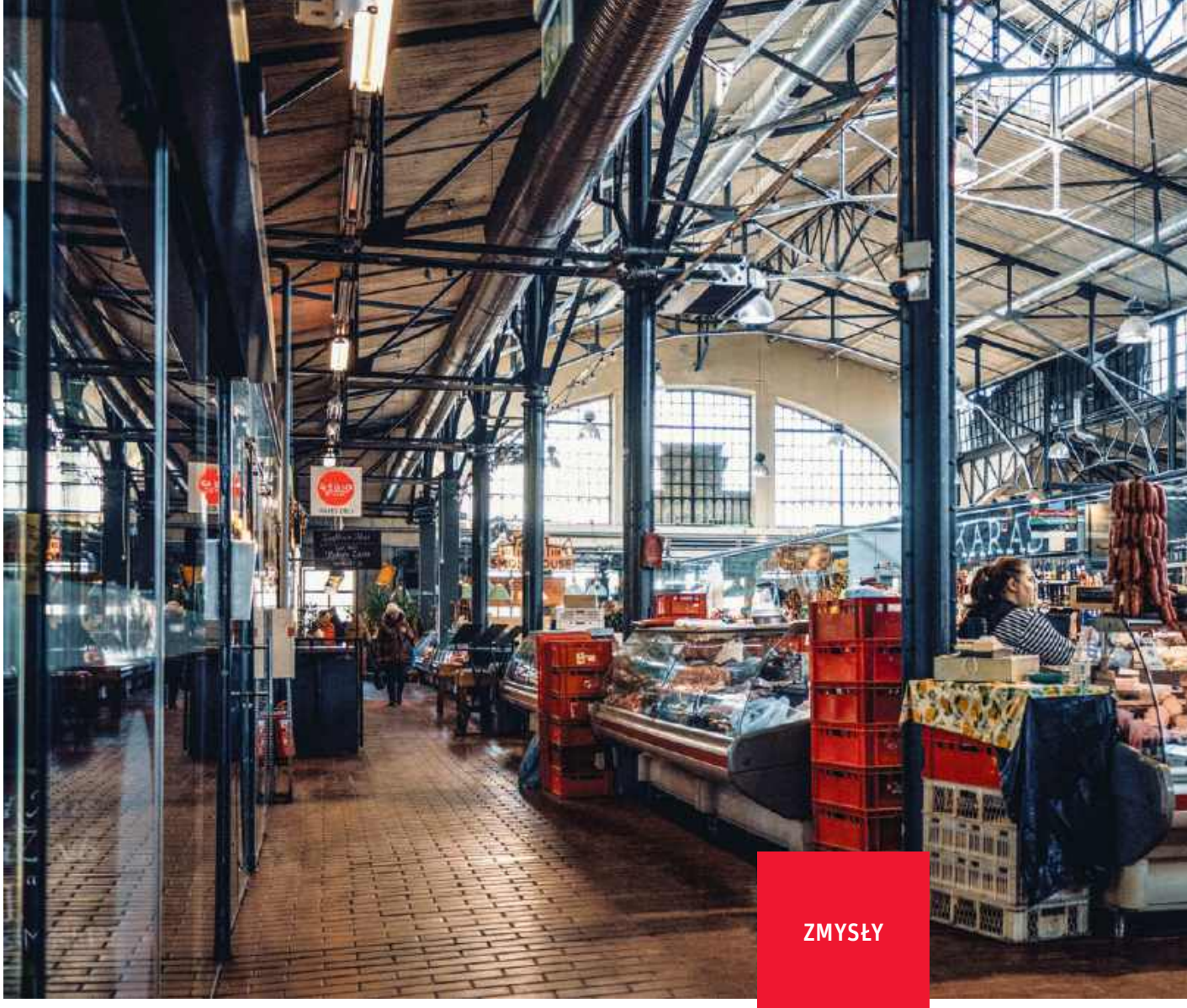
Niedawno piekliśmy tu ciasto, które za swego rodzaju strukturalną bazę miało buraka. Dziś skorzystajmy z tego, że łatwo o cukinie z pola. Te najmniejsze warto zjeść pieczone albo krótko usmażone po pokrojeniu w zgrabne talarki. Ale jeśli się nam trafią brzydsze albo trochę większe egzemplarze (ale nie takie półmetrowe!), zróbmy kolejne aromatyczne ciasto z warzywnym wypełniaczem.

SKŁADNIKI:
200 g cukinii 250 g cukru 2 limonki 1 cytryna 80 ml oliwy 3 jajka 300 g (ok. 270 ml) gęstego jogurtu 250 g białej mąki 150 g cukru pudru na lukier ▪ łyżeczka proszku do pieczenia ▪ pół łyżeczki sody ▪ duża szczypta soli

Ścieramy cukinię na grubej tarce. Owijamy mocno w pieluchę tetrową lub inną ścierkę o luźnym splocie i naprawdę mocno wyciskamy z niej zieloniutką wodę. W misce ucieramy palcami cukier ze skórką startą z cytryny i jednej limonki, aż powstanie bardzo aromatyczny „piasek". Dolewamy stopniowo oliwę, potem rozkłócone jajka i wreszcie jogurt. Mieszamy ręcznie trzepaczką, aż powstanie jednolita mieszanina, i dodajemy cukinię. Następnie idą mąka, proszek, soda i sól. Po uzyskaniu gładkiej masy przelewamy ją do brytfanki o rozmiarach ok. 20x30 cm wyłożonej papierem do pieczenia, który wysmarowaliśmy masłem. Pieczemy w 180 stopniach 35-40 minut, aż się delikatnie zrumieni i pod lekkim naciskiem będzie sprężyste. Polewamy lukrem uzyskanym z wymieszania cukru pudru z sokiem z limonek i cytryny, posypujemy skórką startą z jednej limonki. ©℗



BART / ADOBE STOCK



ZMYSŁY

PRAWO DO SZCZĘŚCIA

Zdrowa ryba płynie zawsze pod prąd.
Przeczytałem to zdanie
jako dziecko, ale jako dorosły
nadal je pamiętam.
I to właśnie z powodu tej buntowniczej
sentencji pojechałem do Wilna.

BARTEK KIEŻUN

Jako bardzo młody człowiek czytałem naprawdę sporo książek. Część z nich należała do światowej klasyki, część nie aspirowała nawet do klasyki krajowej. Nie miałem też szczególnych wyrzutów sumienia, że noblistów chłonąłem na przemian z „Damą kameliową" Dumasa. Z czasem lektury zacząłem dobierać nieco staranniej, a o rewolucyjnym zdaniu o rybie zdążyłem zapomnieć. Wróciło do mnie w XXI w., w świecie masowego powtarzania wszystkiego, identycznych kawiarni z powielanym w nieskończoność menu, w którym ciastka nadziewane dubajską czekoladą stanowią o byciu na czasie tak samo jak godzinne oczekiwanie, by zrobić sobie zdjęcie takie samo jak miliony ludzi wcześniej.

Zrozumiałem, że zatęskniłem za czasami, gdy w podróży, zwłaszcza kulinarnej, docenialiśmy oryginalność i niepowtarzalność, a nie schematy, do których przyzwyczaił nas ekran telefonu. Mimo tego, że lada moment moja metryka wskazywać będzie półwiecze, zamarzyłem ponownie o szczeniackim buncie i płynięciu pod prąd, o porzuceniu w kąt croissantów nadziewanych pistacjami, kosztujących tyle, co para butów, i zjedzeniu czegoś, czego historia zaczyna się dawno, dawno temu, a nie w głowach specjalistów od sprzedaży.



GO VILNIUS

Halės turgus, czyli Targ pod Halą.

I tak właśnie wylądowałem w Wilnie, choć dla pełnego obrazu czuję się w obowiązku dodać, że miałem jeszcze jedną motywację. Rodzinną! Mój urodzony na Litwie ojciec cytował mi Mickiewicza, kiedy byłem dzieckiem w kołysce, więc „Inwokację" znałem na pamięć jeszcze przed przestąpieniem progu szkoły podstawowej, a jego matka, moja babcia, na emigracji w Polsce nie modliła się nigdy przed innym obrazem niż ten, który przedstawiał Matkę Boską Ostrobramską.

Można więc rzec, że pojechałem w nieco buntowniczą podróż kulinarną gnany sentymentami. Po wylądowaniu na miejscu stwierdziłem, że turystów w Wilnie jest tyle, co trzeba, by poczuć klimat wakacyjny, ale bez stania w kolejkach napędzanych przez klikbajty z social mediów. Miasto miało mnóstwo uroku, a jego renesansowy sznyt, dzieło architektów królowej Bony i Zygmunta Augusta, sprawił, że poczułem się jak w domu.

Gołąbki pod halą

Uznałem, że mając przed sobą kilka dni, zdołam poznać Wilno choć trochę. Do dzieła przystąpiłem natychmiast po porzuceniu walizki w hotelu. Szybki rzut oka na mapę pozwolił mi się zorientować, że do katedry mam dalej niż na targ. Od lat upieram się, że to dwa najważniejsze punkty na mapie miasta, obowiązkowe podczas pierwszej wizyty. Terminu „katedra" proszę nie traktować zbyt dosłownie, bo w zależności od dominującej religii może to być meczet piątkowy albo synagoga.

Tym razem bliżej był targ. Miejsce wiecznego spoczynku Aleksandra Jagiellończyka i Barbary Radziwiłłówny porzuciłem na rzecz straganów uginających się od czereśni, arbuzów i peklowanej słoniny, której grube płaty kusiły podwędzonym rumieńcem. Nazwę Halės turgus przetłumaczyłem sobie na własny użytek jako Targ pod Halą. To jeden z najstarszych i największych targów Wilna. Hala zbudowana z jasnej cegły według projektu architekta i inżyniera Vaclovasa Michneviciusa jest miejscem, gdzie przychodzi się robić zakupy, ale można też coś zjeść.

Pijąc kawę wypytałem, które z miejsc oferujących jedzenie jest najlepsze. Baristka bez wahania odpowiedziała, że polecić może lokal z uzbeckim pilawem po przeciwnej stronie. I dodała, że w budynku na parterze, z wejściem od ulicy, działa restauracja Baleboste z żydowską kuchnią wileńską. Kocham uzbeckie jedzenie, więc trudno było mi je odrzucić, ale uznałem, że na Uzbekistan jeszcze przyjdzie czas, i zszedłem po schodach do Baleboste.

Zamawiając gefilte fisz, bajgla i gołąbki nadziewane wołowiną, oczekiwałem tego, co w sumie znam. Pomyliłem się jednak. Wszystko smakowało znajomo, ale jednak inaczej. Jako że podróżowałem sam, czytałem sobie przy jedzeniu o historii Wilna i w trakcie posiłku przyszło mi do głowy, że kluczowe jest pogodzenie się z tym, że my, Polacy, mając wspólną historię z Litwinami, opowiadamy o niej zupełnie inaczej, a dzieląc talerze z daniami o swojsko brzmiących daniach, karmimy różnie.

Pragnę też wszystkich uspokoić – książki nie poplamiłem, bo mam spore doświadczenie w czytaniu i jedzeniu jednocześnie. Wychodząc zapytałem jeszcze, jakim cudem czerwony sos do gołąbków, choć kojarzący się z pomidorami, smakował zupełnie inaczej niż ten, który znam z domu. Dziewczyna za ladą najpierw upewniła się, że mi smakowało, a potem zdradziła, że w wołowym farszu jest nieco cynamonu, a sos jest faktycznie pomidorowy, ale podlany bulionem wołowym i doprawiony miodem. Wszystko stało się jasne.

Na obiad do Lokys

W myśl zasady „coś dla ciała, coś dla ducha" ruszyłem zwiedzać. Na pierwszy ogień wybrałem kościół św. Anny, bo jeszcze w hotelu wszyscy, których pytałem, upierali się, że to najpiękniejsza świątynia Wilna. Po dotarciu na miejsce uznałem, że o gustach się nie dyskutuje, bo choć Anna była piękna, to naprawdę zachwycił mnie stojący obok kościół pod wezwaniem świętych Franciszka i Bernarda. Gotycki, zbudowany najprawdopodobniej na fundamentach istniejącego wcześniej w tym miejscu zamku, powstał na przełomie XV i XVI w. pod okiem gdańskiego architekta Michała Enkingera.

Pieniądze na budowę wyłożyły pospołu rodziny Radziwiłłów i Chodkiewiczów. Jego dzisiejszy kształt jest efektem wielu zmian wprowadzonych przez wieki w następstwie pożarów i zniszczeń będących skutkiem kozackiej okupacji. Gotyckie prezbiterium jest najstarszą częścią kościoła, a osiem wysokich filarów dzieli jego wnętrze na trzy nawy z genialnymi kryształowymi sklepieniami i ścianami ozdobionymi freskami. ↦

↦ W XVII w. przy wsparciu litewskiego hetmana polnego Michała Kazimierza Paca świątynia odzyskała blask, a sto lat później dodano czternaście przepięknych ołtarzy z drewna klonowego.

Uznałem więc, że bardziej podoba mi się kościół franciszkanów niż ten pod wezwaniem św. Anny, ale że nie będę się tym z nikim dzielił. Ruszyłem na obiad do Lokys, restauracji, w której dania przygotowuje się z najstarszych zachowanych na Litwie receptur. Po rzuceniu okiem do karty niemalże zamówiłem gulasz z bobra. Niemalże, bo przyszło mi do głowy, że pierwszeństwo należy się jednak cepelinom i chłodnikowi litewskiemu.

Mając nadzieję, że bobra jeszcze uda mi się spróbować, czekałem na chłodnik, który jest traktowany jako danie narodowe w wielu krajach – swoją wersję mają Łotysze, Białorusini, Rosjanie i Polacy. Jeśli się jednak przyjrzeć historii zimnej różowej zupy, widać od razu, że wszystkie tropy prowadzą do Wilna. Pisał o niej między innymi Mickiewicz, a jej powszechną obecność odnotował Oskar Kolberg podczas etnograficznych badań terenowych, które przeprowadzał na Litwie.

I niech nikogo nie zmyli opinia dziennikarzy „New York Timesa" nazywających chłodnik litewski polskim, ani fakt, że pierwszą recepturę na tę zupę zanotował pracujący w Warszawie dla Stanisława Augusta Poniatowskiego kuchmistrz Paul Tremo. Ten urodzony w Berlinie Francuz był niestrudzonym kulinarnym wędrowcem, który jeździł po Europie i poznawał kuchnie innych narodów. Być może podczas jednej z nich odkrył chłodnik litewski i przepis zanotował bez informacji, gdzie zjadł go po raz pierwszy. Jako że przepisy Tremo krążyły po całej Rzeczypospolitej w odpisach, chłodnik litewski zyskał popularność także nad Wisłą i zaczął być traktowany jako danie kuchni polskiej. Trzeba jednak Litwinom oddać, co litewskie, i pozostawić chłodnik w Wilnie, gdzie odbywa się poświęcony mu festiwal i śpiewa się o nim piosenki.

Potem zjadłem jeszcze cepeliny i uciąłem sobie pogawędkę z kelnerem o tym, czy te wrzecionowate kluski faszerowane mięsem powinny być przygotowane z surowych, czy też z ugotowanych ziemniaków. Okazało się, że wszystko zależy od osoby, która je robi, bo zdarzają się aż trzy wersje ciasta, które może powstawać z surowych albo z ugotowanych albo z mieszanki surowych i ugotowanych ziemniaków.

Piwo u Tomasa

Spalanie kalorii rozpocząłem od spaceru przez Zarzecze, dzielnicę artystów, która w 1997 r. ogłosiła niepodległość i konstytucję, zaczynającą się od słów: „Człowiek ma prawo do szczęścia". Przed proklamowaniem konstytucji, oddzielona rzeką Wilenką od centrum miasta enklawa nie cieszyła się najlepszą opinią. Dziś turyści pojawiają się tu, by przeczytać kilka prostych zdań konstytucji wyeksponowanej na jednym z murów dzielnicy w pięćdziesięciu językach, a miejscowi wpadają napić się piwa w jednym z barów. Tego ostatniego zrobić nie mogłem, bo miałem umówione spotkanie z jednym z najsłynniejszych litewskich piwowarów. Przeczytałem więc, że „człowiek ma prawo mieszkać nad Wilenką, a Wilenka przepływać obok człowieka", i ruszyłem na rozmowę o piwie.

Alaus Biblioteka to bar i pub, który na swoich półkach ma wprost niezliczone ilości najróżniejszych piw. Tomas Josas, piwowar, właściciel tego miejsca i historyk, czekał na mnie na pierwszym piętrze kamienicy w centrum miasta. Na początku ustaliliśmy, że mimo że jestem z Polski, o piwie wiem niewiele więcej niż nic, a potem poszło już z górki. Dowiedziałem się, że na Litwie tradycja warzenia piwa w domach miała i ma się świetnie. Mój gospodarz wyjął butelkę z rysunkiem wrzosu i zapytał, czy znam piwo wrzosowe. Przyznałem się, że piwo kojarzy mi się z chmielem, nie z wrzosem, i okazało się, że właśnie o to chodziło.

Tomas chciał opowiedzieć mi o tradycjach piwnych Litwy, gdzie czasem zamiast aromatyzować piwo chmielem, sięgano po inne rośliny. Podzielił się też ze mną opowieściami o najsłynniejszym polskim piwie, czyli porterze bałtyckim. Nie przyznałem się, że nigdy go nie piłem, tylko kiwałem głową ze sporym zaangażowaniem, a potem skupiłem się na różnicach między IPĄ i APĄ.

Pełen świeżo nabytej wiedzy o piwie byłem pewien, że na butelki w sklepach będę już teraz patrzeć nieco inaczej, i żałowałem, że nie mam szans wziąć udziału w jednej z degustacji organizowanych przez Tomasa w Alaus Bibliotece, podczas których za temat bierze się jeden z piwnych gatunków. Ustaliliśmy, że będzie mnie o takowych informował, bo w sumie byłby to pretekst do powrotu do Wilna dobry jak każdy inny.

Pierogi jak nos

Na mojej liście rzeczy do zrobienia w litewskiej stolicy miałem jeszcze jedną rzecz na czerwono, czyli taką, bez której nie mogę wyjechać. Miejscem, do którego miałem dotrzeć, była kawiarnia i piekarnia Desertų klubas. Lokal był poza centrum, ale uznałem, że spacer świetnie mi zrobi. Miałem też ochotę na obejrzenie po drodze kościoła pod wezwaniem Piotra i Pawła, jak głosił trzymany przeze mnie przewodnik, „najpiękniejszego barokowego kościoła Wilna". Rzut oka na zegarek przekonał mnie, że zdążę bez większego trudu dotrzeć i do niego.

Okazało się, że i ten kościół ma coś wspólnego z hetmanem Pacem, który wyłożył pieniądze na budowę świątyni w podzięce za wyzwolenie Wilna od Rosjan. Projekt pochodził od krakowskiego architekta Jana Zaora, a wyjątkowe sztukaterie są dziełem Pietra Pertiego oraz Giovanniego Gallego, włoskich architektów działających w Wilnie, którzy, jak głosi miejscowa legenda, rzeźbiąc, portretowali mieszkańców miasta. To dlatego w kościele nie ma dwóch rzeźb o podobnych twarzach. Tak przynajmniej się mówi. Stuprocentowej pewności nie mam, ale przyznaję, spędziłem w kościele mnóstwo czasu i każda z przedstawionych postaci miała bardzo indywidualne cechy. Desertų klubas jednak wzywał.

Właścicielka Asta Petrus już na mnie czekała. Zapytała, jak mija mi dzień. Opowiedziałem więc ze szczegółami, a Asta dzieliła się radami i w zasadzie ułożyła mi grafik na resztę pobytu. Na moją listę dopisała między innymi wystawę „Królowe, królestwa i emocje" poświęconą historii dwóch kobiet: Barbary Radziwiłłówny, królowej Polski i wielkiej księżnej Litwy, oraz Katarzyny Jagiellonki, królowej Szwecji, a potem przepadliśmy w rozmowie o jedzeniu, o produktach i sposobach przygotowywania posiłków.

Była to typowa rozmowa kulinarnych freaków, podczas której normalni ludzie ziewają z nudów: wymienialiśmy się gatunkami leśnych grzybów, które są warte uwagi, i informacjami, kiedy zaczynają się i kończą sezony na różne rzeczy



BARTEK KIEŻUN

Droga na Zarzecze.

Za kościołem św. Anny skrywa się ten pod wezwaniem Franciszka i Bernarda.



MANTAS KRISTIJONAS KULIESIS

w obu krajach. Kiedy zdradziłem, że jagody zniknęły już z targów w Polsce, Asta zostawiła mnie przy stole, by po chwili powrócić z talerzem w dłoni i uśmiechem na twarzy.

– U nas sezon w pełni! – oznajmiła. – Masz tu pierogi z jagodami. Mówimy o nich, że są jak nos w samym środku kataru. Popatrz!

Rzeczywiście, przebarwienia od jagodowego soku i falbanka z ciasta nieco przypominały zmęczony smarkaniem nos, ale o tym wszystkim zapomniałem, gdy wepchnąłem w usta jeden z najlepszych pierogów, jakie jadłem w życiu. Gęsta śmietana oblepiająca kluski była wspaniała, podobnie jak jędrne jagody pękające pod zębami. W zasadzie to by mi wystarczyło, ale nasze spotkanie miało zupełnie inny cel niż pierogi. Postanowiłem więc czekać cierpliwie.

Boba na metry

Asta wyszła na chwilę, zostawiając mnie z pierogami, a kiedy wróciła, trzymała w dłoniach bobę – cel mojej wizyty, złoty grall wileńskiej gastronomii. Boba to babka, która dwieście lat temu była szalenie popularna. Stawiano ją na stole tylko w wyjątkowych okazjach, bo jej przygotowanie było kosztowne i skomplikowane. Jeszcze w 1858 r. przepis na kilka rodzajów boby podała Wincentyna Zawadzka w „Kucharce litewskiej", a potem świat zapomniał o tym wypieku. Moja gospodyni po raz pierwszy zobaczyła bobę na archiwalnych zdjęciach. Nikt o niej nie pamiętał, ale kwerenda pomogła. Okazało się, że to wileńska boba.

Jako znakomita kucharka Asta zabrała się do dzieła i, jak mi powiedziała, skończyła wiele godzin później płacząc, bo przepis to przepis, ale zrozumiała, że brakuje jej prawdziwej wiedzy, jak należy ją upiec. Brakowało też form do wypieku, czyli długich i wąskich kominów, bo boba miewała nawet metr wysokości. – Nie poddałam się – usłyszałem. – Następnego dnia z foremek do panettone zrobiłam sobie formę do boby i znów zabrałam się do dzieła. W końcu wszystko zaskoczyło. Wiesz jak to jest?

Kiwnąłem głową, a ona sięgnęła po wielki nóż i przecięła bobę, którą upiekła specjalnie na nasze spotkanie. Delikatne, tłuste od żółtek ciasto było przepyszne, a mimo szalenie prostego składu jego smak był szalenie złożony. Mogłoby się wydawać, że na języku pobrzmiewa echo wanilii albo bobu tonka, ale Asta zaprzeczyła. Plotkując o innych wileńskich deserach, pożarliśmy pół boby. Drugie pół dostałem na drogę. Mimo że do Krakowa dotarłem kilka dni później, boba przyleciała ze mną. Czas się jej nie imał – dokładnie tak jak przypuszczałem – i smakowała znakomicie mimo tego, że latała ze mną samolotem i spędziła dwa dni w hotelowej lodówce.

Wcinając ostatni kawałek w domu, uświadomiłem sobie, że buntowniczy wyjazd do Wilna był świetnym pomysłem. Nie stałem w kolejkach, a zamiast baskijskiego sernika zjadłem wyjątkowo smaczne pączki na twarogu i całe mnóstwo dziugasa, sera będącego dumą litewskich serowarów. I pomyślałem sobie, że planując wyjazdy, trzeba myśleć nie o modzie i nie o tym, gdzie jeżdżą sąsiedzi, tylko o tym, czego nam potrzeba.

Miałem ochotę na świetne miasto, niezepsute masową turystyką – i to właśnie dostałem. Pomyślałem, że będę musiał wrócić, bo byłem tak zajęty jedzeniem, że rodzinnych wątków nawet nie tknąłem. Zdrowa ryba płynie zawsze pod prąd – mruknąłem pod nosem, zbierając ze stołu ostatnie okruszki boby.

© BARTEK KIEŻUN

TOMASZ

Stawiszyński: *Zawracajmy*



Oto – wydawałoby się – teza najbardziej oczywista spośród wszystkich oczywistości. Ocena moralna śmiercionośnego strzału oddanego 10 września na kampusie uniwersytetu w Utah przez 22-letniego Tylera Robinsona, strzału, który rozerwał szyję Charliego Kirka na oczach jego żony i dwójki dzieci, nie ma żadnego związku z poglądami politycznymi zamordowanego. Byłaby identyczna, gdyby zamiast niego zginął ktoś o innych poglądach. Nieważne: prawicowych czy lewicowych, skrajnie prawicowych czy skrajnie lewicowych, liberalnych, demokratycznych, anarchistycznych, anarchosyndykalistycznych czy socjalistycznych. I tak dalej. Byłaby identyczna także wówczas, gdyby bez wyjątku każda skandaliczna wypowiedź przypisywana Kirkowi okazała się rzeczywiście jego wypowiedzią.

Piszę „gdyby", ponieważ niektóre z tych najbardziej radykalnych i skandalicznych to, jak się okazuje przy bliższym zbadaniu, produkty zabiegów typowych dla mediów społecznościowych – wycinania z kontekstu, przekręcania, stosowania najbardziej nieżyczliwej interpretacji. Ot, choćby rzekome stwierdzenie, że „biblijna kara śmierci dla gejów przez kamienowanie jest właściwa". Za post łączący ten pogląd z Kirkiem przeprosił już Stephen King, ale rzecz nadal reprodukuje się w wiralowych wpisach krążących po internecie. Klasyka: ktoś gdzieś sypnie jakimś linkiem, który ma ponoć czegoś tam dowodzić, wygląda to z oddali na „fact-checking", więc nikt już nic nie sprawdza, wirtualna kula oburzenia i afektu toczy się coraz szybciej, aż w końcu nabiera monstrualnego gabarytu.

Ale powtórzę: nawet gdyby Kirk rzeczywiście głosił wszystkie te tezy, nie zmieniałoby to oceny czynu Robinsona. W kulturze, w której żyjemy, nie uzależnia się bowiem etycznej, prawnej oraz dowolnej innej kwalifikacji morderstwa od światopoglądu ofiary. Jest wręcz na odwrót. Gwarantowana w demokracji – między innymi – wolność słowa to praktyczna możliwość swobodnego artykułowania swoich przekonań bez ryzyka, że się zostanie za to zamordowanym.

Z tej właśnie wolności słowa korzystał Kirk, który zarabiał na życie artykułując swoje przekonania – na piśmie, w podkastach, podczas spotkań na żywo. A przy tym nieustannie, na różne sposoby i w różnych okolicznościach, debatując i dyskutując z ludźmi o przekonaniach odmiennych. Niezależnie od tego, czy nam się poglądy Kirka podobają, czy nie podobają, czy nas oburzają, czy nie oburzają – był to człowiek, który mnóstwo czasu poświęcał na publiczną dyskusję z tymi, którzy myślą inaczej. I właśnie podczas jednej z takich dyskusji, jednego z takich pojedynków na słowa, a nie pięści czy kule karabinowe, został brutalnie zabity.

Tej zbrodni zaś, powtórzę, nie usprawiedliwiają ani nie relatywizują żadne jego faktyczne lub wymyślone poglądy i wypowiedzi. Podobnie jak nie usprawiedliwiają i nie relatywizują jej żadne – prawicowe lub lewicowe – poglądy, wypowiedzi czy też polityczno-rodzinne koneksje mordercy. Oto – wydawałoby się – teza najbardziej oczywista spośród wszystkich oczywistości.

Napisałem „wydawałoby się", ponieważ przeczy temu fala postów, memów, grafik czy nagrań usprawiedliwiających tę zbrodnię, dowodzących, jak niegodziwym człowiekiem był Kirk, wyrażających radość czy wręcz euforię z powodu jego śmierci. Autorami tych memów i wpisów oraz entuzjastycznych pod nimi komentarzy, udostępnień czy serduszek, bywają ludzie zazwyczaj czujni na najdrobniejsze przejawy werbalnej agresji, krzyczący „przemoc!", kiedy tylko ktoś powie coś niesłusznego lub niepoprawnego. Ci sami ludzie przywołują argumenty mające pokazać, jak bardzo ofiara sama sobie na to, co ją spotkało, zasłużyła. Jak złym była człowiekiem, jak zdeprawowane poglądy głosiła, jak nie ma co po niej płakać.

Doprawdy – podobnie jak natychmiastowe obwinianie tych lub tamtych za śmierć Kirka – są to jakieś ciężkie powikłania, a może raczej rozległe przerzuty toczącej nas wszystkich polaryzacji. Pogłębiający się trybalizm, w ramach którego współczucie, zasady moralne, prawo i reguły życia społecznego – w tym jedna z tych fundamentalnych: zachować powagę wobec śmierci, nie tańczyć na grobach, nie cieszyć się z cudzego nieszczęścia – stosują się wyłącznie do „naszych". Do „nich" natomiast – tej amorficznej, strasznej grupy „nie-nas" – aplikują się selektywnie albo wcale.

Usprawiedliwianie i relatywizowanie realnej przemocy; deprecjonowanie ofiar; gloryfikowanie zideologizowanych socjopatów *à la* Taylor Robinson, *à la* Luigi Mangione, *à la* Janusz Waluś i robienie z nich bojowników o sprawiedliwość, bohaterów walki z systemem; a także odruchowe, natychmiastowe przerzucanie odpowiedzialności za rozmaite zbrodnie i katastrofy na przeciwników politycznych – to w dzisiejszym świecie dawno już nie jest margines, lecz coraz szerszy strumień płynący wartko w mediach społecznościowych. W tym zwierciadle odbijającym zbiorową świadomość i nieświadomość.

Nie wiem, gdzie nas ten nurt porwie, a może już porywa, jedno mogę jednak powiedzieć z pewnością – miejsce to jest ciemne, ponure i groźne. Zawracajmy, póki jest jeszcze czas. Bo przecież mamy gdzie zawracać, wszystkie potrzebne przystanie są w historii, kulturze, cywilizacji, starczy się tylko otrząsnąć, odetchnąć, otrzeźwieć. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

KSIĄŻKA 2024 ROKU W SZWECJI.

POWIEŚĆ, KTÓRA ROZGRZAŁA ZIMNE SERCA CZYTELNIKÓW Z PÓŁNOCY.



Patrzę na góry i jezioro. Żyję tu od dziewięćdziesięciu lat, ale nadal nie mogę się nacieszyć tym pięknem. Nie chcę stąd odchodzić. Nigdy i za nic. Żałuję, że ostatni raz widzę te piękne widoki.

Bo wkracza w dziewiątą wiosnę życia i właśnie rozpoczął swoją ostatnią batalię. Jeszcze nie wyobraża sobie, że jej nie wygra. Choć już czuje, że został w niej sam...

Na szczęście najwierniejszy z towarzyszy wciąż przy nim trwa. I dopóki jego dłoń ma siłę, by głaskać ciepłą psią sierść, a wilgotne psie oczy wpatrują się w niego z ufnością i wiarą, Bo wie, że jeszcze żyje. I że nigdy, przenigdy, nie pozwoli odebrać sobie Sixtena...

POWIEŚĆ O ODCHODZENIU I ŚMIERCI, KTÓRA NADE WSZYSTKO AFIRMUJE ŻYCIE. SUBTELNA, CIEPŁA, BEZPRETENSJONALNA.

Książka dla wszystkich, którzy kiedykolwiek musieli kogoś pożegnać. I każdego, kto w pewnym momencie swojego życia będzie musiał pogodzić się z tym, że nie jest nieśmiertelny.

WYDAWNICTWO ALBATROS

REKLAMA

REKLAMA

Kraków

ALEKSANDER MISZALSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

10–12 PAŹDZIERNIKA
2025

NOC POEZJI



KRAKOWSKIE
noce

KRAKÓW
MIASTO LITERATURY
UNESCO

www.krakowskienoce.pl

NAJWAŻNIEJSZE PREMIERY, SPEKTAKLE I WYSTAWY JESIENI

WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

TYGODNIK POWSZECHNY

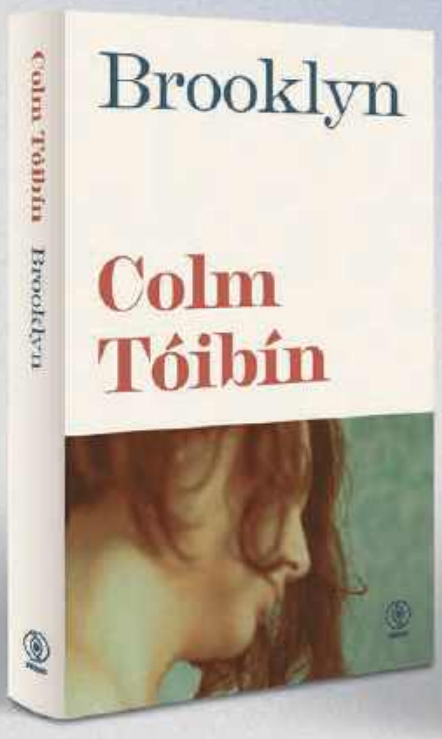
DODATEK SPECJALNY
„TP" 39/2025

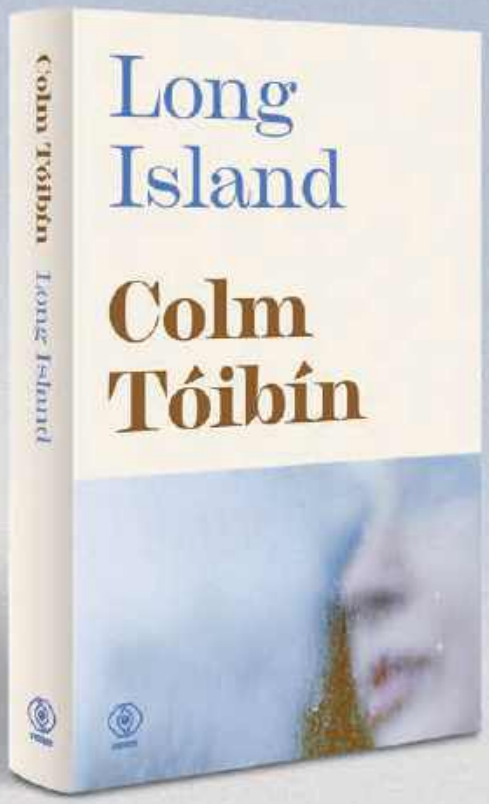


REKLAMA

REBIS

Przejmująca i piękna proza
MISTRZA LITERATURY







Odkryj
odważny świat
LEGENDY
STREET ARTU

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
FB/DWREBIS
www.rebis.com.pl

Drogie Czytelniczki, Drodzy Czytelnicy!

Na łamach „Włóczykija Kulturalnego” od kilku już lat polecamy najważniejsze premiery sezonu, doradzamy, które wystawy sztuki trzeba koniecznie zobaczyć, naświetlamy trendy.

I tym razem przygotowaliśmy dla Was obszerny i wszechstronny przewodnik na najbliższe tygodnie, pozwalający całkiem przyjemnie zaplanować sobie nadchodzącą jesień i zimę – bez względu na to, w której części kraju mieszkacie.

O wielu wspomnianych tu nieledwie wydarzeniach będziemy oczywiście pisać szerzej w nadchodzących numerach.

Wszystkie recenzje znajdziecie w zakładce „Kultura” na stronie ***TygodnikPowszechny.pl.***

Do zobaczenia w teatrach, muzeach, galeriach i księgarniach.



PATMIC / MATERIAŁY PRASOWE



HAWA / MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM SZTUKI W ŁODZI



A. STYKOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE



MATERIAŁY PRASOWE PEN CLUB POLSKA

4. **Teatralna jesień obiecuje wiele atrakcji. Co warto zobaczyć?**
DARIUSZ KOSIŃSKI
Polski teatr znajduje się w fazie dynamicznych przemian. Wszystko wskazuje na to, że najbliższe miesiące przyniosą kolejne zwroty akcji, dzięki czemu czeka nas wyjątkowo pasjonujący czas.

22. **Jesień w galeriach i muzeach. Wszystko, co musisz wiedzieć**
PIOTR KOSIEWSKI
W tym sezonie muzea i galerie będą przypominały historyczną twórczość i opowiadały o współczesności. Pokażą związki między przeszłością a tym, czego doświadczamy obecnie. Nie zabraknie wielkich nazwisk, ale przede wszystkim będzie można zobaczyć twórczość mniej znaną.

30. **Jak brzmi Polska? Krajobrazy dźwiękowe na Expo 2025 w Osace**
MARTA KULA
Dźwięk jest jednym z ważniejszych bohaterów opowieści o polskim dziedzictwie. Prowadzi zwiedzających do centralnego punktu Pawilonu Polski, czyli sali koncertowej.

32. **Międzynarodowe obchody stulecia polskiego PEN Clubu**
ADAM WOŹNIAK
Problemem świata jest dziś nie tyle walka o wolność słowa, lecz stawienie czoła wojnie informacyjnej toczonej przez Federację Rosyjską.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 39/2025

REDAKCJA: Monika Ochędowska | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: Jacek Taran | OPIEKA WYDAWNICZA: Marek Bednarz, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska | SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran
Grafika na okładce: Blanka Biernat



MAGDA HUECKEL / NARODOWY STARY TEATR / MATERIAŁY PRASOWE

„Wesele" w obsadzie znakomitego zespołu aktorskiego Narodowego Starego Teatru w Krakowie zainauguruje dyrekcję Jana Klaty w warszawskim Teatrze Narodowym

Teatralna jesień obiecuje wiele atrakcji. Co warto zobaczyć?

DARIUSZ KOSIŃSKI

Polski teatr znajduje się w fazie dynamicznych przemian. Wszystko wskazuje na to, że najbliższe miesiące przyniosą kolejne zwroty akcji, dzięki czemu czeka nas wyjątkowo pasjonujący czas.

Uwagę wielbicieli teatru przykuwają w tych dniach przede wszystkim zapowiedzi ważnych scen, których dyrekcja została zmieniona. Szefowanie Teatrem Narodowym w Warszawie po Janie Englercie objął Jan Klata. Artystyczną inaugurację jego kadencji będą pokazy słynnego „Wesela", zamykającego przedwcześnie jego dyrekcję w Narodowym Starym Teatrze w Krakowie (20 IX), zaś pierwsza zapowiadana premiera to „**Termopile polskie**" Tadeusza Micińskiego w reżyserii nowego dyrektora (22 XI).

Zmiana równie ważna następuje w warszawskim Teatrze Powszechnym, którego dyrekcję obejmuje Maja Kleczewska. Jej pierwsza premiera wydaje się wyborem równie znamiennym, jak w przypadku nowego szefa Narodowego. To „**Sublokatorka. Instrukcja przeżycia**" Hanny Krall w adaptacji Grzegorza Niziołka i reżyserii dyrektorki (25 X).

Inną warszawską sceną pod nową dyrekcją jest Nowy Teatr, w którym Karolinę Ochab zastępuje Michał Merczyński. Tu jednak nie należy oczekiwać radykalnych zmian, skoro dyrektorem artystycznym nadal jest Krzysztof Warlikowski. Pierwszą wrześniową premierą będzie oczekiwane przez wielu nowe przedstawienie Wojciecha Grudzińskiego „**Teach me not**". W listopadzie pokazana zostanie inscenizacja dramatu Mariusza Gołosza „**Pieśni piekarzy polskich**"

(reż. Ewa Galica). Natomiast na styczeń 2026 r. Warlikowski przygotuje inscenizację dramatu Wajdiego Mouawada „**Europa's Pledge**".

Paweł Łysak przenosi się z warszawskiego Powszechnego do Teatru im. Jaracza w Łodzi. Sezon rozpocznie przedstawieniem „**Czas na wielki numer**", podejmującym w konwencji stand-upu temat przemocy wobec kobiet. To karkołomne połączenie proponują reżyserka Barbara Bendyk i dramaturżka Krysia Bednarek (15 XI). Kolejną propozycją będzie adaptacja powieści Olgi Tokarczuk „**Prowadź swój pług przez kości umarłych**" w reżyserii Leny Frankiewicz (6 XII). W lutym nowy dyrektor zaprezentuje się jako reżyser inscenizacją „**Internatu**" Serhija Żadana.

Dawno oczekiwana zmiana także we Wrocławiu: w Teatrze Polskim wreszcie pojawił się dyrektor dający nadzieję na powrót tej sceny do czasów świetności. Michał Zadara, który podjął się tego niełatwego zadania, zapowiada w swoim pierwszym sezonie cztery premiery. Pierwszą z nich będzie „**Solaris**" Stanisława Lema w reżyserii Michała Zdunika (10 X), a kolejną – dyrektorska inscenizacja opowiadania Olgi Tokarczuk „**Prawdziwa historia**".

W nieodległej Legnicy również historyczny zwrot: twórcę i wieloletniego dyrektora Teatru Modrzejewskiej, Jacka Głomba, zastępuje Łukasz Czuj. Plany nowej dyrekcji nie są jeszcze znane, ale wydaje się znamienne, że sezon zaczyna się powrotem do przeszłości: legendarnym już „**Hamletem**" granym na Scenie na Nowym Świecie (18 IX).

Ważne zmiany także na drugim końcu Polski. W Gdyni Krzysztofa Babickiego zastępuje w Teatrze Miejskim Marta Miłoszewska. Pierwsza premiera będzie arcylokalna: „**Gdynia. Ballada o miłości**" – adaptacja książki Aleksandry Boćkowskiej „Gdynia. Pierwsza w Polsce", w reżyserii gdynianki – Darii Kopiec. W nieodległym Słupsku dyrekcję Nowego Teatru im. Witkacego obejmuje Zdenka Pszczołowska, która swoją dyrekcję otwiera premierą „**Nauki pływania**" Magdaleny Drab w reżyserii Ewy Rysovej (26 IX).

Wprawdzie w Teatrze Horzycy w Toruniu dyrektor naczelna się nie zmienia, ale po transferze Łukasza Czuja do Legnicy funkcję dyrektora artystycznego obejmuje Piotr Ratajczak. Zapowiedzi premierowe Teatru są prawdziwie ekscytujące: „**Klątwa**" Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii Anny Augustynowicz (29 XI), w styczniu adaptacja opowiadającej o uzależnieniach powieści Marty Markiewicz „**Bez alko i dragów jestem nudna**" w reżyserii Miry Mańki, a w lutym „**Zaklęte rewiry**" Henryka Worcella w wersji Ratajczaka, inspirującego się także współczesną kulturą kulinarną.



PATMIC / MATERIAŁY PRASOWE

Scena ze spektaklu „Teach me not", reż. Wojciech Grudziński, Nowy Teatr w Warszawie, 2025 r.



KAROL BUDREWICZ / TEATR IM. MODRZEJEWSKIEJ W LEGNICY / MATERIAŁY PRASOWE

Scena ze spektaklu „Hamlet. Książę Danii", reż. Krzysztof Kopka, Teatr im. Modrzejewskiej w Legnicy, 2024 r.

W WIELU TEATRACH ważne zmiany dyrekcji i kierunku artystycznego miały miejsce rok, dwa lub trzy lata temu, co już przyniosło oczekiwane, smakowite owoce. Znakomitym przykładem takiego procesu jest Teatr im. Stefana Jaracza w Olsztynie, który pod dyrekcją Pawła Dobrowolskiego w ciągu dwóch sezonów stał się jedną z najwyżej cenionych scen polskich. Swój nowy sezon otworzy z bitewnym i artystycznym hukiem „**Krzyżakami**" Sienkiewicza w reżyserii Jana Klaty, który nad adaptacją powieści pracuje z pochodzącą z Warmii pisarką Isabel Szatrawską (13 IX).

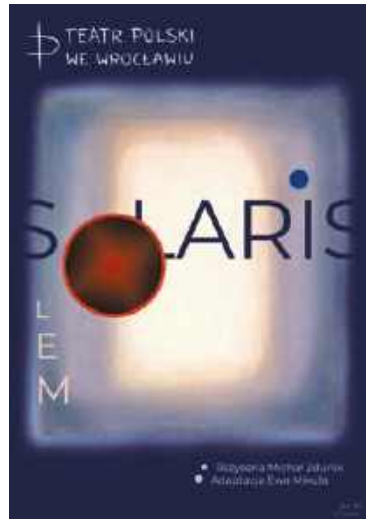
Swój drugi sezon dyrekcji w Narodowym Starym Teatrze w Krakowie Dorota Ignatjew i Jakub Skrzywanek zaczynają od adaptacji „**Bankructwa małego Dżeka**" Janusza Korczaka w reżyserii Macieja Podstawnego (11 X), zapowiadanej jako przeznaczona dla młodych widzów opowieść o „ludzkiej stronie pieniędzy". ↦

↦ Kontynuacją działań z sezonu pierwszego wydaje się „**Piramida zwierząt**” (15 XI) – spektakl Michała Borczucha nawiązujący do słynnego dzieła Katarzyny Kozyry, która w czerwcu zadebiutowała w Starym jako reżyserka. Jest to zarazem jeden z kilku w tym sezonie teatralnych powrotów do sztuki pierwszych lat transformacji ustrojowej. Jeszcze dalej w przeszłość sięgają Ramona Nagabczyńska i Agata Siniarska w choreograficznym przedstawieniu „**Modjeska Syndrome**”, poświęconym wizerunkowi patronki Teatru (5 XII).

Ubiegłoroczna zmiana dyrekcji w Krakowie spowodowała ważne zmiany w Teatrze Nowym w Łodzi i Współczesnym w Szczecinie. Po roku widać, że obie sceny dobrze poradziły sobie z tą sytuacją. Ta pierwsza, kierowana przez Marcina Brzozowskiego, proponuje „**Turystów**”, w których Konrad Imiela zajmie się jednym z najpowszechniejszych i zarazem najbardziej złożonych doświadczeń współczesnego człowieka Zachodu: byciem na wakacjach (12 IX). Odkryciem repertuarowym może się okazać adaptacja „**Sprawiedliwie**” Władysława Reymonta, przygotowana przez Ewę Platt (21 XI).

Michał Buszewicz, który objął kierownictwo Teatru Współczesnego w Szczecinie, musi się mierzyć z kłopotami lokalowymi sceny. Mimo to realizuje swój program teatru twórczo zaangażowanego w dzisiejszy świat. Pierwszą, październikową premierą sezonu będzie „**Very Ibsen**”, swoisty remiks wątków i postaci z dramatów wielkiego Norwega umieszczonych w konwencji skandynawskiego horroru (tekst Patrycja Kowańska, reżyseria Dominika Knapik). Natomiast w listopadzie duet Julia Nowak (tekst) i Olga Ciężkowska (reżyseria) w spektaklu „**Nie całuj mnie teraz**” opowiedzą wręcz niewiarygodną, a prawdziwą historię artystek i bojowniczek ruchu oporu, działających w trakcie niemieckiej okupacji na wyspie Jersey.

Zmiana dyrekcji w Starym miała też swoje echa w Bydgoszczy, gdzie kierownictwo Teatru Polskiego objął współkierujący wcześniej narodową sceną Beniamin Bukowski. Swój drugi sezon rozpocznie od premiery własnej sztuki „**Opętana**” (12 IX), by w kolejnym miesiącu zaprosić na reżyserowaną przez Eugenię Balakirevą „**Medeę**” Eurypidesa (3 X).



MATERIAŁY PRASOWE

Plakat do spektaklu „Solaris” Stanisława Lema w reżyserii Michała Zdunika, Teatr Polski we Wrocławiu

UBIEGŁOROCZNE ZMIANY okazały się fortunne dla ważnych teatrów warszawskich. Po udanym pierwszym sezonie duetu Wojciech Faruga i Julia Holewińska, kierowany przez nich Teatr Dramatyczny w Warszawie zapowiada dalsze intrygujące premiery. Szczególne nadzieje budzi kolejny powrót, tym razem do czasów niespełnionej rewolucji kontrkulturowej, czyli do „**Ery Wodnika**”. W noszącym taki tytuł spektaklu Małgorzaty Warsickiej (11 X) padną pytania o to, w co z dawnych ideałów wierzą niegdysiejsi hippisi, także polscy.

W swoim drugim sezonie kierujący Teatrem Współczesnym w Warszawie Wojciech Malajkat proponuje dwie premiery wzmacniające sens przymiotnika widniejącego w nazwie teatru. Najpierw młody reżyser Patryk Warchoł wystawi dramat Doroty Masłowskiej „**Między nami dobrze jest**” z perspektywy własnego pokolenia (9 X). Następnie po raz kolejny trafią na scenę „**Chłopki**” Joanny Kuciel-Frydryszak, które w Warszawie wyreżyseruje Sławomir Narloch (18 XII).

Trzeci już sezon pod nową dyrekcją Anny Rochowskiej TR Warszawa rozpoczyna od premiery czytania performatywnego „**Procesu Pelicot**” w reżyserii Milo Raua (5 XI), odwołującego się do głośnego procesu o gwałty. Pierwszym nowym spektaklem w repertuarze będzie zaś „**Filokteja. Powrót**” w reżyserii Justyny Wielgus – zrealizowana we współpracy z Teatrem 21 sceniczna refleksja nad zranieniem i samotnością (28 XI).

Warszawska Komedia stanowi na linii „zmiana – kontynuacja” punkt niemal graniczny, bo obecna ekipa rozpoczyna już swój czwarty sezon. A rozpoczyna z przytupem od premiery monodramu „**Król komedii**”, którego bohaterem jest Adolf Dymsza (reżyseria: Marta Miłoszewska, w roli tytułowej: Dawid Dziarkowski, premiera: 20 IX).

NAPIĘCIE MIĘDZY ZMIANĄ a kontynuacją jest szczególnie silne w Teatrze im. Żeromskiego w Kielcach, gdzie na skutek uporu władz województwa wciąż nie wiadomo, kto obejmie dyrekcję po Michale Kotańskim. Pełnomocniczka Teatru Luiza Buras-Sokół na sezon pod przewrotnym tytułem „**Spokojnie, to tylko awaria**” zapowiada nowe spektakle twórców od dawna dobrze w Kielcach znanych: duetu Jolanta Janiczak i Wiktor Rubin (29 XI) oraz Radosława Rychcika.

Kieleccy artyści z pewnością mogą pozazdrościć stabilizacji i wysokiego poziomu takim teatrom jak katowicki Śląski czy gdańskie Wybrzeże. Ten pierwszy rozpoczyna kolejny sezon przedstawieniem „**Strach zżera duszę**”, w którym ceniony i bardzo pracowity duet Hubert Sulima i Jędrzej Piaskowski, odwołując się do twórczości Rainera Wernera Fassbindera, zmierzy się z tematem lęku, jaki rodzi spotkanie lokalności i wielokulturowości (19 IX). Lokalność tym razem z klasyką literatury dla młodzieży spotka się w „**Chłopcach z placu Miarki**” (12 XII). Na motywach „Chłopców z placu Broni” Ferenca Molnára duet Katarzyna Błaszczyńska (tekst) i Bartłomiej Błaszczyński (reżyseria) proponuje nie tylko młodszym widzom odnowioną opowieść o przyjaźni i lojalności.

Teatr Wybrzeże otworzy sezon premierą autorskiego spektaklu Agaty Dudy-Gracz „**Memling, czyli historia końca świata**” (2 X), będącego sceniczną fantazją osnutą wokół historii powstania najsłynniejszego gdańskiego dzieła sztuki. Już dwa dni później (4 X) po raz pierwszy zobaczyć będzie można „**Z miłości**” Alana Ayckbourne’a w reżyserii Radosława B. Maciąga, zaś w grudniu Mariusz Grzegorzek przedstawi własną wersję opowieści o „Nosferatu”.

Jak zawsze oryginalny i ekscytujący program proponuje Teatr Szaniawskiego w Wałbrzychu. W tym sezonie kolejne premiery wybrać mogli w specjalnych



KAROLINA JÓŹWIAK / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU JARACZA W OLSZTYNIE

Scena ze spektaklu „Krzyżacy", reż. Jan Klata, Teatr Jaracza w Olsztynie, 2025 r.

prawyborach widzowie. To ich decyzją w pierwszej połowie sezonu powstaną: „**Dracula**" w reżyserii Zdenki Pszczołowskiej (18 X) oraz „**Diamenty to węgiel, który wziął się do roboty**" Pawła Demirskiego, którego wałbrzyską prapremierę reżyserowała w roku 2008 Monika Strzępka, a do którego teraz powróci Pamela Leończyk (20 XII).

W stabilnie wysokiej formie pozostają też zaprzyjaźnione ze sobą teatry Współczesny we Wrocławiu i Kochanowskiego w Opolu. Ten pierwszy rozpocznie sezon premierą nagrodzonego w konkursie dramaturgicznym „Strefy kontaktu" dramatu Magdaleny Drab „**Strefa 0**" w reżyserii autorki (25 X). Dwa miesiące później planowana jest premiera adaptacji legendarnego już „**Lubiewa**" na podstawie wydanej w 2005 r. powieści Michała Witkowskiego, którą przygotują Jędrzej Piaskowski i Hubert Sulima (24 I).

Scena opolska zacznie sezon od przedstawienia dyrektora Norberta Rakowskiego „**Autentik**" (20 IX), w którym postawione zostanie pytanie o autentyczność. Spektakl powstaje we współpracy z Wrocławskim Teatrem Pantomimy. Ta niezwykła scena rozpocznie sezon we wrześniu zapowiadającym się bardzo interesująco przedstawieniem „**Nowego wspaniałego świata**" według Aldousa Huxleya w reżyserii Anny Obszańskiej (26 IX).

Mimo trudności spowodowanych konieczną przebudową sceny z kontynuowania swojego programu nie rezygnuje Teatr Zagłębia w Sosnowcu, planujący intensywną działalność w różnych lokalizacjach w mieście. Jego pierwszą premierą będzie „**Brzydkie kaczątko**" według Hansa Christiana Andersena (4 X) w reżyserii Agnieszki Płoszajskiej. Kolejny interesujący sezon czeka też widzów z Bielska-Białej. Teatr Polski rozpoczyna bowiem od premiery spektaklu pisanego według kolejnej głośnej książki Joanny Kuciel-Frydryszak „**Służące do wszystkiego**" (26 IX) w adaptacji Zuzanny Bojdy i reżyserii Agaty Puszcz.

Warszawa z pewnością nie jest stolicą stabilności, ale i tu kilka scen z powodzeniem kontynuuje swój program. Tak jest w Studio, które rozpoczęło sezon kameralnym spektaklem Cezarego Tomaszewskiego „**U mnie wszystko w porządku**" (5 IX). Kolejne propozycje na jesień to frapująca rekonstrukcja szachowego pojedynku człowieka i AI: „**AlphaGo_Lee. Teoria poświęcenia**" w reżyserii Natalii Korczakowskiej (27 IX), monodram Dominiki Ostałowskiej „**Nieśmiała dżokejka**" z tekstem Roberta Bolesty w reżyserii Aleksandry Bielewicz (28 XI) oraz prapremierowa „**Magiczna rana**" Doroty Masłowskiej w reżyserii Radosława Maciąga (19 XII).

Na wzbudzającą zainteresowanie nowość zdecydował się warszawski Teatr Polski, który zainauguruje sezon premierą Grzegorza Jarzyny, mierzącego się we współpracy z Romanem Pawłowskim z wyzwaniem, jakim jest szkatułkowa powieść Jana Potockiego „**Rękopis znaleziony w Saragossie**" (26 IX).

SZCZEGÓLNYM SYMPTOMEM stabilności są jubileusze, których w tym roku będzie sporo. Bodaj najważniejszy to 150 lat istnienia Teatru Polskiego w Poznaniu. Rocznica ta uczczona zostanie szalonym tańcem z archiwami, czyli opowieścią o dziejach poznańskiej sceny zatytułowaną „**Pieścidełko. Teatr Narodowy nad Wartą**" w reżyserii Konrada Marka Cichonia (25 IX). Sądząc po zapowiedziach, łatwiej powiedzieć, czego tam nie będzie... Już w nowym roku Polski uczci dwustulecie urodzin Ibsena premierą „**Domu lalki**" w reżyserii Tadeusza Pyrczaka (23 I).

Druga scena poznańska, Teatr Nowy, rozpoczyna sezon dwoma premierami dzień po dniu. Najpierw obejrzeć można ↦

↦ będzie „**Ellen Babić**” Mariusa von Mayenburga w reżyserii Piotra Biedronia (26 IX), a następnie „**Rejs. Historię**”, czyli wyreżyserowane przez Radosława Stępnia spotkanie Gombrowicza z samym sobą w drodze do i z Argentyny (27 IX). W listopadzie na scenie Nowego pojawi się natomiast Szekspirowski „**Koriolan**”, w którym Bartosz Cwaliński i Stanisław Chludziński zderzą starożytny Rzym i współczesną Amerykę.

Drugą obok Poznania niekwestionowaną twierdzą stabilności i stolicą jubileuszy jest Kraków. W tym sezonie 60 lat istnienia świętuje Groteska, nawiązująca przy tej okazji do wspaniałej tradycji teatru Zofii i Władysława Jaremów. Wprost do ich pierwszej premiery „**Cyrku Tarabumba**” odwołuje się otwierająca sezon „Tarabumba! Ale Cyrk...” z tekstem Marty Guśniowskiej, w reżyserii Magdaleny Miklasz-Turny (20 IX).

Cieszący się od lat stałym uznaniem Teatr Ludowy zaprasza we wrześniu na muzyczną wersję „**Folwarku zwierzęcego**” Orwella (27 IX), a w grudniu na kolejny powrót głośnego niegdyś tytułu „**Uroczystość**” Thomasa Vinterberga i Mogensa Rukova w reżyserii dyrektorki Małgorzaty Bogajewskiej.

W ostatnich latach na dialektyce nowości i kontynuacji z powodzeniem buduje swój program Teatr im. Słowackiego, kierowany przez Krzysztofa Głuchowskiego. Śmiało realizując własną wersję sceny narodowej, proponuje pod hasłem „**Naród się zgubił**” całą serię premier zapowiadających się jako ważne wydarzenia.

Na początek Marcin Liber po raz kolejny zanurzy polskie imaginarium i historię w świecie horroru w inscenizacji „**Polish Horror Story**” Jarosława Murawskiego (12 IX). Miesiąc później (10 X) oczekiwana premiera „**Pana Tadeusza**” Wojtka Klemma, który pyta prowokacyjnie, czy epopeja narodowa rzeczywiście opowiada historię wszystkich Polek i Polaków.

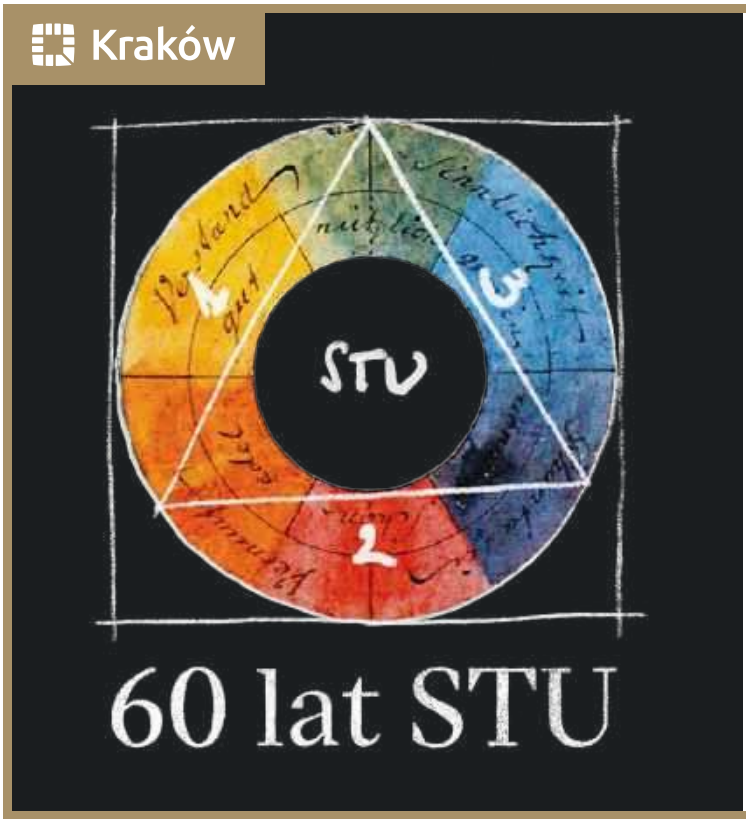
W kolejnej premierze zatytułowanej „**Ciało i krew**” Anna Bas i Iwona Kempa zmierzą się z tabuizowaną w kulturze patriarchalnej tematyką kobiecej krwi i ciała (14 XI), a kilka tygodni później (4 XII) Paweł Miśkiewicz w adaptacji powieści ubiegłorocznej noblistki Han Kang „**Wegetarianka**” podejmie próbę eksploracji tematu buntowniczej rezygnacji z wszystkiego, co uznaje się za ludzkie życie.

Nowy rok Teatr przywita muzyczną wersją „**Antygony**” Sofoklesa, przygotowaną przez Jakuba Roszkowskiego i rapera Bisza (16 I), po czym zacznie się pełne napięcia oczekiwanie na jedno z najważniejszych wydarzeń sezonu: premierę „**Wyzwolenia**” Wyspiańskiego w reżyserii Mai Kleczewskiej (28 II).

Jak widać, między zmianą a kontynuacją dziać się będzie bardzo wiele. A jeśli doda się do tego wydarzenia specjalne, takie jak **Festiwal Łódź Wielu Kultur** (3–12 X) o eksperymentalnym i naprawdę inspirującym programie performatywnym, warszawski festiwal Odin Teatret „**Więcej niż teatr**” z premierą nowego spektaklu Eugenia Barby „**Hamlet's Cloud**” (2–5 X) czy **Festiwal Arcydzieł w Teatrze im. Siemaszkowej w Rzeszowie** (17–25 X), to trudno wątpić, że teatralna jesień obiecuje prawdziwą powódź atrakcji. © DARIUSZ KOSIŃSKI

REKLAMA

Kraków



PREMIERY SEZONU 2025/2026:

PAN TWARDOWSKI FAUST KRAKOWSKI
reż. Krzysztof Jasiński
22 lutego 2026

SPRZEDAWCY GUMEK
reż. Marcin Hycnar
17 października 2025

PACYFIŚCI
reż. Jacek Braciak
3 maja 2026

DOM WESELNY
reż. Robert Gliński
28 września 2025

www.scenastu.pl

KRAKOWSKI TEATR SCENA STU – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

FESTIWAL ŁÓDŹ WIELU KULTUR

03–12 10.25

spotkania
performance
nowe geografie
łódzkie biografie
kultura pracy
muzyka
sztuka
taniec
teatr

wejdź do świata festiwalu

@lodzwielukultur
www.lodzwielukultur.pl

REKLAMA

NFM 10 lat



fot. Łukasz Rajchert

Wraz z inauguracją sezonu artystycznego 2025/2026 Narodowe Forum Muzyki im. Witolda Lutosławskiego rozpocznie drugą dekadę działalności. Przez pierwsze dziesięć lat instytucja ta stała się nie tylko jednym z najprężniej działających ośrodków muzycznych w naszym kraju, ale i miejscem o znaczeniu międzynarodowym – regularnie występują tu najbardziej cenieni artyści. Także w nadchodzącym sezonie nie zabraknie pamiętnych przeżyć. Zapewnią je znakomite zespoły – zarówno gościnne, jak i na stałe obecne w NFM. Na podium dyrygenckim pojawią się zasłużone w historii muzyki postaci, a wiele koncertów odbędzie się z udziałem światowej sławy solistów.

Sala Główna ORLEN, fot. Łukasz Rajchert



MATERIAŁ PROMOCYJNY

KONCERTY W NOWYM SEZONIE 2025/26

26.09 piątek, 19.00
Sala Główna ORLEN

FERRÁNDEZ & SOLTANI | BETTER TOGETHER

Dwaj fenomenalni wiolonczeliści: Pablo Ferrández i Kian Soltani wystąpią z NFM Orkiestrą Leopoldinum. W wykonaniu artystów usłyszymy między innymi kompozycję drugiego z gości, a także dzieła Antonia Vivaldiego, Mieczysława Karłowicza, Alfreda Piattiego czy Giovanniego Sollimy.

17.10 piątek, 19.00
Sala Główna ORLEN

GALA OPEROWA – JONATHAN TETELMAN

Podczas gali operowej, gdy NFM Filharmonię Wrocławską poprowadzi Gianluca Marcianò, jako solista wystąpi Jonathan Tetelman. W programie znajdą się dzieła Charles'a Gounoda, Jules'a Masseneta, Giuseppe Verdiego, Umberta Giordana, Pietra Mascagniego i Giacoma Pucciniego.

24.10 piątek, 19.00
Sala Główna ORLEN

25.10 sobota, 18.00
Sala Główna ORLEN

KONCERT LAUREATKI/LAUREATA II NAGRODY XIX MIĘDZYNARODOWEGO KONKURSU PIANISTYCZNEGO IM. FRYDERYKA CHOPINA

Osoba wyłoniona w XIX edycji konkursu zgodnie z tradycją wykona jeden z dwóch koncertów fortepianowych Chopina. W drugiej części wieczoru zabrzmi *III Symfonia a-moll* „Szkocka" Felixa Mendelssohna Bartholdy'ego, a NFM Filharmonia Wrocławska zagra pod batutą Anny Sułkowskiej-Migoń.

14.11 piątek, 19.00
Sala Główna ORLEN

DAVID MURRAY QUARTET

Tegoroczną, 22. edycję Jazztopad Festival zainauguruje koncert artysty, którego twórczość łączy w sobie całe bogactwo tego, co zwykliśmy określać jako Great Black Music. W tej zbiorczej kategorii jest miejsce dla bluesa, muzyki soul i gospel, dla zachodnioafrykańskich polirytmii i muzyki afrokaraibskiej, wreszcie dla free jazzu czy funku.

4.12 czwartek, 19.00
Sala Główna ORLEN

ORATORIUM NA BOŻE NARODZENIE

Śpiewacy z Chóru Chłopięcego NFM oraz Wuppertaler Kurrende wykonają świąteczne arcydzieło Johanna Sebastiana Bacha. Zabrzmi ono we współudziale czworga solistów i Wrocławskiej Orkiestry Barokowej pod batutą Lukasa Baumanna.

7.12 niedziela, 18.00
Sala Główna ORLEN

JERUSALEM SYMPHONY ORCHESTRA

Muzycy pod batutą Juliana Rachlina wystąpią z wyjątkowo angażującym, zróżnicowanym programem, w którym znajdą się dzieła Ferenca Liszta, Johannesa Brahmsa, Mieczysława Wajnberga i Krzysztofa Pendereckiego.

Organizator:
NFM Narodowe Forum Muzyki

NFM – instytucja kultury współprowadzona przez:
Wrocław miasto spotkań
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dolny Śląsk

Szczegóły

Jubileuszowy sezon Teatru Wielkiego w Poznaniu

Stanisław Moniuszko i jego kontynuatorzy, „Król Roger" w Filharmonii Berlińskiej i operowy Oscar Wilde. Teatr Wielki w Poznaniu zaprasza na jesienne wydarzenia zaplanowane na 115-lecie istnienia instytucji.

Jubileuszowy sezon Teatru Wielkiego w Poznaniu otworzy kolejna edycja „**Festiwalu Moniuszki 03**" (27.09.–8.11.2025), podczas którego – obok dzieł patrona poznańskiej sceny – usłyszymy utwory Zygmunta Noskowskiego i Karola Szymanowskiego. Przed nami koncertowe wykonania oper, kameralny wieczór pieśni, projekt dla najmłodszych oraz interdyscyplinarny **„Speaking Concert"**. Kluczowym wydarzeniem festiwalu będzie premierowa realizacja **„Hrabiny"** Stanisława Moniuszki (10.10.2025). Inscenizację spektaklu powierzono reżyserce Karolinie Sofulak, której wizję dopełnią Katarzyna Tomala-Jedynak (kierownictwo muzyczne), Dorota Karolczak (dekoracje), Ilona Binarsch (kostiumy) oraz soliści wraz z chórem i orkiestrą Teatru Wielkiego w Poznaniu.

Reżyserka swoją koncepcję inscenizacyjną zawarła w haśle **„Sen Niepodległej Pol(s)ki"**. „Hrabina" w interpretacji Sofulak ukazuje różne koncepcje tego, czym jest Polska, i wciąga widza w misternie utkaną sieć powiązań przeszłości z teraźniejszością, dotyka dylematu pomiędzy kosmopolityzmem a patriotyzmem i przywiązaniem do tradycji.

Poznańska premiera „Hrabiny" inspiruje do debaty o tym, jak postrzegamy dynamikę zmian zachodzących w naszym kraju na przestrzeni wieków i czy czujemy się ich częścią. Spektakl nie jest komentarzem zachowań społeczeństwa przełomu XVIII i XIX w., które poddawało się zagranicznym modom i obyczajom, a szukaniem odpowiedzi na pytanie, jaka była i jest rola kobiet w szeroko rozumianej wspólnocie. Finałowym akordem „Festiwalu Moniuszki 03" będzie koncertowe wykonanie jednej z najważniejszych oper XX w., czyli **„Król Roger"** Karola Szymanowskiego (8.11.2025). To mistyczna opowieść o odkrywaniu boskości w ludzkiej naturze, zanurzona w krajobrazie kuszącej kolorami i zapachem gorącego powietrza Sycylii. Muzyczna impresja na temat antyku i orientu, hipnotyzujący obraz poszukiwania prawdy, która wyzwala. Przejdźmy wspólnie sycylijskie ogrody i otwórzmy się na emocje balansujące na styku tego, czego doświadczamy, oraz najskrytszych pragnień.

W tytułowej partii wystąpi Szymon Mechliński, Roksaną będzie Ruslana Koval, a Pasterzem – Andrzej Lampert. Solistów, chór i orkiestrę Teatru Wielkiego w Poznaniu poprowadzi Jacek Kaspszyk. Tuż po poznańskim koncercie dzieło zostanie wykonane w Filharmonii Berlińskiej (12.11.2025). Będzie to czwarta prezentacja Teatru Wielkiego w Poznaniu – po „Halce", „Parii" i „Strasznym dworze" Moniuszki – w jednej z najsłynniejszych sal koncertowych świata w ramach cyklu koncertów z muzyką polską. Zapraszamy na jedno z kluczowych wydarzeń promujących kulturę polską za granicą w 2025 roku.

Po „Hrabinie" i koncertowych prezentacjach „Króla Rogera" przyjdzie czas na prapremierę **„Doriana Graya"** (23.11.2025) – operową odsłonę powieści Oscara Wilde'a. Niewinność i niczym nieskażone piękno w pułapce kultu młodości w operze skomponowanej przez Elżbietę Sikorę (w ramach programu „Zamówienia kompozytorskie", realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca) i inscenizacji Davida Pountneya. Za pulpitem dyrygenckim stanie Jacek Kaspszyk.

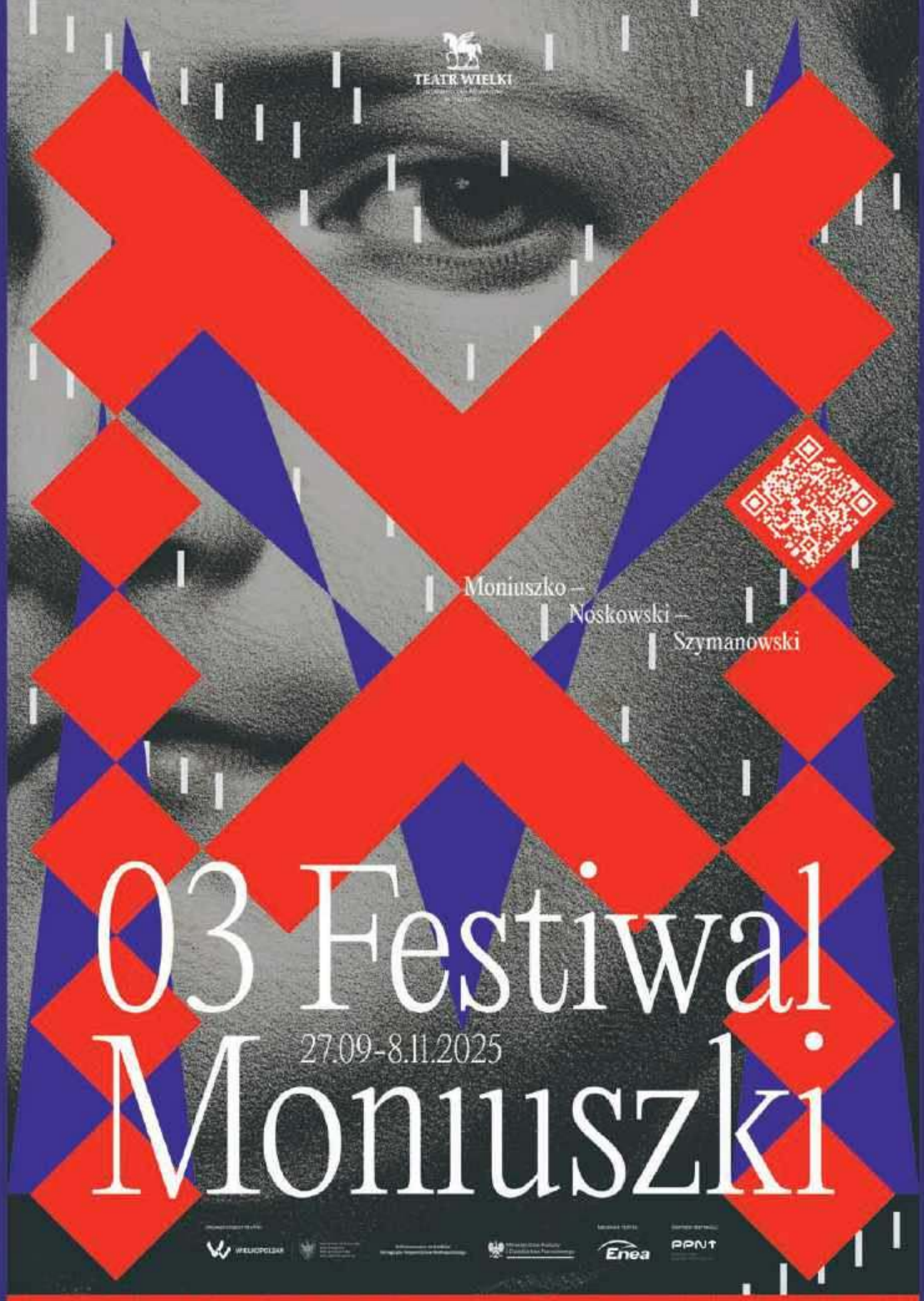
Historia Doriana Graya, który sprzedał duszę w zamian za wieczną młodość, jest równie fascynująca, co tragiczna. Życzenie Doriana, by pozostać młodym i zachować piękno uchwycone w jego portrecie, urealnia się. Czy dzięki temu doświadcza absolutu szczęścia i czuje się spełniony? Każdy występek Doriana znajduje odzwierciedlenie w obrazie – twarz i postać Graya wyglądają szpetnie, trudno dostrzec szlachetne rysy i urzekającą urodę. Nie jest to jednak istotne, ponieważ on sam, przynajmniej na jakiś czas, zachowuje młodość i piękno. Czy opera „Dorian Gray" to lustrzane odbicie współczesnego społeczeństwa? Czy znajdziemy odpowiedź na pytanie o to, w jakim kierunku zmierza odwieczna walka dobra ze złem? Przekonamy się już niebawem.

Moniuszko, Szymanowski, Sikora – opery XIX, XX i XXI w. w roku jubileuszu 115-lecia poznańskiej sceny. Przed nami zaskakujące inscenizacje, maestria wykonania i inspiracja do zachwytu nad twórczością polskich kompozytorów. Teatr Wielki w Poznaniu zaprasza na jesienne wydarzenia.

Więcej na stronie:
opera.poznan.pl

MATERIAŁ PROMOCYJNY

ORGANIZATORZY TEATRU
WIELKOPOLSKA
INSTYTUCJA KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO
Dofinansowano ze środków Samorządu Województwa Wielkopolskiego
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
MECENAS TEATRU
Enea
TEATR WIELKI im. Stanisława Moniuszki w Poznaniu



Zygmunt Noskowski **Wyrok** - ***wykonanie koncertowe*** • *Recital* **Zuzanna Nalewajek i Michał Biel**
Stanisław Moniuszko **Hrabina** • *Speaking Koncert* **Oj, Halino! - Czyli Moniuszko i jego Halka**
Koncert dla dzieci **najnajNOSKOWSKI** • *Karol Szymanowski* **Król Roger** - ***wykonanie koncertowe***



HAWA DLA NARODOWEGO STAREGO TEATRU W KRAKOWIE X2

„Sceny z życia małżeńskiego", reż. Katarzyna Minkowska, od lewej: Szymon Czacki, Magda Grąziowska, Ewa Kaim, Michał Majnicz

Miejsce, w którym jesteś u siebie

Narodowy Stary Teatr nie jest plemienny, nie jest partyjny, nie jest pomnikiem przeszłości, ale platformą współczesności i zaangażowania. W rzeczywistości, która atakuje nas informacjami o ciągłych podziałach i sporach, szukamy przestrzeni do wspólnego bycia.

Daria Będkowska

Na międzyludzkie relacje oraz teatr patrzymy przez pryzmat wspólnoty. To poprzez obywatelską wrażliwość i solidarność przepuszczamy „Bankructwo małego Dżeka" Janusza Korczaka, aby z lekcji ekonomii wkraczający w dorosłość uczniowie wynieśli przede wszystkim umiejętność komunikacji. Z książki o uczniowskiej spółdzielczości Maciej Podstawny i Dorota Kowalkowska, poprzez emocje i śmiech, wydobywają takie wartości jak równość, sprawiedliwość i demokracja. Ich mrocznym rewersom przygląda się Luk Perceval w „Seksie, hajsie i głodzie", wskazując dobitnie za Emilem Zolą, do czego doprowadza w praktyce brak społecznych więzi i źle pojęty kapitalizm.

Demokrację postara się zdiagnozować w tym sezonie Michał Borczuch. Zrobi to z Mateuszem Górniakiem, w spektaklu inspirowanym rzeźbą Katarzyny Kozyry – artystki wizualnej, która niedawno zadebiutowała w Starym Teatrze jako reżyserka (wraz z Krysią Bednarek) „Rewizji procesu Jezusa". „Piramida zwierząt" Borczucha to radykalna lekcja demokracji i wolności udzielana przez artystów wizualnych, którzy w latach 90. ubiegłego wieku swoimi pracami wzniecali skandal za skandalem. Ich krytyczne interwencje w przestrzeń publiczną to przyczynek do szerszej refleksji nad wpływem sztuki na społeczeństwo i politykę.

Pozostając w epoce transformacji ustrojowej, sprawdzimy także, w jaki sposób władza państwowa może arbitralnie narzucić jednostronną, wykluczającą narrację, wpływając na losy tysięcy ludzi. Skutkom takich ideologicznych machinacji przyjrzą się Iga Gańczarczyk i Remigiusz Brzyk w koprodukcji z Teatrem TV, w spektaklu opartym na reportażu historycznym „Aborcja i demokracja" Marcina Kościelniaka. Zagubienie w politycznej zawierusze i poszukiwanie wolności to tematy, wokół których krąży również Olga Ciężkowska w „Nieustraszonej miłości Eve Adams", pokazywanej na prestiżowym, międzynarodowym showcase'ie „Generation. After".

Na teraźniejszość chcemy spojrzeć przez pryzmat najbliższych relacji, bo teatr „narodowy" to teatr utkany z więzi, rodzinny i bliski, co udowodniły już w swoich czułych narracjach Katarzyna Minkowska „Scenami z życia małżeńskiego" według

MATERIAŁ PROMOCYJNY



Piotr Domalewski podczas pierwszej próby do spektaklu „Zamknij oczy, Nel", lipiec 2025 r.

Ingmara Bergmana czy „Orlandem. Bloomsbury" oraz Ewelina Marciniak „Genialną przyjaciółką" na podstawie powieści Eleny Ferrante. Pragniemy kontynuować ten nurt intymnych opowieści, dlatego do Starego Teatru powracają w tym sezonie, po dłuższej przerwie, Remigiusz Brzyk i Paweł Demirski. Ich „Hamlet. Adopcja" to szczera, oparta na osobistych doświadczeniach rozmowa o zaniedbywanym, choć tak ważnym zagadnieniu ojcostwa.

W Narodowym Starym Teatrze bliskie więzi tworzymy poprzez snucie mikrohistorii. O tych najlepiej mówi się na niewielkiej Nowej Scenie, gdzie wciąż można obejrzeć, goszczące na licznych festiwalach, „Dzieje grzechu" Wojtka Rodaka. To tam także Elsa Revcolevschi – pierwsza zagraniczna rezydentka w Narodowym Starym Teatrze – sprawdzi, jak pamięć indywidualna i zbiorowa przemieszcza się między tym, co prywatne, i tym, co publiczne. Pamięć, która jest budulcem naszej narodowej i osobistej tożsamości, to także lejtmotyw „Schronu przeciwczasowego" Marcina Wierzchowskiego z wybitną, głęboko wzruszającą rolą Anny Dymnej.

O tym, że „narodowy" jest daleki od narzuconych odgórnie narracji, chcemy mówić głośno, pokazując tematy aktualne, społecznie ważne, etycznie poruszające i przede wszystkim dotykające nas samych. Dlatego dajemy przestrzeń do autorskiej wypowiedzi osobom młodym, często przed oficjalnym debiutem, poprzez program rezydencji dramaturgicznych. Dramaty, które powstały w ich trakcie, zostaną zebrane w antologiach „Rok 2081. Teksty dla teatru przyszłości" oraz „Światy możliwe" pod redakcją Agaty Dąbek.

Dotykanie tematów bolesnych, rezonujących z tu i teraz, to specjalność Jakuba Skrzywanka i Jana Czaplińskiego. Ich „Zamach na Narodowy Stary Teatr. Narodziny narodu" wywołał ogromne poruszenie w ubiegłym sezonie teatralnym. Teraz, w adaptacji głośnej powieści „Requiem dla snu" Huberta Selby'ego Jr., twórcy przedstawią brutalną diagnozę współczesności napędzanej dopaminowym hajem. Współczesności, w której nasze ciała wpadają w błędne koło – wciąż pobudzane, rozpędzane do nadludzkich prędkości muszą w końcu za to wszystko zapłacić sobą.

„Narodowy" znaczy także wspólnotowy, spajający, szukający podobieństw w różnorodności. Opowieścią o stwarzaniu polskości, która nieustannie pozostaje w ruchu, i procesie ciągłego odradzania, jest „Straszny dwór" Anny Obszańskiej – spektakl choreograficzny rozbrajający narodowe mity.

O budowaniu własnej narracji, potrzebie samostanowienia, odbudowie tożsamości ze zgliszczy będzie mówił także nagradzany reżyser filmowy, debiutujący w teatrze, Piotr Domalewski. Spektaklem „Zamknij oczy, Nel. W pustyni i w puszczy – epilog" w sposób krytyczny przyjrzy się polskim zapędom kolonialnym, którym hołdowali zarówno fikcyjni bohaterowie Henryka Sienkiewicza, jak i autentyczni przedstawiciele Ligi Morskiej i Kolonialnej fantazjujący o polskim imperium.

Koncentrując się na tym, co ważne dla naszej wspólnoty, patrzymy szerzej na problemy globalne. Poszukujemy inspirujących twórców i twórczyń z różnych kręgów kulturowych, mogących wnieść świeże spojrzenie na ważne aktualnie tematy. Naszą scenę oddajemy artystom i artystkom z różnych środowisk – tańca, operetki, kabaretu, drag queen – żeby szukać głębiej, wychodzić ze strefy komfortu, jaką daje tradycyjny teatr dramatyczny. W naszym repertuarze wciąż można zobaczyć paradokumentalny spektakl „Ziemia jest płaska" niemiecko-niderlandzkiego performera Juliana Hetzela, pokazujący, jak manipulują nami media. Już teraz pracę nad spektaklami zaczynają multidyscyplinarni reżyserzy François Chaignaud i Choy Ka Fai – krążący wokół różnych aspektów cielesności. Z zespołem aktorskim warsztaty poprowadzi również Philippe Quesne, przygotowując się do premiery zaplanowanej za 2 lata.

Wiemy doskonale, że naród podtrzymuje w jedności także wspólna przeszłość, dlatego starannie kultywujemy pamięć o niej. Muzeum Interaktywne MICET przypomina archiwalne spektakle, niezapomniane kostiumy czy rekwizyty. Wspominamy „Legendy Starego Teatru" i ich miejsce w naszej historii. I choć moglibyśmy wypełnić cały gmach pomnikami najważniejszych osobistości polskiego teatru, które tworzyły w Starym swoje spektakle, próbujemy raczej czerpać z pozostawionej nam spuścizny, tworząc teatr przywiązania, zaangażowania i różnorodności.

Próbujemy tworzyć miejsce, w którym każdy, kto czuje się częścią polskiej wspólnoty narodowej, znajdzie dla siebie przestrzeń. Narodowy Stary Teatr w Krakowie to miejsce, w którym jesteś u siebie.

ZOBACZ REPERTUAR
I KUP BILET NA
WWW.STARY.PL
LUB NA

NARODOWY
STARY TEATR



WILLEM POPELIER / NOWY TEATR / MATERIAŁY PRASOWE

Scena ze spektaklu „NarcoSexuals", reż. Dries Verhoeven. Spektakl wystawiany jest w ramach 6. Międzynarodowego Festiwalu Nowa Europa: Lekki Hardcore w Nowym Teatrze, który potrwa do grudnia 2025 r. Poza tym zobaczyć będzie można spektakle Tiziano Cruza, Sophie Rodriquez i Katy Baird.

Za zamkniętymi drzwiami

DRIES VERHOEVEN, reżyser: Kultura queer została oswojona, wpisana w logikę klasy średniej. To daje poczucie bezpieczeństwa, ale pozbawia buntowniczej energii. Ale opowiedzieć sąsiadom o seks-imprezie? To wciąż tabu. Tymczasem w pandemii tego typu spotkania cieszyły się ogromną popularnością.

MICHAŁ SOWIŃSKI: O czym jest „NarcoSexuals"?
DRIES VERHOEVEN: To godzinny performance ukazujący świat chemseksu, czyli seksu pod wpływem narkotyków. Widzowie obserwują dom, w którym noc spędza siedem osób. Mogą ich podglądać, słyszą też, co się dzieje w środku. To teatralna abstrakcja, która ma pobudzić refleksję o świecie przyjemności i ryzyka, o tym, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami.

Czy spektakl ma być kontrowersyjny?
Tytuł sugeruje skandal, ale wielu widzów zobaczyło w nim raczej czułość i potrzebę wspólnoty niż prowokację. Interesuje mnie samotność i potrzeba więzi, nie tania sensacja.

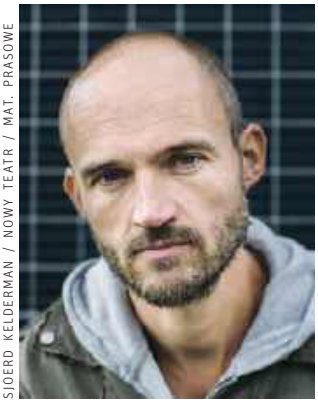
Dziś nic już nie wydaje się kontrowersyjne.
To zależy od kontekstu. Wszyscy staliśmy się mistrzami w podwójnym życiu: dziennym, sterylnym – i nocnym, bardziej wyzwolonym. Społeczeństwo wymusza ten podział, więc część pragnień znajduje ujście w sferach prywatnych, ukrytych.

Czyli kultura queer straciła swój wywrotowy potencjał?
Myślę, że tak. Dawniej była kontrkulturowa, podważała normy. Dziś została oswojona, wpisana w logikę klasy średniej. To daje poczucie bezpieczeństwa, ale pozbawia buntowniczej energii. Łatwiej wpasować się w model „dobrego życia" – z partnerem, domem i kredytem – niż walczyć z systemem.

Tak to wygląda dziś w Amsterdamie?
W latach 70. i 80. wyzwolenie seksualne było aktem politycznym, budowaniem wspólnoty przeciw *status quo*. Dziś gej z partnerem są akceptowani, o ile wpisują się w model „dobrego życia". Ale opowiedzieć sąsiadom o seks-imprezie? To wciąż tabu. Korzystają na tym m.in. dilerzy, bo narkotyki są powszechne, choć nielegalne i obarczone stygmą. Sama orientacja nie jest skandalem – problemem pozostaje to, co wykracza poza sterylne ramy naszego życia.

Co mogłoby być alternatywą dla tego modelu?
Nie mam gotowego rozwiązania. Nie tworzę programu politycznego, raczej otwieram przestrzeń do refleksji. Marzy mi się świat, w którym nie musimy rozdzielać tożsamości – w dzień i w nocy jesteśmy tymi samymi ludźmi. Sztuka może być takim laboratorium, miejscem do eksperymentowania z innymi formami wspólnoty.

Czyli sztuka jako szukanie alternatyw?
Dla mnie sztuka to sposób, by mierzyć się z problemem. Pozwala go nazwać i pokazać, jak nocne życie łączy się z systemem, który wymaga od nas produktywności. Nie chodzi o zakazy, ale o pytanie, dlaczego system odbiera nam wspólnotę, czyni samotnymi i zawstydzonymi. Techno-kapitalizm uczy rywalizacji zamiast więzi. Nic dziwnego, że wielu sięga po używki – jedni, by sprostać wymaganiom, inni, by od nich uciec. Ważniejsze jest pytanie: z jakiego systemu ta potrzeba się bierze?



SJOERD KELDERMAN / NOWY TEATR / MAT. PRASOWE

Samotność wydaje się kluczowym tematem całego projektu.
Chemseks to tylko plaster – chwilowa odpowiedź maskująca głębsze problemy, między innymi z poczucia alienacji. Z drugiej strony w pandemii tego typu spotkania wybuchły ze zdwojoną siłą, cieszyły się popularnością, bo potrzeba bycia razem, nawet w półtajnych wspólnotach, okazała się silniejsza niż strach przed wirusem. Dlatego można to widzieć szerzej – jako próbę budowania wspólnoty. Pragnienie zniknięcia w grupie, wyrwania się spod presji ocen. Aplikacje randkowe rządzą się logiką rynku, ale rośnie tęsknota za czymś innym.

A reakcje publiczności?
Zależą od tego, kto z czym przychodzi do teatru. Niektórzy dziękowali nam, bo rozpoznawali w spektaklu coś z własnego życia. Pamiętam terapeutę, który powiedział, że dopiero po jego obejrzeniu zrozumiał, o czym mówią jego pacjenci – zanim zacznie się mówić o uzależnieniu, trzeba pojąć, czym jest pragnienie. Inni myśleli o swoich dzieciach, czuli zazdrość – niektórzy chcieli wejść do środka i dołączyć. Spektakl przypomina o potrzebie zabawy i swobody, ale pokazuje też jej ciemne strony. Utopia i dystopia istnieją tu obok siebie. ©℗

DRIES VERHOEVEN jest holenderskim artystą wizualnym i twórcą teatralnym, który zajmuje się sztuką instalacji, sztuką performance i interwencjami publicznymi. Jego prace poruszają tematykę społeczną i polityczną. Od 2020 r. jest członkiem Akademie van Kunsten.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

CHRIS BOTTI







17.10
KATOWICE
NOSPR

18.10
BIELSKO-BIAŁA
CAVATINA HALL

19.10
POZNAŃ
SALA ZIEMI POZNAŃ
CONGRESS CENTER

20.10
WROCŁAW
NARODOWE
FORUM MUZYKI

21.10
WARSZAWA
TEATR MUZYCZNY
ROMA

GOOD TASTE! RMF CLASSIC

GREGORY PORTER

18.01.2026
KATOWICE
NOSPR

GOOD TASTE!



JAMIE CULLUM

Niedziela	19.04.2026	**Katowice**	NOSPR
Poniedziałek	20.04.2026	**Warszawa**	Teatr Wielki - Opera Narodowa



GOOD TASTE!

AlphaGo_Lee. Teoria Poświęcenia

Spektakl Teatru Studio jest rekonstrukcją pojedynku człowieka z AI. Stawia pytania o społeczne oraz środowiskowe koszty postępu technologicznego.



MATERIAŁY PRASOWE TEATRU STUDIO W WARSZAWIE

Rok 2016, Seul. W nowo wybudowanym hotelu Four Seasons rozgrywa się historyczny pojedynek: koreański mistrz gry planszowej Go, Lee Sedol, staje naprzeciw programu komputerowego AlphaGo, opartego na sztucznej inteligencji. Ludzki gracz niesie na swoich barkach ciężar reprezentowania całej ludzkości. Po trzeciej porażce z rzędu, podczas konferencji prasowej mówi: „Myślę, że tym razem rozczarowałem zbyt wielu z was. Chciałbym prosić o przebaczenie za swoją bezsilność. Nigdy nie czułem takiej presji, takiego ciężaru. Myślę, że byłem zbyt słaby, by to przezwyciężyć".

„Epokowy mecz" został zorganizowany przez Google DeepMind z Londynu, twórcę programu AlphaGo, by wywołać globalne zainteresowanie mediów i przygotować grunt pod planowany wówczas powrót firmy na rynek chiński. Precyzyjnie zaplanowana kampania PR-owa dotarła do milionów odbiorców na całym świecie, kreując symboliczny moment ostatecznej porażki człowieka w konfrontacji z AI.

Spektakl Natalii Korczakowskiej – będący teatralną rekonstrukcją tego pojedynku jako rytuału – angażuje publiczność w proces tworzenia przedstawienia i stawia pytania o społeczne oraz środowiskowe koszty postępu technologicznego. Integrując działania widzów z najnowszymi narzędziami cyfrowymi, projekt zmienia i redefiniuje znaczenie „uczestnictwa" w wydarzeniu teatralnym.

AI to nie nadczłowiek, jak próbuje nas przekonać przemysł technologiczny. Przestrzeń teatru – przestrzeń współuczestnictwa, aktywnego odbioru i wpływu – daje nam możliwość skonfrontowania się z narracją o wszechwładzy sztucznej inteligencji.

Do współtworzenia spektaklu Natalia Korczakowska zaprosiła Marca da Costę – multimedialnego artystę związanego z ONX Studio w Nowym Jorku, który jest odpowiedzialny za cyfrową warstwę spektaklu. We współpracy z Marcinem „Kitty" Kossakowskim, twórcą interaktywnych animacji, będą sprawdzać potencjał sztuki cyfrowej w teatrze, testować ideę cyfrowej scenografii. Za instalację stworzoną z ekranów i kostiumy odpowiedzialny jest Marek Adamski. Sung Im Her – koreańska choreografka związana z NeedCompany, znana z ekspresyjnego języka ruchu łączącego cielesność i technologię – odpowiedzialna jest za choreografię. Marcin Lenarczyk i Dominik Ossowski stworzą warstwę muzyczną, a Rafał Paradowski podjął się reżyserii światła i live video.

Prace nad spektaklem były możliwe dzięki wizytom studyjnym Natalii Korczakowskiej w Korei Południowej, Tokio oraz Londynie. W trakcie podróży reżyserka odwiedziła miejsca kluczowe dla historii legendarnego meczu pomiędzy Lee Sedolem a AlphaGo. Pierwsza otwarta próba spektaklu miała miejsce 17 maja 2025 r. w prestiżowym Battersea Arts Centre w Londynie, które zostało partnerem produkcji realizowanej przez warszawskie Studio. W wydarzeniu wzięła udział międzynarodowa publiczność, a także eksperci z dziedziny sztucznej inteligencji, nowych technologii oraz gry Go.

Podczas przygotowań do spektaklu Korczakowska miała również możliwość przetestowania Fabuli – nowego narzędzia AI opracowanego przez zespół Google DeepMind. Choć tekst spektaklu powstał wcześniej tradycyjną metodą, reżyserka podzieliła się doświadczeniem, wspierając rozwój tej innowacyjnej technologii.

Premiera spektaklu: 27 września 2025 r.

STUDIO
teatrgaleria

MATERIAŁ PROMOCYJNY


WALDEMAR
CWENARSKI
mnwr.pl
CZUŁOŚĆ. POWROTY I POSZUKIWANIA
28.09.2025 — 18.01.2026
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Muzeum Narodowe we Wrocławiu jest instytucją kultury prowadzoną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Mecenas Muzeum Narodowego we Wrocławiu
Bank Polski
Pawilon Czterech Kopuł
Pawilon Czterech Kopuł
Muzeum Sztuki Współczesnej
Oddział Muzeum Narodowego
we Wrocławiu
ul. Wystawowa 1

REKLAMY


NAJLEPSZY KONCERT TEJ JESIENI
THE BEST CONCERT THIS FALL
BILETY/TICKETS: EBILET.PL
SKLEP.ARENAKRAKOW.PL
TO KRAKÓW TWORZY
METAMORFOZY
FEAT. SMOLIK
KRAKÓW CREATES
METAMORPHOSES
FEAT. SMOLIK
10.11.2025
ZAPRASZA ARENA KRAKÓW SA
SMOLIK
KURZAWSKA
MIUOSH
SOWSKA
BRODKA
KEV FOX
ATOM STRING QUARTET
ROBUCK
ARTO
FACTORY
interia
NOVOTEL



KIRSTEN MCTERNAN / MATERIAŁY PRASOWE

29. Festiwal „Korczak Dzisiaj”



MATERIAŁY PRASOWE

Scena ze spektaklu „Sowa w domu” teatru Iolo z Walii. Po prawej: „The Sticky Dance”– spektakl taneczny grupy Second Hand Dance z Anglii

Tegoroczna edycja festiwalu odbywa się pod hasłem „Wyobraź to sobie, sobie”, podkreślając rolę wyobraźni jako przestrzeni wolności, dialogu i budowania relacji.

W dniach 17-25 października 2025 r. Warszawa stanie się sceną dla 29. Międzynarodowego Festiwalu Teatrów dla Dzieci i Młodzieży „Korczak Dzisiaj”, organizowanego przez Polski Ośrodek ASSITEJ. Motywem przewodnim jest twórczość z Wysp Brytyjskich, prezentowana dzięki partnerstwu z British Council w ramach UK/Poland Season 2025. W programie znalazły się dwa pokazy zagraniczne: „Sowa w domu” Teatru Iolo z Walii, subtelna opowieść o samotności i przyjaźni, oraz interaktywny spektakl taneczny „The Sticky Dance” grupy Second Hand Dance z Anglii. Uzupełnieniem będzie konferencja „Focus: Wielka Brytania i Irlandia” poświęcona sztuce performatywnej dla dzieci o zróżnicowanych potrzebach.

Publiczność obejrzy także siedem konkursowych spektakli z Polski, m.in. „Małego Księcia” (Banialuka), „Przygody Koziołka Matołka” (Teatr Polski w Warszawie), „Karolcię” (Wrocławski Teatr Lalek), „Pinok.IO” (Teatr Maska), „Oskara i rzeczy” (Pleciuga), „Uszy Duszy” (Teatr Atofri), „Wyobraźnię” (Teatr Lalka) oraz przewrotny „You can fail. Porażka show” (Teatr Komedia i Teatr 21). Spektakle rywalizować będą o Grand Prix im. Janusza Korczaka, Nagrodę im. Stefanii Wilczyńskiej i Nagrodę Machulskich, przyznawane zarówno przez międzynarodowe jury dorosłych, jak i Jury Młodych – nastoletnich widzów.



Kulminacją wydarzenia będzie polska prapremiera międzynarodowego projektu „Strażnicy Bogów” autorstwa Erika Uddenberga, w reżyserii Gustava Deinoffa (Unga Klara, Sztokholm). Spektakl opowiada o doświadczeniu dzieciństwa w świecie dorosłych i zakończy festiwal wraz z ogłoszeniem wyników konkursu.

Oprócz pokazów teatralnych festiwal tworzy przestrzeń dialogu i edukacji – poprzez Klub Dobrej Rozmowy, warsztaty, debaty i rezydencje studenckie. „Korczak Dzisiaj” podkreśla, że młoda publiczność to nie tylko „widzowie przyszłości”, lecz współtwórcy kultury tu i teraz.

MATERIAŁ PARTNERA

TYGODNIK POWSZECHNY

ZAPISZ SIĘ NA NEWSLETTERY

I CZYTAJ NAJLEPSZE TEKSTY TYGODNIKA, KIEDY CHCESZ!



HORYZONTY NAUKI

Nauka, która fascynuje. Odkrycia, nowe technologie i przełomowe badania – rzetelna analiza zamiast sensacyjnych nagłówków.

Prowadzi **ŁUKASZ KWIATEK**

TYGODNIK SMAKÓW



Smakuj życie z Pawłem Bravo. Opowieści o jedzeniu, kulturze kulinarnej i smakach, które czynią świat bogatszym.

Prowadzi **PAWEŁ BRAVO**



SPOŁECZEŃSTWO

Życie wokół nas: reportaże, rozmowy i analizy o tym, co porusza, dzieli i łączy ludzi.

Prowadzą **PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, ANNA GOC** & **MAREK RABIJ**

MOC KOBIET



Opowieści o kobietach i sprawach dla nas ważnych: bez lukru, tabu i stereotypów. Niezwykłe bohaterki i autorki z prawdziwą dziennikarską mocą.

Prowadzi **EWELINA BURDA**, zastępczyni Redaktora Naczelnego

dowiedz się więcej! TygodnikPowszechny.pl/newsletter

FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH X6 // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



KAROL KOWALIK / MUZEUM NARODOWE W POZNANIU

Aleksander Gierymski, „Wnętrze mieszkania Gierymskich w Monachium”, 1870–1872, kolekcja Muzeum Narodowego w Krakowie

Jesień w galeriach i muzeach. Wszystko, co musisz wiedzieć

PIOTR KOSIEWSKI

W tym sezonie muzea i galerie będą przypominały historyczną twórczość i opowiadały o współczesności. Pokażą związki między przeszłością a tym, czego doświadczamy obecnie. Nie zabraknie wielkich nazwisk, ale przede wszystkim będzie można zobaczyć twórczość mniej znaną.



MNW / MATERIAŁY PRASOWE

Witold Wojtkiewicz, „Orszak", z cyklu „Z dziecięcych póz", 1908, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, depozyt w Muzeum Narodowym w Warszawie

W warszawskiej Królikarni, oddziale stołecznego Muzeum Narodowego, nadal można obejrzeć rzeźby Jadwigi Bohdanowicz, Miki Mickun i Olgi Niewskiej. Artystek cenionych, które na długie lata zostały przez publiczność zapomniane. Wszystkie one reprezentują pierwsze pokolenie twórczyń, które mogło profesjonalnie zajmować się sztuką. Studiowały we Francji u Antoine'a Bourdelle'a, jednego z najwybitniejszych rzeźbiarzy przełomu XIX i XX w.

Trwająca do 26 października ekspozycja „**Kierunek Paryż. Polskie artystki z pracowni Bourdelle'a**" nie jest jedyną wystawą zwracającą uwagę na sztukę kobiet. Krócej, bo do 5 października, w Muzeum Narodowym w Lublinie można zobaczyć „**Co babie do pędzla?! Artystki polskie 1850-1950**", największą jak dotąd ekspozycję poświęconą twórczości kobiet w Polsce: znalazło się na niej ponad 500 prac 133 artystek: obrazów, rzeźb, rysunków i grafik. To unikalna okazja, by zobaczyć nie tylko prace uznanych dziś twórczyń – jak Olga Boznańska, Zofia Stryjeńska czy Katarzyna Kobro – ale przede wszystkim dzieła tych znanych wąskiemu gronu specjalistów, jak Maria Dulębiańka czy Aniela Menkes.

Ważnym wydarzeniem 2024 r. było wydanie nowego przekładu słynnego tekstu Lindy Nochlin „Dlaczego nie było wielkich artystek?", który miał zasadnicze znaczenie dla odkrywania sztuki kobiet. Pod koniec września tego roku zostanie opublikowane polskie tłumaczenie „Dawnych mistrzyń" Griseldy Pollock i Rozsiki Parker, kolejnej ważnej książki, która zmieniła nie tylko postrzeganie artystek, ale też pokazywała, w jaki sposób ich twórczość była wymazywana z historii sztuki.

Wreszcie 21 listopada w warszawskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej otworzy się kolejna monumentalna wystawa, „**Kwestia kobieca: 1550-2025**", pokazująca, że wbrew stereotypom kobiety nie tylko tworzyły, ale także zajmowały ważne miejsce w życiu artystycznym. Po raz pierwszy dzieła powstające w Polsce zostaną skonfrontowane z pracami kolejnych pokoleń zagranicznych artystek od Sofonisby Anguissoli, Artemisii Gentileschi, Angeliki Kauffmann i Élisabeth Vigée-Lebrun po Fridę Kahlo, Yoko Ono, Marlene Dumas i Cindy Sherman. Podobnej wystawy nie było dotąd w naszym kraju.

W tym roku wypada 160-lecie urodzin i 85-lecie śmierci Olgi Boznańskiej. Z tej okazji przygotowano specjalne prezentacje jej twórczości. Stołeczne Muzeum Narodowe włączyło w stałą ekspozycję sztuki blisko 30 jej prac ze swych zbiorów (pokaz potrwa do 5 lipca 2026 r.). Muzeum Narodowe w Gdańsku przygotowało z kolei specjalną wystawę, w której twórczość malarki została skonfrontowana z dziełami jej poprzedników oraz tworzących w jej czasach, w tym z obrazami Piotra Michałowskiego, Jacka Malczewskiego, Władysława Ślewińskiego czy Stanisława Wyspiańskiego („**Olga Boznańska i... malarstwo polskie XIX i początku XX wieku**", Pałac Opatów w Oliwie, czynna do 29 marca 2026 r.).

Z kolei „**Boznańska. Kameralnie**" w krakowskim Muzeum Narodowym (czynna do 2 listopada br.) to pokaz nie tylko znanych, ale także od lat nieprezentowanych obrazów, rysowników, szkiców i przedmiotów, którymi na co dzień się otaczała. Są wreszcie na tej wystawie dokumenty rodzinne, w tym wybór listów. To one, a także książki, drobne bibeloty, wreszcie jej ubrania, tworzą codzienny, bardzo intymny portret malarki. W Muzeum Narodowym w Poznaniu od 21 listopada do 7 grudnia także ↦



HAWA / MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM SZTUKI W ŁODZI

Przestrzeń wystawy „W oku cyklonu. Modernizm w Ukrainie", Muzeum Sztuki w Łodzi, 2025 r.



BŁAŻEJ PINDOR / MATERIAŁY PRASOWE KRUPA ART FOUNDATION

Barbara Falender, „Bez tytułu", 1974 r., kolekcja Galerii Studio w Warszawie

↦ odbędzie się pokaz obrazów Olgi Boznańskiej z kolekcji muzeum. Nawet paryskie Musée d'Orsay do końca tego roku włączyło trzy obrazy Boznańskiej do swej stałej ekspozycji.

Wszystkie te i inne prezentacje dają szansę pełniejszego zobaczenia dorobku artystki. Szkoda, że nie pokuszono się o przygotowanie poważnej, jej monograficznej wystawy. Przykład innej – **Józefa Chełmońskiego** – pokazuje, jak dużym zainteresowaniem cieszą się w naszym kraju tego rodzaju przedsięwzięcia. Warszawska odsłona ekspozycji przyciągnęła ponad 208 tys., a poznańska 124 tys. osób, a to jeszcze nie koniec – do 30 listopada można ją oglądać w Muzeum Narodowym w Krakowie. Twórcom udało się pokazać nowe spojrzenie na twórczość autora „Babiego lata" i przybliżyć ją w ciekawy sposób współczesnym odbiorcom.

Wystawy historycznego dorobku kobiet to niejedyne tegoroczne przypomnienia klasycznej już dziś twórczości. Warszawskie Muzeum Narodowe przygotowało jedną z najbardziej oryginalnych ekspozycji w ostatnich latach. 3 października otworzy się **„Czarny karnawał"**, na którym zostaną skonfrontowane prace dwóch bardzo odmiennych, a jednocześnie oryginalnych twórców z przełomu XIX i XX w.: Polaka Witolda Wojtkiewicza i Belga Jamesa Ensora. Obaj byli ważnymi osobami w życiu artystycznym swoich krajów, a jednocześnie różnymi od tego, co działo się w ówczesnej sztuce – szkoda, że dopiero dziś postanowiono zestawić ich dorobek. Łączyło ich też coś więcej: tematyka maskarady, teatru i cyrku, ale też erotyki, śmierci, odchodzenia. Tworzyli obrazy pełne groteski, ironii, czasami żartu, nawet satyry. Wspólne dla obu malarzy jest odwoływanie się do rodzimych tradycji artystycznych, ale na swój własny sposób.

Z kolei do 18 stycznia 2026 r. w poznańskim Muzeum Narodowym można oglądać bardzo obszerną wystawę **„Ukryte znaczenia. Motyw wnętrz w sztuce polskiej od XIX do XXI wieku"** – znalazło się na niej ponad 130 obrazów. Pokazuje ona wnętrza w twórczości polskich artystów i artystek od początku XIX w. po współczesność, od twórców epoki biedermeieru po Wilhelma Sasnala. Autorzy ekspozycji namawiają do uważnego przyjrzenia się temu, co znajduje się na obrazach





MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE X2

Rzeczy osobiste Olgi Boznańskiej

Po prawej: Olga Boznańska, „Autoportret z kwiatami", ok. 1909 r., Muzeum Narodowe w Krakowie

– nie tylko na pierwszym planie, ale też w tle. W jaki sposób przedstawiano pomieszczenia i dlaczego je malowano.

Do 18 stycznia przyszłego roku we wrocławskiej Krupa Art Foundation potrwa wystawa **„Ciało. Rozkosz i ból"**. Znalazły się na niej prace klasyczek współczesności: urodzonej w 1911 r. francusko-amerykańskiej rzeźbiarki Louise Bourgeois, Aliny Szapocznikow i Barbary Falender. Są na niej wreszcie prace urodzonej 1972 r. Chloe Piene, zafascynowanej twórczością swoich poprzedniczek. Artystki reprezentują różne pokolenia, ale wspólną fascynację cielesnością, seksualnością, pożądaniem oraz, z drugiej strony, chorobą, starzeniem i umieraniem.

Współczesna sztuka coraz częściej wkracza do galerii zajmujących się dotąd przede wszystkim sztuką dawną, w tym do rezydencji królewskich. W Zamku Królewskim na Wawelu jest obecna już od dłuższego czasu. Najpierw były to pojedyncze dzieła Mirosława Bałki, Marcina Maciejowskiego czy Kingi Nowak. W pierwszej połowie tego roku oglądaliśmy wystawę obrazów Łukasza Stokłosy. A już 17 października wernisaż wystawy **„Bez reguł. Abakany i arrasy w komnatach"**. Monumentalne dzieła Magdaleny Abakanowicz zawisną w Sali Senatorskiej obok arrasów Zygmunta Augusta. Po raz pierwszy dzieła artystki zostaną skonfrontowane z dawnymi tkaninami, do których Abakanowicz się odwoływała.

Tego samego dnia publiczność będzie mogła zobaczyć inną wawelską wystawę: **„A może coś innego? Współczesność na Wawelu"**. Zostaną na niej pokazane – co zapewne wiele osób zaskoczy – dzieła współczesnego polskiego malarstwa z wawelskich zbiorów. Okazuje się, że zebrano już małą, ciekawą kolekcję obrazów m.in. Jerzego Nowosielskiego, Henryka Stażewskiego, Jonasza Sterna, ale także Edwarda Dwurnika i Marcina Maciejowskiego. Co więcej, w zbiorach Zamku są bardzo ciekawe, a nieznane przykłady designu z czasów PRL-u, w tym meble wykonane w latach 60. według projektu Mariana Sigmunda. To nie koniec niespodzianek. W nowo zaaranżowanej wawelskiej Zbrojowni (zostanie udostępniona od 27 listopada br.) wśród historycznych obiektów zostanie umieszczona... zbroja-suknia firmowana przez Balenciagę.

Warszawski Zamek Królewski także skonfrontuje przeszłość ze współczesnością. 10 października zostanie otwarta ekspozycja **„Niech nas widzą! Wizerunek, strój, ciało"** (czynna do 8 lutego 2026). To bardzo obszerna wystawa – ok. 250 obiektów – opowiadająca o strojach, ich roli, funkcjach i symbolice, od XVI w. po współczesność. O tym, jak poprzez ubiór definiowano królewskość, rycerskość, męskość czy kobiecość i jak zmieniało się ich rozumienie. W jaki sposób poprzez stroje była i nadal jest określania tożsamość, status społeczny, gust i poglądy. Bowiem, jak podkreślają twórcy wystawy, ubiór „potrafi mówić wprost, ale i zdradzać więcej, niż byśmy chcieli. Bywa zarówno narzędziem ucisku, jak i symbolem wyzwolenia". Zestawiono tu zatem dzieła dawnych mistrzów z pracami współczesnych artystów i artystek, w tym Zofii Kulik i Karola Radziszewskiego, oraz kreacjami największych projektantów mody od Coco Chanel, Elsy Schiaparelli i Christiana Diora po Vivienne Westwood i Alexandra McQueena.

Obecność współczesnej sztuki w królewskich rezydencjach nie oznacza, że nie będzie ciekawych propozycji w galeriach. Przeciwnie – świetną okazją do spotkania ze współcześnie powstającą twórczością, a także z artystami i artystkami działającymi w II poł. XX w. będzie kolejna, ↦



MARCIN KONIAK / MUZEUM NARODOWE W LUBLINIE

Zofia Lewicka, „Portret paryżanki", 1937 r. Wystawa „Co babie do pędzla?!", Muzeum Narodowe w Lublinie

↦ XV edycja **Warsaw Gallery Weekend (WGW)**, wydarzenie, które na stałe wpisało się w pejzaż kulturalny Warszawy, ale też stało się kluczowe na mapie życia artystycznego w naszym regionie. Przyciąga ono tłumy – w ubiegłym roku wystawy pokazane w jego ramach w ciągu 4 dni odwiedziło 15 tys. osób.

Tegoroczna edycja odbędzie się od 19 do 21 września i zaprezentują się na niej 24 galerie. To mniej niż w ostatnich latach, ale w tym roku powstał dodatkowy program, WGW+, w ramach którego będzie można obejrzeć kolejne 26 wystaw zorganizowanych m.in. przez instytucje niekomercyjne. Wszystkie one przygotowały specjalne, bardzo różne wystawy, z których część będzie można oglądać do listopada. Przede wszystkim tegoroczne WGW stwarza jednak okazję do spotkania artystek i artystów tworzących po 1989 r., poczynając od Romana Stańczaka, jednego z kluczowych twórców w latach 90. ubiegłego roku i nie tak dawno przypomnianego – jego nowe prace pokaże Stereo. Gunia Nowik Gallery zaprezentuje najnowsze obrazy Agaty Bogackiej. Dawid Radziszewski pokaże prace Aleksandry Waliszewskiej, artystki, która zajmuje szczególne miejsce w polskiej sztuce – funkcjonuje zarówno w tradycyjnym obiegu artystycznym, jak i poprzez książki, projekty ceramiki, a nawet tatuaży – w środowiskach bardzo od niego odległych. Z kolei Fundacja Galerii Foksal przedstawi obrazy Agaty Słowak, jednej z najciekawszych reprezentantek młodego malarstwa.

Do 1 lutego 2026 r. w Muzeum Sztuki w Łodzi można oglądać wystawę **„W oku cyklonu. Modernizm w Ukrainie"** opowiadającą o unikalnym okresie formowania się nowoczesnej sztuki w tym kraju w pierwszych dekadach XX w. Z kolei **„Voices From Ukraine"**, pokazywana równolegle w różnych odsłonach w trzech instytucjach – BWA w Zielonej Górze (do 26 września), lubelskiej Galerii Labirynt (od 23 września do 16 listopada) i BWA we Wrocławiu (od 26 września do 25 stycznia 2026) – opowiada o kryzysach współczesnego świata z perspektywy kraju, który broni się przed agresją. Ukraińscy artyści i artystki mówią o zagrożeniach, jakie wojna stanowi dla demokracji, wolności, ale także środowiska naturalnego. Wreszcie, jak wpływa na codzienne życie, nie tylko tych, którzy jej doświadczają, ale też wszystkich żyjących w jej cieniu. To pierwsza w tej skali próba opowiedzenia w naszym kraju ukraińskiego doświadczenia.

Wreszcie 3 października w stołecznym Muzeum Sztuki Nowoczesnej rozpocznie się szósta edycja Kijowskiego Biennale, zatytułowana **„Bliski Wschód, Daleki Zachód"**. Uczestniczki i uczestnicy z różnych krajów, w tym Dana Kavelina, Hito Steyerl i Ali Cherri, pokazują, jak przemoc przeniknęła wszystkie sfery życia, prowadząc do degradacji spójności społecznej i solidarności.

© PIOTR KOSIEWSKI

REKLAMA



ZIEMIA NIE GUBI

MONIKA GARAS, ARCHEOLOŻKA W MUZEUM II WOJNY ŚWIATOWEJ W GDAŃSKU:

Nowa wystawa w Muzeum II Wojny Światowej odsłania mało znany rozdział historii Westerplatte – obóz dla polskich jeńców cywilnych. Archeologiczne odkrycia szczątków ofiar przywracają pamięć o zapomnianych zbrodniach i losach ludności Pomorza.



BUDZIK STUDIO / MUZEUM II WOJNY ŚWIATOWEJ

Fragment ekspozycji „Ziemia nie gubi. Jeńcy cywilni na Westerplatte (1939–1941)" w Muzeum II Wojny Światowej. Gdańsk, 2025 r.

MICHAŁ SOWIŃSKI: O czym opowiada wystawa „Ziemia nie gubi"?

MONIKA GARAS: Przedstawia mniej znany epizod z historii Westerplatte – to, co działo się tam po kapitulacji polskiej załogi Wojskowej Składnicy Tranzytowej. Na tym terenie powstał wówczas obóz dla polskich jeńców cywilnych. Byli to przede wszystkim mieszkańcy Gdańska i Pomorza, aresztowani już w pierwszych godzinach wojny. Niemcy zmuszali ich do niewolniczej pracy: porządkowania terenu, zbierania niewybuchów, zasypywania lejów po bombach, rozbiórki zniszczonych budynków, a także do grzebania poległych polskich żołnierzy.

Na czym polegała przełomowość odkryć, które stały się podstawą wystawy?

Dotąd wiedzieliśmy o tych wydarzeniach głównie z relacji byłych jeńców. Mówili oni o przypadkach śmierci – z wycieńczenia, głodu, a także o mordach dokonanych przez Niemców. Większość ofiar miała spocząć na cmentarzu na Zaspie w Gdańsku. Istniały jednak także świadectwa, że zwłoki chowano bezpośrednio na Westerplatte, w lejach po bombach. Do niedawna były to tylko relacje, których nie potwierdzały źródła materialne. Przełom nastąpił w ubiegłym roku, kiedy natrafiono na szczątki zamordowanych Polaków na terenie półwyspu. To dowód, że tego rodzaju pochówki miały miejsce i że najprawdopodobniej nie były to przypadki odosobnione.

Co te ustalenia wnoszą do szerszego obrazu historii II wojny światowej?

Pozwalają lepiej zrozumieć funkcjonowanie Westerplatte w czasie wojny. W powszechnej świadomości ten teren kojarzy się wyłącznie z wybuchem wojny i bohaterską obroną we wrześniu 1939 roku. Tymczasem historia Westerplatte na tym się nie kończy. Obóz dla jeńców cywilnych działał tu aż do połowy 1941 roku. To ważne, by pamiętać, że miejsce to było także sceną zbrodni na polskiej ludności cywilnej.

Co dokładnie udało się znaleźć?

Podczas badań w miejscu, gdzie stacjonować miała polska armata polowa, natrafiliśmy na trzy szkielety spoczywające na drewnianych reliktach schronu, z zachowanymi fragmentami ubrań i przedmiotami osobistymi, takimi jak okulary, ołówki czy grzebień. Wiemy, że to cywile. W drugim schronie odkryto szczątki kolejnej ofiary.

Skąd tytuł wystawy?

Ziemia zachowuje każdy ślad. Ci ludzie mieli zostać zakopani i zapomniani, bezimienni. Ziemia jednak ich przechowała. Nie znamy ich nazwisk, ale wystawa symbolicznie przywraca im głos i historię. Ofiarami wojen są głównie cywile – podczas II wojny światowej ich liczba przewyższała straty wojskowych. A jednak pamięć o nich często schodzi na dalszy plan. Wystawa przywraca uwagę temu wymiarowi historii.

Trudno nie myśleć o tym odkryciu w kontekście wojny, która toczy się dziś tuż obok nas.

To doświadczenie było wyjątkowe. Znaleźliśmy ofiary mordu – ludzi zamordowanych tam, gdzie znaleźliśmy ich szczątki. Nawet jeśli ślady mają kilkadziesiąt lat, ich odkrywanie wciąż jest wstrząsające. Pracowałam już z wieloma szczątkami, ale widok dobrze zachowanego szkieletu w ubraniu, z osobistymi rzeczami, to coś zupełnie innego. Ci ludzie zostali po prostu zabici i zakopani. Podobne zbrodnie będą odkrywane jeszcze przez dekady.

Na wystawie zastosowaliście nietypowy zabieg:

mapowanie miejsc szczególnie drastycznych.

Po raz pierwszy wprowadziliśmy takie rozwiązanie. Ze względu na szacunek dla ofiar nie upubliczniamy zdjęć ich szczątków, jednak na wystawie są również zdjęcia z badań, gdzie w tle można owe szczątki zobaczyć. Są one jednak zakryte – każdy sam decyduje, czy je obejrzeć. Prezentujemy też rysunki. Dzięki temu zwiedzający mogą dobrać formę obcowania z materiałami do własnej wrażliwości.

Zaplanowaliście też przestrzeń wytchnienia.

Tak, obok ekspozycji jest miejsce otoczone zielenią, gdzie można usiąść i odetchnąć. To ważne, bo konfrontacja z taką historią bywa trudna. ©℗

Wystawa
Ziemia nie gubi. Jeńcy cywilni na Westerplatte (1939-1941)
Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku
1 września – 31 grudnia 2025
Więcej informacji na:
muzeum1939.pl/ziemia-nie-gubi

Muzeum II Wojny Światowej

MATERIAŁ PROMOCYJNY

TYGODNIK POWSZECHNY



JESIEŃ NAJLEPSZA NA CZYTANIE

Ten sam Tygodnik – różne możliwości. Wybierz, jak Ci wygodniej.

DOSTAWA DO DOMU

Poczta Polska

- Prenumerata kwartalna: 190 zł
- Prenumerata półroczna: 367 zł
- Prenumerata roczna: 687 zł
- Prenumerata roczna z 4 wydaniami specjalnymi: 787 zł

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/sklep | Masz pytania? Zadzwoń! 668 479 075

ODBIÓR W PACZKOMACIE

InPost

- Prenumerata kwartalna: 189 zł
- Prenumerata półroczna: 366 zł
- Prenumerata roczna: 686 zł

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost

RITHIKA GOPAL / UNSPLASH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Teatr, który otwiera horyzont

W centrum Sosnowca dojrzewa projekt, który jest tylko remontem i inwestycją. To próba opowiedzenia miasta na nowo – przez teatr, który otworzy swoją przestrzeń na ogród, a drzwi na wspólnotę.

TEATR ZAGŁĘBIA



TEATR ZAGŁĘBIA / MATERIAŁY PRASOWE X2

Wizualizacje nowej siedziby Teatru Zagłębia

Miasto i jego scena

Teatr Zagłębia od ponad stu lat towarzyszy Sosnowcowi. Powstał w roku 1897 – w epoce, gdy miasto rozkwitało przemysłowo, a na widowni zasiadali górnicy, kolejarze, urzędnicy i rodziny robotnicze. Teatr był zawsze czymś więcej niż tylko instytucją artystyczną: stawał się zwierciadłem codzienności, forum sporów i miejscem marzeń.

Dziś, gdy Sosnowiec szuka nowego języka, by opowiadać o sobie – już nie jako o mieście węgla i hut, ale o mieście ludzi, kultury, wspólnoty – teatr znów odgrywa tu kluczową rolę. Rozbudowa i modernizacja jego siedziby jest więc nie tylko decyzją architektoniczną. To gest symboliczny: pokazanie, że kultura ma być osią przyszłości miasta.

Czarne pudełko, zielony ogród

Najbardziej widowiskowym elementem projektu jest nowa scena typu Black Box. To przestrzeń „czysta", elastyczna, którą można aranżować na wiele sposobów. Reżyserzy i scenografowie zyskują pełną wolność, a widzowie – doświadczenie innego teatru: bardziej intymnego, eksperymentalnego, zanurzonego w tu i teraz.

Ale jest w tym projekcie coś więcej. Horyzont sceny będzie można otworzyć – dosłownie – na ogród. Kulisy przestaną być mrocznym zapleczem, staną się miejscem spotkania teatru z naturą. To gest radykalny: teatr nie odwraca się od miasta, lecz wychodzi do niego, wpuszcza światło i zieleń na scenę.

Architektura dialogu

Zwycięski projekt przygotowała szczecińska pracownia Analog. Ostateczne opracowanie powierzono renomowanemu Atelier Loegler Architekci z Krakowa. Ich zadaniem jest połączenie nowego z dawnym – tak by zabytkowa bryła z przełomu XIX i XX w. zachowała swój charakter, a jednocześnie sprostała wymogom XXI w.

Przywrócona zostanie elewacja z lat 20., wnętrze zyska nowoczesną akustykę, widownię, systemy bezpieczeństwa. Stara scena, jedno z serc teatru, zostanie odnowiona i unowocześniona. Całość ma tworzyć jedną opowieść – tradycji i przyszłości splecionych w spójną formę.

Zielone budowanie, otwarta wspólnota

Projekt rozbudowy Teatru Zagłębia wyróżnia także konsekwencja ekologiczna. 20 procent materiałów ma pochodzić z recyklingu. Pojawią się nowoczesne systemy oczyszczania powietrza, instalacje do gromadzenia i wykorzystania deszczówki, a także letnio-zimowy ogród.

Ale ekologiczny jest tu także sposób myślenia o człowieku. Budynek zostanie w pełni dostosowany do potrzeb osób z niepełnosprawnościami. „Nie chcemy, by teatr był świątynią dla nielicznych. Ma być miejscem, w którym każdy może poczuć się zaproszony" – podkreśla dyrektorka Iwona Woźniak.

W liczbach i w symbolach

Inwestycja to koszt około 108 mln zł. 42,84 mln zł pochodzi z Funduszy Europejskich dla Śląskiego, 16,25 mln na modernizację zabytkowej części jest w trakcie procedowania, a miasto Sosnowiec dołoży 45 mln jako wkład własny.

Liczby nie oddają jednak istoty rzeczy. Ważniejsze jest to, że teatr przyciąga rocznie ponad 45 tys. widzów – i że potrzebuje przestrzeni, by się rozwijać. W świecie, w którym kultura konkuruje z ekranami telefonów i streamingiem, decyzja o rozbudowie sceny teatralnej staje się odważnym manifestem: sztuka na żywo wciąż ma znaczenie.

Ciągłość mimo zmian

Na czas prac teatr nie zamilknie. Spektakle będą się odbywać w innych przestrzeniach Sosnowca – w szkole muzycznej i lokalnych instytucjach. To dowód, że teatr to nie budynek, lecz relacja. Że jego prawdziwa siedziba mieści się tam, gdzie spotyka się z widzem.

Manifest, nie remont

Rozbudowa Teatru Zagłębia to więcej niż inwestycja. To opowieść o mieście, które nie wstydzi się swojej przeszłości i nie rezygnuje z przyszłości. O kulturze, która nie jest dodatkiem, lecz fundamentem wspólnoty.

Teatr otworzy horyzont – nie tylko sceny, lecz także miasta. A to, co zobaczymy przez ten horyzont, będzie zależało już nie tylko od reżyserów i aktorów, ale od nas wszystkich.



MATERIAŁ PROMOCYJNY



MATERIAŁY PRASOWE

Aga Kiepuszewska i Nikola Kołodziejczyk podczas koncertu w Pawilonie Polski na Wystawie Światowej w Osace, Japonia, 5 września 2025 r.

Jak brzmi Polska? Krajobrazy dźwiękowe na Expo 2025 w Osace

MARTA KULA

Dźwięk jest jednym z ważniejszych bohaterów opowieści o polskim dziedzictwie. Prowadzi zwiedzających do centralnego punktu Pawilonu Polski, czyli Sali Koncertowej.

Pierwszym elementem, który rzuca się w oczy, gdy przekraczamy próg Pawilonu Polski na Wystawie Światowej Expo 2025, jest wielki napis: „Polska. Dziedzictwo, które napędza przyszłość". Tym, co przykuwa wzrok zaraz potem, jest z kolei... niewielka maskotka Fryderyka Chopina, którą można po skończonym zwiedzaniu nabyć. Teoretycznie, bo w trakcie mojej wizyty w Pawilonie żaden z pluszowych Chopinów nie był już dostępny – zapas Fryderyków się wyczerpał, tak ogromną popularnością cieszyła się pamiątka.

To, że Japończycy kochają Chopina, nie jest dla nas żadnym zaskoczeniem. Po Polsce i Francji, z którymi Fryderyk miał oczywiste związki, to właśnie w Japonii muzyka polskiego kompozytora jest najbardziej znana i doceniana. O tym, dlaczego tak jest, można by napisać osobny artykuł. Japończycy kochają Chopina, traktując jego muzykę jak punkt odniesienia – brzmienie idealne, do którego należy dążyć.

Współgra ono z ich poczuciem estetyki, wywodzącym się z filozofii *wabi-sabi*. To myśl propagująca życie w zgodzie z naturą, piękno prostoty i przemijania, umiłowanie subtelności i niedoskonałości – zupełnie jak w muzyce Chopina. Osoby odpowiedzialne za ofertę Pawilonu Polski zdawały sobie z tego sprawę, tworząc przestrzeń nawiązującą do *wabi-sabi* oraz muzyki Chopina na wielu płaszczyznach.

Dźwięki natury

Pierwszym dźwiękiem docierającym do uszu odwiedzających Pawilon jest stukot drewnianej podłogi. W pełni drewniana konstrukcja Pawilonu, projektu pracowni Interplay Architects, zapewnia charakterystyczną akustykę. Drewno to materiał sprężysty, porowaty i lekko rezonujący, dzięki czemu nie odbija dźwięków, tylko je pochłania i rozprasza. Sprzyja temu falisty układ budynku – każde z pomieszczeń ma zaokrąglone ściany.

Wewnątrz Pawilonu Polski nie doświadczymy zatem echa i natężenia hałasu – zamiast tego mamy sprzyjającą akustycznie i selektywną dźwiękowo przestrzeń. Pozwoliło to twórcom wystawy wykorzystać jej audialne możliwości. Dźwięk jest jednym z ważniejszych bohaterów opowieści o polskim dziedzictwie. Niemal we wszystkich salach Pawilonu słychać odgłosy polskiego krajobrazu.

Bezpośrednio nawiązuje do niego instalacja „Aura", która sama w sobie jest wielkim instrumentem, składającym się ze 140 pudeł rezonansowych z przyczepionymi miotełkami perkusyjnymi, stworzonymi z witek brzozy, które zebrano w Żelazowej Woli.

Sala koncertowa sercem Pawilonu Polski

Wszystkie dźwięki prowadzą do centralnego punktu Pawilonu Polski, czyli sali koncertowej. Jej najważniejszym elementem jest oczywiście fortepian japońskiej marki Yamaha. To tutaj odbywają się codzienne recitale chopinowskie, które wśród japońskich zwiedzających cieszą się ogromnym zainteresowaniem.

Muzyka Fryderyka Chopina, bez względu na to, czy Wystawa Światowa odbywa się w Japonii, czy w innym miejscu, jest stałym elementem prezentacji polskiej kultury. Tym, co wyróżnia tegoroczną ofertę Pawilonu Polski, jest otwarcie na inne gatunki muzyczne, w tym jazz.

Jazzowe dziedzictwo, które napędza przyszłość

Nazwiska polskich jazzmanek i jazzmanów pojawiały się na Expo już w poprzednich latach, ale zazwyczaj w chopinowskim kontekście. Przypomnijmy chociażby Wystawę Światową w Szanghaju w 2010 r. – przypadała wówczas 200. rocznica urodzin Fryderyka Chopina i z tej okazji zorganizowano m.in. koncert na pięć fortepianów, z czego na czterech zagrali jazzowi pianiści i pianistka: Joanna Duda, Sławek Jaskułke, Paweł Kaczmarczyk i Paweł Tomaszewski. Dopiero rok 2025 przyniósł wyraźne rozróżnienie w prezentowanej ofercie muzycznej, a do Osaki na Expo przyjechali najlepsi muzycy jazzowi młodego pokolenia z autorskim repertuarem.

Wiek XX w polskiej muzyce przyniósł nie tylko jedne z najważniejszych dzieł muzyki współczesnej i awangardowej, lecz także ogromny rozwój jazzu nowoczesnego. W latach 60., kiedy jazz w Polsce wyszedł z okresu „katakumb" i mógł zaistnieć nieco bardziej swobodnie, idea free jazzu rezonowała z młodym pokoleniem twórców. Jazz to muzyka na wskroś amerykańska, ale filozofia, która za nim stoi, a którą w najprostszych słowach możemy sprowadzić do poszukiwania wolności, znalazła w Polsce lat 60. podatny grunt.

W roku 1966 ukazuje się płyta „Astigmatic" kwintetu Krzysztofa Komedy (u boku którego grają m.in. Tomasz Stańko i Zbigniew Namysłowski), będąca kamieniem milowym w historii polskiej muzyki i jednym z fundamentów wyemancypowanego jazzu europejskiego.



A. STYKOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE

Jakub Kurek gra na Expo w Osace, 5 września 2025 r.

Co warte podkreślenia w kontekście Expo 2025 w Osace, to że historia japońskiego jazzu w latach 60. była podobna. Dla Japończyków to również dekada muzycznego rozwoju i jazzowej emancypacji, która dała podwaliny na przyszłość.

Znaczenie i popularność tego gatunku muzycznego w Japonii to jeden z powodów obecności polskiej sceny jazzowej na Wystawie Światowej w Osace. Drugi, nie mniej ważny, to wyjątkowość młodych polskich artystów i artystek. W ramach festiwalu Jazz From Poland in Japan, z ramienia którego organizowane były koncerty jazzowe w Pawilonie Polski, reprezentowali nas: Aga Derlak, Kasia Pietrzko, Maciej Kądziela, Kuba Więcek i zespół Hoshii, Babooshki, Paulina Przybysz, EABS, Grzegorz Tarwid, Maciej Obara, Dominik Wania, Tomasz Chyła Quintet, Nikola Kołodziejczyk i Aga Kiepuszewska.

To, co wybija się z tego zestawienia nazwisk, to niezwykła różnorodność prezentowanej przez nich muzyki, pokazująca, jak pojemnym gatunkiem jest dziś jazz. Od zabawy elektroniką, przez inspiracje hip-hopem, soulem, muzyką klasyczną i folklorem, aż po eksperymentalną, współczesną muzykę improwizowaną – każdy z tego grona artystów i artystek wykształcił swój oryginalny język muzyczny. Polscy muzycy jazzowi młodego pokolenia wymieniani są obok największych nowych nazwisk amerykańskiego jazzu jako ci, którzy w znaczący sposób wpłyną na brzmienie muzyki jazzowej w przyszłości.

„Suita koncertowa" Nikoli Kołodziejczyka

Kulminacją jazzowej oferty Pawilonu Polski podczas tegorocznego Expo była premiera „Suity koncertowej" autorstwa Nikoli Kołodziejczyka. Ten monumentalny utwór, składający się zarówno z fragmentów skomponowanych, jak i improwizowanych, Kołodziejczyk napisał z myślą o całej jazzowej reprezentacji, która dotarła na Wystawę Światową w ramach festiwalu Jazz From Poland in Japan.

„Suita koncertowa" to muzyka łącząca wiele kontekstów: od jazzowej awangardy, przez groove, po ukłon w stronę komedowskiej melodyki i wrażliwości. Kiedy ponownie nadarzy się okazja do posłuchania tylu wybitnych, polskich muzyków jazzowych razem na jednej scenie – trudno powiedzieć... Warto śledzić działania każdego z nich z osobna i łapać koncerty w Polsce, bo po występach na Expo 2025 są już *big in Japan*, a przed nimi cały świat. ©

WYSTAWA ŚWIATOWA EXPO 2025 W OSACE
trwa do 13 października 2025 r.

Autorka jest dziennikarką muzyczną, prowadzi autorską audycję jazzową w Radiu 357.

Międzynarodowe obchody stulecia polskiego PEN Clubu

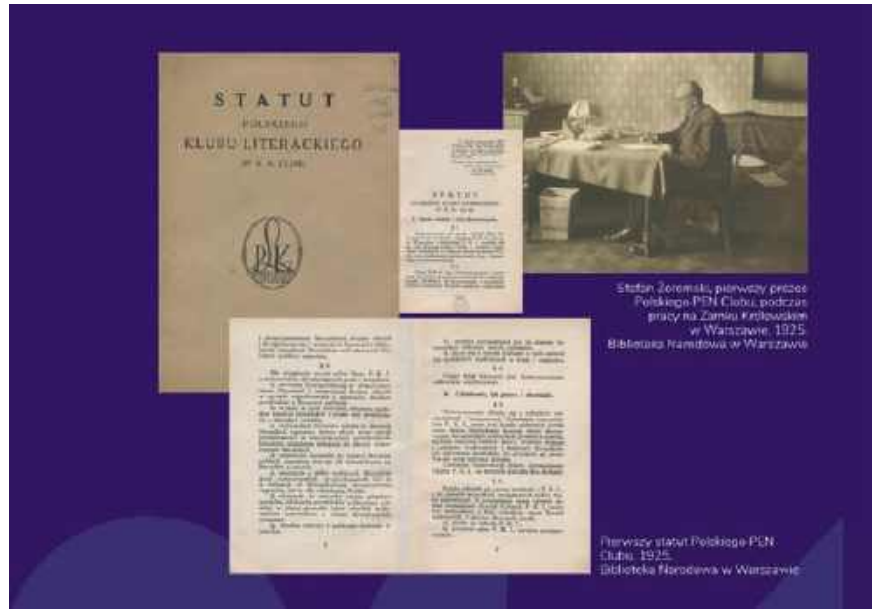
ADAM WOŹNIAK

Problemem świata jest dziś nie tyle walka o wolność słowa, lecz stawienie czoła wojnie informacyjnej toczonej przez Federację Rosyjską.

W znakomitej powieści „Stambuł, Stambuł" szef światowego PEN-u Burhan Sönmez kreślił obraz rozwarstwionego miasta, przypominającego „dwa byty, które płynęły razem, ale i osobno, jakby obok siebie i w innych epokach, pokazywały, że miejsce może panować nad czasem i wciągnąć go jak wir". Te słowa doskonale oddają wrażenia z 91. Międzynarodowego Kongresu PEN, który odbył się w Krakowie w dniach 2-5 września (obchody zbiegły się ze stuleciem polskiego PEN-u). Wydarzenie przebiegało w atmosferze niepokoju o przyszłość wolnego słowa, literatury, Strefy Gazy i Ukrainy. Trudno było nie ulec wrażeniu, że do życzliwych rozmów zasiadali często ludzie pochodzący nie tylko z różnych miejsc, lecz także z różnych epok.

Przy akompaniamencie bomb można oczywiście wciąż prezentować oświeceniową wiarę w moc słowa pisanego. Mimo intuicyjnego oporu, trudno zdecydowanie protestować przeciwko próbom zrozumienia dzisiejszych, cyfrowych totalitaryzmów za pomocą pojęć wypracowanych lata temu – sam nie mam lepszych pomysłów. Nie spodziewajmy się jednak, że podobne dyskusje zrobią na kimkolwiek wrażenie, gdy na sali siedzą wśród nas pisarze z Palestyny czy Ukrainy, a na świecie dochodzi do ludobójstwa.

Całe szczęście im dalej od rozpoczęcia Kongresu, tym częściej głos należał do ludzi, którzy o wolności słowa mogli powiedzieć znacznie więcej niż to, co wyczytali u klasyków. Znakomite, choć niestety dość krótkie, były wypowiedzi litewskiej pisarki i historyczki Kristiny Sabaliauskaitė. Specjalizująca się m.in. w kulturze rosyjskiej autorka powieści



MATERIAŁY PRASOWE PEN CLUB POLSKA

Fragment historycznej wystawy z okazji 100-lecia polskiego PEN Clubu

„Silva rerum" mówiła o strategii „pushing Puszkin" (wpychanie Puszkina), która pozwoliła Rosjanom na kulturalny podbój świata i Europy.

Przy okazji Sabaliauskaitė usiłowała nieco zaktualizować temat dyskusji, przekonując, że w większości przypadków problemem świata jest dziś nie tyle walka o „wolne słowo", lecz stawienie czoła wojnie informacyjnej toczonej przez Federację Rosyjską. Nie żyjemy w czasach Johna Stuarta Milla, gdy niekontrolowany obieg słów służył tylko testowaniu poglądów, prezentowanych w debacie publicznej. Boty wykorzystają go raczej do uniemożliwienia jakiejkolwiek konstruktywnej dyskusji. „Rosjanie nie chcą doprowadzić do wygranej tego czy innego konia (partii) – mówiła pisarka – chcą skompromitować cały wyścig".

Bardzo ciekawe były też słowa szefa ukraińskiego PEN-u Wołodymyra Jermołenki i gruzińskiej pisarki Nataszy Lomouri podczas spotkania „PEN w czasach niepokoju". Mówiono o tym, co zawsze warte przypomnienia podczas wojennej mobilizacji: o niezastępowalności pojedynczego ludzkiego istnienia i politykach, którzy chcieliby wpływać nie tylko na życie, lecz także na sposób umierania obywateli. Te bolesne lekcje XX w. powtarzane były bez filozoficznego nadęcia i – z całą pewnością – przez ludzi, którzy przepuścili je przez trzewia.

Zupełnie osobną historię stanowi znakomite spotkanie z palestyńskim eseistą Rają Shehadehem. Redaktorka i tłumaczka Małgorzata Szczurek otworzyła je przemówieniem, w którym poprosiła zebranych o wyobrażenie sobie 249 pustych krzeseł, na których mogliby zasiąść zabici przez izraelską armię dziennikarze. A potem Ludwika Włodek po prostu pozwoliła swojemu gościowi mówić. ©

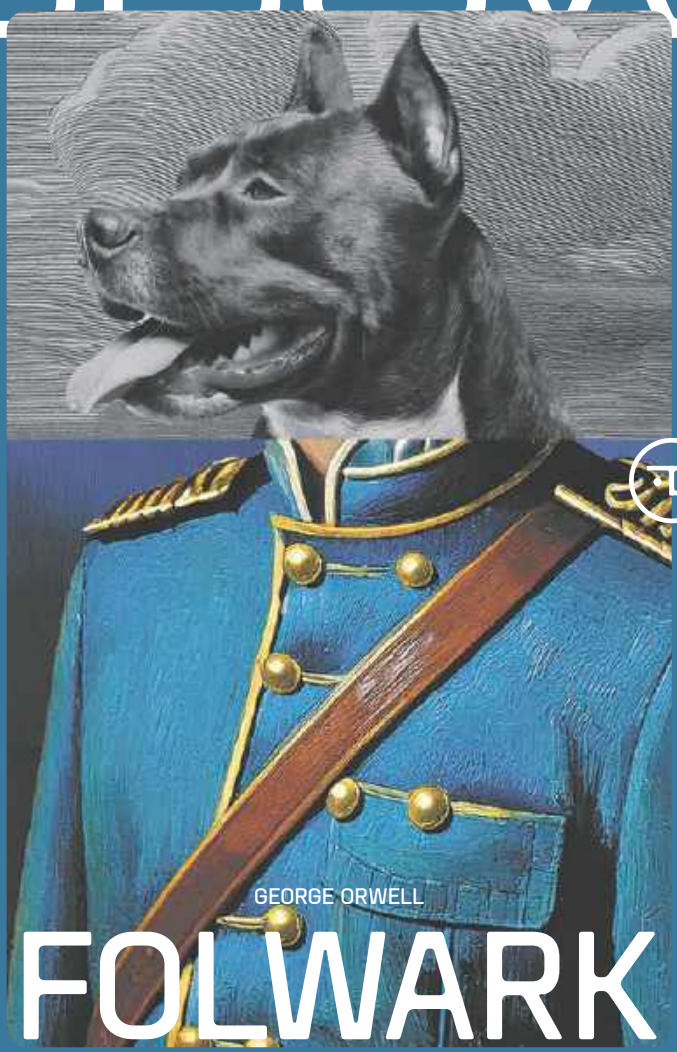
Kraków

TEATR LUDOWY

PREMIERA:
27, 28
WRZEŚNIA
2025
DUŻA SCENA

GRAMY:
9-12
PAŹDZIERNIKA
13-16
LISTOPADA
18-21
GRUDNIA

II Reżyser:
Katarzyna Witkowska
Muzyka:
Mariusz Obijalski
Choreografia:
Mateusz Pietrzak
Scenografia:
Kamila Bukańska
Kostiumy:
Anna Adamek
Reżyseria światła:
Tadeusz Trylski
Projekcje:
Zachariasz Jędrzejczyk
i Veranika Siamionava
Przygotowanie wokalne:
Paulina Zaborowska



GEORGE ORWELL

FOLWARK ZWIERZĘCY

PRZEKŁAD:
ROBERT
SUDÓŁ

ADAPTACJA
I REŻYSERIA:
WOJCIECH
KOŚCIELNIAK

Obsada:
Marta Bizoń
Michalina Dworzaczek
Małgorzata Kochan
Małgorzata Krzysica
Paweł Kumięga
Roksana Lewak
Justyna Litwic
Zuzanna Midura
Jan Nosal
Julia Pawlak
Jagoda Pietruszkówna
Piotr Pilitowski
Karol Polak
Robert Ratuszny
Iwona Sitkowska
Ryszard Starosta
Jacek Wojciechowski
Kajetan Wolniewicz
(głos z offu)

Tancerze:
Gabriela Chojecka
Nikola Dudek
Joanna Kozubal
Filip Krzysztofiak
Zuzanna Midura
Maria Salwińska
Nina Stec
Karolina Stępień
Agnieszka
Woźniak-Olszańska
Zofia Zełep

TEATR LUDOWY • INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

REKLAMA

Mecenas Teatralnego Instytutu Młodych: ZUE S.A. | Kraków | Radio Kraków | Kraków Culture | KHK | MPO | Wodociągi Miasta Krakowa | mpec Kraków | MPK S.A. w Krakowie | Małopolanka | Patron medialny: PAP

Słabe punkty, które dają moc

To, co odsłania naszą kruchość, może stać się źródłem siły – jeśli tylko mamy odwagę mówić o tym głośno. Przekonują o tym dwie historie: „Proces Pelicot” w reżyserii Milo Raua i „Filokteja. Powrót” w reżyserii Justyny Wielgus w TR Warszawa.

Ta sprawa wstrząsnęła Francją. W małym miasteczku Mazan na południu kraju „zwykli mężczyźni” (jak nazwała ich francuska prasa) – w różnym wieku, z różnych środowisk, pełniący różne role społeczne, także mężowie i ojcowie, a nawet przedstawiciele zawodów pożytku publicznego – dokonywali wielokrotnych gwałtów na nieprzytomnej kobiecie.

Tą kobietą była Gisèle Pelicot, a brutalne wydarzenia inicjował jej własny mąż. Gisèle zdecydowała się upublicznić swój proces sądowy, a wraz z nim najbardziej bolesne, intymne doświadczenia, które były jej udziałem. Ten bezprecedensowy akt odwagi sprawił, że wstyd wreszcie zmienił strony, a jego ciężar z ofiary przesunął się na sprawców. Postawa Gisèle Pelicot uruchomiła społeczną empatię i solidarność. Ona sama stała się liderką zmiany, symbolem walki o położenie kresu agresji wobec kobiet i wsparciem dla osób doświadczających przemocy, nie tylko seksualnej.

Toczący się publicznie proces zainspirował reżysera teatralnego, Milo Raua, do zainscenizowania performatywnego czytania materiałów z postępowania sądowego. Scenariusz daje dostęp do zeznań Gisèle i oskarżonych mężczyzn, pozwala poznać ich pochodzenie, historie, motywacje, linie obrony, uwarunkowania społeczne i psychologiczne. Publiczność może poczuć się jak na sali sądowej. „Proces Pelicot” obnaża mechanizmy opresji i przemocy, na których wspiera się system patriarchalny, krzywdzący nie tylko kobiety, ale i mężczyzn.

Pierwsze czytanie performatywne „Procesu Pelicot” odbyło się podczas Wiener Festwochen, drugie na Festival d’Avignon, a 5 listopada w jednej z sal Pałacu Kultury i Nauki odbędzie się kolejne z udziałem zespołu aktorskiego TR Warszawa. Planowane są także czytania w Lizbonie, Nowym Jorku, Berlinie.

„FILOKTEJA. POWRÓT” – od mitu do współczesnej samotności

Jednym z eksponatów w Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku jest grecki wazon, przedstawiający opuszczonego przez towarzyszy Filokteta podtrzymującego zabandażowaną piętę. Jeszcze niedawno prowadził statki do Troi, teraz ukąszony przez węża traci sprawność i status społeczny. W „Filoktecie” Sofoklesa tytułowy bohater przygląda się własnemu bólowi, poczuciu braku i samotności, która stała się plagą naszych czasów.



MATERIAŁY PRASOWE

Wizualizacja projektu scenografii do spektaklu „Filokteja. Powrót”, autorka Wisła Nicieja

Doświadczenie zranionego herosa jest punktem wyjścia spektaklu, będącego efektem współpracy TR Warszawa, Teatru 21 i Polskiej Akademii Nauk (w ramach międzynarodowego projektu CHANSE). Na scenie nie zobaczymy tragedii antycznego bohatera, lecz współczesne historie – „symulacje” doświadczeń Filokteta. Trafimy do baru w Sydney, gdzie młody mężczyzna zostanie przytulony przez nieznaną mu kobietę, a moment ten zapoczątkuje „usługi czysto platoniczne”, rozsiane dziś po całym świecie. Wylądujemy w mieszkaniu Laury Winham, która zmarła w nim z głodu, czy w starym mercedesie w chwili, gdy jadąca w nim dziewczyna zapada na nieznaną, chroniczną chorobę, która staje się punktem zwrotnym w jej życiu.

Jak odnaleźć się w sytuacji utraty sprawności lub prestiżu, jak poradzić sobie z samotnością i słabością nie traktując ich w kategoriach kary czy winy, lecz jako część ludzkiego doświadczenia? Twórczynie i twórcy spektaklu, który będzie miał premierę 28 listopada, zachęcają do przewrotnego myślenia o „sukcesie” i mówienia na głos o tym, co kruche, a co może stać się źródłem siły i budować relacje oparte na empatii, trosce, solidarności i odwadze, które są naszym największym kapitałem w czasach niepewności.

Czy nie o tym opowiada także historia Gisèle Pelicot?

Sezon 2025/26 upłynie w TR Warszawa pod hasłem *na głos*. Publiczne zabieranie głosu przynosi ulgę, wyzwala, przywraca poczucie mocy i sprawczości. „Proces Pelicot” (czytanie performatywne 5 listopada) i „Filokteja. Powrót” (premiera 28 listopada) to dwa ważne głosy mówiące o ukrytych źródłach naszej mocy.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
PAN IHN
instytucja kultury miasta stołecznego Warszawy
tokfm
didaskalia
TVP KULTURA
e-teatr.pl
centrum sztuki włączającej TEATR 21
Centrum Sztuki Włączającej/Teatr 21 to Społeczna Instytucja Kultury, której działanie jest współfinansowane przez Miasto Stołeczne Warszawa
NARODOWE CENTRUM NAUKI
Finansowane przez Unię Europejską
CHANSE. COLLABORATION OF HUMANITIES AND SOCIAL SCIENCES IN EUROPE
med+ep
Media i epidemie: Techniki popularyzacji wiedzy o zdrowiu publicznym w XX i XXI wieku
TR WARSZAWA

REKLAMA

Pierwszy raz w jednym tomie zostały zebrane wszystkie dzieła Jadwigi z Działyńskich Zamoyskiej o tematyce wychowawczej: *O miłości ojczyzny*, *O pracy* i *O wychowaniu*.
W niepewnych politycznie czasach miały uczyć kobiety niezależności, wskazać obywatelskie zobowiązania i chrześcijańskie wartości.



Publikacja dostępna
w wybranych księgarniach
i na sklep.wmposnania.pl

1925
FUNDACJA
ZAKŁADY
KÓRNICKIE
2025

WYDAWNICTWO
MIEJSKIE
POSNANIA

POZnań

REKLAMA

KIELCE INTERNATIONAL THEATRE FESTIVAL * 7 * KIELECKI MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL TEATRALNY

OCTOBER 12→26 PAŹDZIERNIKA 2025

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

WOJEWÓDZTWO ŚWIĘTOKRZYSKIE

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Urzędu Marszałkowskiego Województwa Świętokrzyskiego



PARTNERZY FESTIWALU:

KIELECKIE CENTRUM KULTURY

instytut teatralny

cricoteka

INSTYTUT ADAMA MICKIEWICZA

MINISTERUL CULTURII

RUMUŃSKI INSTYTUT KULTURY

№21 RESTAURANT & PUB

PATRONAT MEDIALNY:

onet

TVP3 KIELCE

TVP KULTURA

e-teatr.pl

RADIO KIELCE

RMF CLASSIC

Echo